



№. 656

ROK 1812.

---

---

# CIEKAWY POWIEŚCI

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY NAJWYBITNIEJSZYM  
POWIEŚCIOM I ROMANSOM POLSKIM I OBCYM.

Nr. 9 □ Wrzesień 1912

ROK 1812. Tom II.

Redaktor: ..... □ Wydawcy: .....  
ARTUR OPPMAN (Or-Ot). □ GEBETHNER I WOLFF.

---

---

# ROK 1812

Powieść historyczna w 2-ch tomach

— Według romansu —

LUDWIKA RELLSTABA

Tom II

Z 6-IU ILUSTRACYAMI

WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SP. □□□□ 1912

---

---

DRUKIEM PIOTRA LASKAUERA  
WARSZAWA, NOWY-SWIAT 41.

---

---

## ROZDZIAŁ PIERWSZY.

### I.

Dnia 14-go września pierwsze oddziały wielkiej armii, w których znajdował się także Sieniawski ze swymi przyjaciółmi, stanęły na Świętej Górze, skąd widać było Moskwę, starożytną siedzibę carów. Była to druga godzina po południu. Wspaniałe słońce jesienne świeciło przez lekkie obłoki. W słońcu błyszczały kopuły, wieże kościołów i złoczone pałace, a pomiędzy wieżami widać było Kreml, sterczący dumnie, jak ukoronowana głowa. Gromady gołębi kołysały się w promieniach słońca i krążyły koło wieżyc. Okrzyk radości wy dobył się na ten widok z piersi tysiąca żołnierzy:

— Moskwa! Moskwa!

I trudno może było w tej chwili zrozumieć, że odległe, tajemnicą bajek otoczone miasto, po tysiącnych trudach i niebezpieczeństwach, leżało wreszcie tuż, przed śmiałymi żołnierzami. Okrzyki radości i zwycięstwa wciąż brzmiały w powietrzu. W tej chwili zapomniane były wszystkie cierpienia, niebezpieczeństwa, trudy, niewygody i tylko jedna myśl napełniała umysły wszystkich: „Nareszcie u celu, nareszcie w Moskwie,

gdzie czekają na nas dobre leże zimowe i nowe zwycięstwa“.

— A więc to jest to sławne miasto? — rzekł Bernard, wstrzymując swego konia. — Nareszcie znaleźliśmy je na końcu olbrzymich lasów i stepów, które otaczają je dookoła.

— Czas był wielki — rzekł Sieniawski i, spoglądając na wojsko maszerujące, dorzucił raz jeszcze:— Czas był wielki.

Ludwik patrzył na bogate, daleko rozrzucone miasto z uczuciem wielkiego podziwu. Chociaż widział w swem życiu i Paryż, i Berlin, i Drezno, i Warszawę, i Wiedeń i miasta włoskie, to żadne jednak z nich nie zrobiło na nim takiego dziwnego wrażenia. Stał oto i patrzył, jakby miał przed sobą jakiś obraz z bajki. A Bernard tymczasem dowodził:

— Patrzcie, co za wspaniałe obrazy! Że też ja nie mam czasu nawet pędzlem ruszyć. Patrzcie, jakie masy światła i błysków tu na tych kopułach. Dachy, domy, poprzerywane pasami zieloności, tworzą obraz pełen zamieszania i różnaitości. A jeśli się obejrzymy poza siebie, ujrzymy fale wojska, które się kołyszają na polach. Patrzcie, jak błyszczą bagnety w blaskach słońca, lśnią pióropusze, działa wojenne, tuż obok ciemnego skraju lasu.

Podczas tej rozmowy poszczególne oddziały wojska zstępowały na dół ku wyniosłości. Zrobiło się z tego wiele zamieszania, ale żołnierze uporządkowali się nibawem i we wzorowym ordynku ruszyli naprzód. Wierżono bowiem, że wielka armia lada chwila natknie się na wojska nieprzyjacielskie, które uporeczywie bronić będą klejnotu państwa rosyjskiego.

Tak posuwano się coraz bliżej i bliżej, ale nieprzyjaciela nie było. Nagle żołnierze zatrzymali się. Od szeregu do szeregu biegała wieść, że król Neapolu wdał się w rozmowę z dowódcami kozaków. I już zdawało się, że koniec walki się zbliża, pokój nastanie niebawem, a z nim nagroda za wszystkie trudy i niebezpieczeństwa. Ale Sieniawski natychmiast zorientował się w sytuacji. Król Neapolu rozmawiał istotnie z kilkoma kozakami, którzy eskortowali oficera, żądającego swobodnej drogi dla tylnej straży generała Kutuzowa, w przeciwnym razie grozili podpaleniem miasta.

Cesarz, uwiadomiony o wszystkim, zgodził się na ich prośbę. Armia ruszyła dalej w stronę miasta.

Kiedy książę Eugeniusz i książę Poniatowski ze swoimi korpusami okrążali dookoła miasto, król Neapolu szedł prosto w mury miasta. Tymczasem cesarz ze swoim orszakiem zatrzymał się przed bramą. Niebawem ukazał się marszałek Duroc, prowadząc kilku Francuzów w Moskwie osiadłych. Cesarz wdał się z nimi w rozmowę i zadawał im wiele najrozmaitszych pytań.

Tymczasem marszałek meldował królowi, że w Kremlu znajduje się cała masa uzbrojonych oberwańców, którzy w znacznej części są przestępcami wypuszczonymi z więzień moskiewskich.

— Wszyscy ci ludzie są pijani i bezprzytomni. Strzelają do żołnierzy króla Neapolu a bram otworzyć nie chcą.

— A więc otwórzcie bramy armatami i rozpedźcie to wszystko do dyabła.

Tak się istotnie stało. Król Murat nie pozwolił się już więcej powstrzymywać. Dwa strzały armatnie wystarczyły i kawalerya miała przed sobą wolną drogę.



Natychmiast dobosze wszystkich gwardyi uderzyli w bębny i zabrzmiała komenda:

— Garde à vous!

Był to znak, aby wojska ruszyły. O trzeciej godzinie po południu, przy dźwiękach muzyki, wielka armia znalazła się w ulicach miasta. Ledwo jednak przednie szeregi uszły kawałek drogi, kiedy zobaczono wielu z tych ludzi, którzy obsadzili przedtem Kreml. Twarze ich były odrażające, a uzbrojenie składało się z karabinów, dzid i wideł od nawozu. Na moście, który dzieli przedmieścia Moskwy od stolicy, jeden z tych włóczęgów wyszedł z pod mostu i stanął naprzeciw armii, jakby sam jeden miał powstrzymać wojsko francuskie. Ubrany w długi kaftan i pas skórzany, o twarzy zakrytej prawie olbrzymią siwą brodą, trzymał w ręce widły, podobny do jakiegoś mistycznego Neptuna. W tym rynsztunku ruszył w stronę tamburmajora i jakby jego przedewszystkiem chciał nadziać na swą broń szlachetną. Widocznie bogaty strój zdawał się świadczyć w umyśle jego o wysokiem dostojenstwie. Ale cios zawiódł. Napadnięty skoczył na bok i, chwyciwszy za kark atakującego, jednym zgrabnym ruchem zrzucił go z mostu do rzeki. Tymczasem ukazało się jeszcze więcej podobnych zjawisk, a tu i owdzie rozległ się suchy strzał karabinowy. Żołnierze francuscy niewiele sobie z tego robili. Najczęściej rozbrajali napastników, lub kilku uderzeniami kolby odpędzali ich od siebie.

Kiedy wojska francuskie przeszły most, widać było piękną długą ulicę. Ze zdziwieniem jednak zauważono, że ulica jest pusta. Wesole dźwięki muzyki nie zwały nikogo. Ani jedna główka dziewczęca nie zjawiła się w oknach domów, koło których przeciągała armia.

Żołnierze pocieszali się półgłosem:

— Zwycięstwo do nas należy.

I maszerowali dziarsko, z tą nadzieją, że może jakieś piękne oczy patrzą na nich z poza zamkniętych okiennic.

Tymczasem oficerowie i wyżsi dostojnicy oryentowali się już w sytuacji.

Sieniawski wiedział już bardzo wiele i te wiadomości zaległy chmurą jego wyniosłe czoło.

Jeden z oficerów, patrząc mu w twarz, zapytał cicho, kiedy przeciągali znowu przez jakąś szeroką, wspinała ulicę:

— Może tutaj nareszcie zobaczymy mieszkańców miasta.

— Nie zobaczymy ich wcale — odparł Sieniawski. — Prócz złoczyńców wypuszczonych z więzienia niema tu nikogo. Miasto jest opuszczone i samotne, jak wielki cementarz.

Potrząsnął ręką i zawołał głośno:

— Zdawało się, że, jeśli zdobędziemy serce Rosyi, wojna będzie skończona. I oto jesteśmy w murach Moskwy, a naprawdę wojna rozpoczyna się dopiero. Walczyć trzeba będzie z całym krajem.

Tymczasem ponad głowami żołnierzy ukazały się mury i wieże Kremlu. Wtedy po raz pierwszy usłyszano zmieszany gwar głosów. Była to gromada chłopów, cisnących się koło wozów, na których znajdowała się żywność i wielu rannych, których nie zdołano dość szybko z miasta usunąć.

Kilkudziesięciu kozaków uciekało na swoich małych zwrotnych konikach, znikając wśród domów, zanim która z kul mogła ich dosięgnąć.

Cześć wojska, nie zważając na to wszystko, skręciła na szeroką, piękną drogę, która prowadziła na plac gubernatorski. Tam żołnierze ustawili się w szeregach,

naprzeciwko pałacu generał-gubernatora Moskwy, Roztopczyna.

Sieniawski ze swoimi żołnierzami zajął tymczasem jakiś stary pałac, którego bramę trzeba było najpierw wysadzić, aby dostać się do wnętrza. Wewnątrz było wszystko zamknięte i puste. Żołnierze i oficerowie rozgościli się natychmiast we wspaniałych apartamentach, których przepych był poprostu zdumiewający.

Zaczynało się już ściemniać, a na ulicy błyszczały ogniska, przy których obozowali żołnierze. Odblask płomieni igrał na sufitach nieoświetlonych pokoi i w ten sposób tworzył się jakiś dziwny, niepokojący nastrój.

Sieniawski zeszedł na dół, aby obejrzyć swych żołnierzy i pomyśleć o ich potrzebach. Ludwik zaś usiadł na wielkim, starym fotelu, zatopiony w samotnych rozmyślaniach, gdyż Bernard wyruszył na wycieczkę po tajemniczym pałacu.

W zmierzchu wieczoru jesiennego, w zwodniczym świetle promieni, oddał się Ludwik swoim marzeniom. Piękne obrazy przeszłości unosiły się w powietrzu, jak promienne postacie na ciemnym tle teraźniejszości. I była to może pierwsza spokojna godzina, którą mógł spędzić od tej chwili, kiedy otrzymał wiadomość o śmierci matki. Ciężka tęsknota opadła mu na duszę; głowę na poręczy krzesła oparłszy, zatopił się w myślach, a oczy błądziły bezprzytomnie po tajemniczych pokojach. Tak więc nie zauważył, że Bernard, stanąwszy we drzwiach nawpół otwartych, obserwował go z daleka i widział nawet łzy błyszczące w jego oczach.

— Cóż to za straszne myśli, przyjacielu? — zapytał go nareszcie.

— Ach, Bernardzie, to ty! — rzekł Ludwik i uśmiechnął się smutnie. — Jakież mogą być moje myśli?

Bernard pochylił się ku niemu i szepnął tajemniczo:

— Zrobilem odkrycie, nie mieszkamy sami w tym domu.

— Co mówisz! skądże ta wiadomość?

— Kiedy szedłem przez długie korytarze do głównego skrzydła, zobaczyłem, że wszystkie drzwi są zamknięte z wyjątkiem jednych. Gdy je nacisnąłem, wszedłem do kuchni, gdzie jeszcze mile panowało ciepło, a na ognisku widać było jeszcze żarzące się węgle.

— Nic dziwnego: mieszkańcy tego pałacu byli tu jeszcze dzisiaj.

— Tak i ja myślałem; w tej chwili jednak rozległ się głuchy odgłos, jakgdyby coś ciężkiego upadło. Wypadłem na korytarz i natychmiast odkryłem małe schodki, które prowadzą do dolnej części gmachu. Tam znajduję znowu korytarz z szeregiem drzwi zamkniętych. Próbuje je otworzyć, wysadzić, ale one nie drgnęły nawet. Pukam, wołam, hałasuję, ale żadnej odpowiedzi. Wreszcie znudziło mnie to wszystko i postanowiłem powrócić. Wracam tedy po małych schodkach i nagle słyszę odgłos lekkich, jakby kobiecych kroków. Czem prędzej śpieszę na górę, ale znowu nic. Przekonany, że słuch mnie nie zawiódł, patrzę uważnie dokoła i wtem spostrzegam, że pod drzwiami kuchni błyszczy coś białego. Podnoszę i widzę, że jest to wstażka. I mogę ci przysiąc, mój przyjacielu, że nie było jej przedtem, kiedy tam po raz pierwszy wchodziłem. Naturalnie, nie znalazłem nikogo. Drzwi wszystkie pozostały zamknięte i żaden głos nie przerwał ciszy. Nie wiem, z kim miałem do czynienia. Czy to była jakaś dama z minionych stuleci, duch błakający się za pokutę swych grzechów, czy też prawdziwa mieszkanka tego pałacu z krwi i kości jeszcze.

— Istotnie, dziwne zdarzenie — rzekł Ludwik — a może nieszczęśliwi mieszkańcy tego pałacu ukryli się z obawy przed prześladowaniem.

— I to jest możliwe, ale ja wolałbym raczej przypuszczać istnienie jakichś upiorów, zaczarowanych dzievic, zamurowanych zakonnice, których dusza, nie znając spokoju, błądzi po pustych zamkowych krużgankach. Trzeba tedy przedsięwziąć drugą wyprawę o północy.

Kiedy Sieniawski powrócił z ulicy, natychmiast kazał jednemu z żołnierzy rozpałcić ogień na kominie. Zapalono też i lampę, która wisiła w pokoju.

Sieniawski wydobyl list z kieszeni i rzekł do Ludwika:

— Oto jest list dla ciebie.

Ludwik czytał go z nieposkromioną ciekawością, spodziewając się dalszych szczegółów o śmierci ukochanej matki. Okrzyk zdumienia wydarł się niebawem z jego piersi.

— Cóż się stało takiego? — wołali Bernard i Sieniawski.

— Czytajcie sami! — rzekł Ludwik, przyciskając rękoma skronie, i podał im list.

List brzmiał jak następuje:

„Drogi bracie! Jeszcze na łożu śmierci matka nasza wyznała mi tajemnicę, o której nie pisałam ci w pierwszym liście, pod wrażeniem bowiem świeżego ciosu nie mogłam myśleć o niczem. Teraz jednak posłuchaj: Matka odkryła mi szufladę, w której znajdowały się ważne papiery, dotyczące naszej rodziny. Jeśli to tylko będzie możliwe, prześlę ci je natychmiast. Tymczasem jednak pragnę cię zaznajomić z zasadniczą ich treścią. Prawdziwe nazwisko nasze nie jest Rozen. Nasz ojciec nazywał się Sternfels i był właścicielem dóbr w Frankonii. Wierna

przyjaźń była tragedią jego życia. W marcu roku 1793 odwiedził swego przyjaciela młodości, niejakiego Waldheima, który bawił w Strasburgu w niewoli u Francuzów. Na wygnaniu towarzyszyła mu jego żona, kobieta nadzwyczaj piękna i rozumna. Francuz, niejaki Rumigny, obraził ją śmiertelnie, czyniąc niecne propozycje. Kiedy dowiedział się o tem wszystkim Waldheim, wyzwzał go na pojedynek. Ale nędznik ten strzałem nieprawidłowym zabił Waldheima, który skonał na miejscu. Ojciec wyzwwał mordercę, ale ten odmówił, szydząc. Przez kilkanaście dni szukał Rumigny'ego ojciec nasz, pragnąc go zmusić do walki. Rumigny zastawił sieci i ojciec dostał się do niewoli, oskarżony o szpiegostwo przeciw Francyi. Odesłano go do Paryża, gdzie mu groziła gilotyna. Ale wierny służący ułatwił mu ucieczkę z więzienia i szczęśliwie przedostał się z nim do Havru. Powiadomiona o wszystkim matka miała się spotkać z ojcem w Hamburgu, ale czekała napróżno. Mijały dni, tygodnie i miesiące, a ojciec nie wracał. Tymczasem okazało się, że potęga Francyi mogła dosięgnąć ojca naszego nawet poza granicami tego kraju. Ojciec nie wrócił już wcale. Jego dobra skonfiskowano, a kiedy Francuzi poczęli świat cały zdobywać, nazwisko, umieszczone na liście zdrajców stanu, złą było rekomendacją. To było przyczyną, dla której matka przybrała nazwisko Rozen i zamieszkała w Dreźnie.

Teraz, kochany bracie, musiałam znowu przecierpieć wiele, z tego powodu, że szpiegowie francuscy dowiedzieli się o mojem prawdziwym nazwisku, a także z powodu twoich zajęć z policją. Ale wyjeżdżam do Warszawy, gdzie będę zupełnie bezpieczna i gdzie się może niedługo zobaczymy.

Kasylam pozdrowienia dla twoich przyjaciół.

Marya".



Miotany zdziwieniem Ludwik ledwo mógł list do końca przeczytać. Dopiero teraz stanęły mu żywo w pamięci niektóre wspomnienia z najwcześniejszych lat dziecięcych. Dopiero teraz przypomniały mu się rozmaite słowa i gesty, odnoszące się do losu jego ojca, ale wszystko było jakby gęstemi chmurami przysłonięte.

— Musisz o tem pamiętać, drogi Ludwiku — zaczął Bernard — że wiadomość ta zapewne niewiele zmieni twoje życie. Ojciec, którego ślad już od dwudziestu lat zaginał, najniezawodniej umarł. A ponieważ nie znałeś go wcale, nie możesz boleć nad jego stratą.

— O, Bernardzie — odrzekł Ludwik — gdybyś znalazł się w położeniu podobnem, sądziłbyś może inaczej.

— Czyż w niem nie jestem! — zawołał Bernard bardzo silnie. — Co najmniej w podobnem. Może udałoby mi się znaleźć mego ojca i moją matkę, może zdołałbym odkryć na szerokim świecie moją rodzinę, ale zaręczam ci, że nie troszczę się o nich wcale, skoro oni nie troszczyli się o mnie przez lat dwadzieścia.

— Nie mówiłeś mi nigdy o tem, że możesz mieć żyjących rodziców — rzekł Ludwik.

— Dowiedziałem się o tem sam dopiero przed dwoma laty w Londynie, kiedy umarł mój opiekun. Ale miałem wówczas głowę czem innem zajętą i z czasem zobojętniałem zupełnie na te sprawy.

Rzuciwszy na stół pierścionek, dodał jeszcze:

— Po tym pierścieniu mogę poznać prawdziwych moich rodziców, a przecież trzy miesiące temu chciałem go oddać za inny. I gdybym nie był głupcem skończonym, oddałbym go z pewnością.

Ludwik, oglądając pierścień, spojrział na niego pytająco, a Bernard mówił:

— Mój opiekun, którego uważałem za swego prawdziwego ojca, był biednym kaznodzieją w okolicach Würzburga. Kiedy w dziesiątym roku życia zacząłem nieźle rysować, posłał mnie do Drezna, do swego brata, którego znałeś zresztą. Ale u tego starego filistra powodziło mi się nie najlepiej. Pewnego pięknego poranku podziękowałem mu tedy za jego czcigodne nauki, wzięłem nogi za pas i puściłem się w świat. W tym czasie umarł mój opiekun, a jego brat z pozostałych po nim papierów przysłał mi jeden, który mógł mnie bliżej zainteresować. Na papierze tym znalazłem następujące słowa, napisane ręką mojego opiekuna: „Pewnego wieczoru, kiedy leżałem już w łóżku, ktoś gwałtownie do drzwi mego domu zadzwonił. Otworzyła drzwi służąca i zobaczyła pięcioletniego chłopca, który ledwo mógł do dzwonka dosięgnąć. Ten chłopiec — którym ja byłem — miał w ręce list zaadresowany do mnie. W liście tym znajdowało się dwa tysiące guldenów, które wolno mi było podnieść w jednym z francuskich banków, jeśli zgodziłbym się oddawcę jego wychować. Podjąłem się tego, i obowiązek mój starałem się jak najlepiej wypełnić. Ponieważ okazywał wybitne zdolności do malarstwa, posłałem go do swego brata do Drezna. Jego bielizna znaczona była literą B., nazwałem go tedy Bernardem. Oprócz tego znalazłem przypadkowo wszytą w jego ubranie obrączkę ślubną z literami B. W. Są to jedyne znaki, po których możnaby poznać jego prawdziwych rodziców. Ten dokument razem z pierścieniem otrzymałem w Londynie, z tem poleceniem, abym na własną rękę szukał rodziców. Tak więc, mój przyjacielu, jesteś w tem samym położeniu. Ale zaręczam ci, że nie skrzywiłem palca, aby cokolwiek w tym kierunku wysświetlić. Cóż mi bowiem po rodzicach, którzy przez



życie całe nie troszczyli się wcale o mnie? Biedni czy bogaci, wytworni czy nikczemni, to mi wszystko jedno. I tak kochać mnie nie mogą. Z tobą sprawa ma się inaczej, ale bądź co bądź ojciec, który dwadzieścia lat temu zaginał, nie żyje.

— Nie, Bernardzie, tak rzeczy stawiać nie można. Jestem głęboko przekonany, że, mimo wszystko, ojca mego znajdę.

Tymczasem Sieniawski oglądał uważnie pierścień i po chwili zapytał Bernarda:

— Jakież to litery znalazłeś na tym pierścieniu?

— B. W. — odparł ten.

— Ależ mylisz się, czytam wyraźnie L. W.

— Ależ to niemożliwe — zawołał Bernard i, schwyciwszy pierścień, badał go uważnie przy świetle. — Ależ to są igraszki szatana — zawołał, blednąc na twarzy. — Na moim pierścieniu wyryto B. W., a tutaj wyryto co innego.

Rysy jego twarzy wyrażały najwyższe wzruszenie. Zdawało się, że lada chwila straci panowanie nad sobą. Ale on zaśmiał się dziko i zawołał:

— To nic, mówię wam, to nic. To tylko jedna z tych olbrzymich nedorzeczności przypadku, które do szaleństwa mogą doprowadzić. Nie wierzyłem w cuda w tem życiu codziennem, ale ta nauka jest może zabardzo bolesną.

— Bernardzie, kochany Bernardzie — mówił Ludwik, chwytając go za rękę. — Co z tobą? opanuj się, przyjdź do siebie! Powiedz, co cię wstrząsnęło tak strasznie.

Ale Bernard, oparty o pierś przyjaciela, nie odpowiadał nic, tylko spoglądał przed siebie bezprzytomnym wzrokiem.



Ks. Joachim Murat, król neapolitański.

## II.

Stanisław i Bolesław spędzali noc rozdzieleni ze swymi przyjaciółmi, jako że pierwszego wieczoru w Moskwie trzeba było czuwać więcej, niż kiedyindziej. Skoro jednak z ognisk obozowych płomienie strzeliły w górę, kiedy żołnierz, mając podoostatkiem jedzenia i picia, ułożył się spokojnie do spoczynku, a strażę czuwały bezustannie, wymykali się niektórzy oficerowie, pozostawiając pieczę nad ludźmi kolegom. Tak też uczynił i Stanisław.

Jego młodzieńcza fantazyja, pobudzona przez nieznanome miasto, ciągnęła go na nocną wyprawę, pełną czarów i dziwów. Ze zdziwieniem największem oglądał pałace, długie ulice i obszerne place. Kreml ze swemi wieżami czynił na nim wrażenie zaczarowanego zamku. Nic więc dziwnego, że brała go ochota do wędrówki po ulicach. Pragnął poszukać przy ogniach obozowych kolegów i przyjaciół, pogawędzić z nimi i porozmawiać — słowem, po trudach wojennych zakosztować rozkoszy spoczynku. Bolesław zastępował go bardzo chętnie. Tak więc Stanisław w towarzystwie dwóch oficerów piechoty ruszył przez ulicę, aby oglądać to dziwne miasto.

— Te dwie wieże ze złożonemi kopułami muszą nam służyć jako punkty orientacyjne — rzekł do swych towarzyszy.

Lebrun i Lacoste — tak zwali się ci dwaj oficerowie — skinęli głową na znak zgody. Po chwili Lebrun począł śpiewać przyjemnym głosem:

„Marlborough s'en va en guerre“.

Tak dostali się przez kilka ulic pod Kreml, gdzie płonęły wielkie ognie obozowe, rozniecone przez gwardye cesarskie. Długi szereg piramid z karabinów skrzył się wspaniale w blaskach ognia. Każdy batalion ustawił wspaniałe trofeum z bębnow i orłów. W miejscach, gdzie otwierały się wielkie ulice, stały armaty, koło których paliły się wielkie pochodnie. Dla rozochocenia żołnierzy, w różnych punktach miasta grała wesoła muzyka, ale bardzo niewielu tylko próbowało przy tych dźwiękach tańczyć française na kamieniach słomą pokrytych. Wogóle biwaki wszędzie były ożywione, ale dalekie od tego wesołego wrażenia, które wywoływało zwykle to miasto wędrowne. Wszyscy żołnierze posiadali przeważnie mundury porwane w strzępy, od prochu szerniały. Nawet gwardye, które nie walczyły pod Borodinem, przedstawiały się bardzo żałośnie, a to z tego powodu, że stoczyć musiały zaciętą walkę, kiedy Kutuzow na drodze do Moskwy próbował walczyć raz jeszcze. Tu i tam słyhać było pieśni wesołej. Po największej jednak części brodaci wojownicy, otuleni w płaszcze, leżeli koło ognisk i spali, albo patrzyli osłupiałemi oczyma na płomień ogniska.

Po drugiej stronie pomiędzy wspaniałymi domami obozowała stara gwardya.

Pomiędzy tymi, tak karnymi zwykle żołnierzami nie było zwykłego porządku. Gwardziści powysadzali poprostu bramy i rozłożyli się wygodnie w obszernym przedsiönku. Oficerowie rozlokowali się na wyższych piętrach. Żołnierze znosili drzewo i słomę, a inni układali sobie wygodne leże z pościeli, poduszek, dywanów, kołder, materaców. Żołnierz dziedzi czy bowiem chętnie po tych, którzy uciekają. Biwak wyglądał wskutek tego bardzo malowniczo, zwłaszcza, że kilku mameluków ce-

sarza z długimi fajkami w ustach rozłożyło się wygodnie na wielkim czerwonym dywanie i niebieskich poduszkach, które znaleźli w jakimś pobliskim pałacu.

— Hm, hm, urządziliście się znakomicie — rzekł Lacoste — tylko pocóż, u diabła, wynosiliście to wszystko z domów? Trzeba sobie było obóz odrazu pod dachem urządzić.

— Był rozkaz, panie kapitanie — odparł sierżant gwardyjski — aby obozować pod gołym niebem. A zresztą noc jest piękna.

— Piękna noc — odrzekł Stanisław — ależ zdaje mi się, że wiatr będzie dzisiaj gwizdał porządnie.

— Gdyby tylko nie rozdmuchał ognia, to już mniej-sza o to.

— Uważajcie — zawołał, śmiejąc się, Lebrun — bo jeszcze gotowa się słoma pod wami zapalić.

— Słoma to nie proch. Co się łatwo pali, to się i łatwo gasi.

— Ale skąd wziąć wody w tej suchej Moskwie?

— Damy sobie radę, panie kapitanie.

— W istocie cesarz rozpiera trochę swoich gwardzistów — rzekł Lacoste, kiedy oficerowie odeszli parę kroków.

— Zdaje mi się, że jeśli są tam sami weterani, to nie trzeba ich już pilnować. A przecież żołnierz przez cały czas trwania walki robi wszystko, co do niego należy. Ale skoro już raz odpoczywać zacznie, trudno go karności nauczyć.

Tak rozmawiając, szli dalej i spotykali na każdym kroku obrazy godne obejrzenia, które ich tak bardzo interesowały, że dopiero po upływie paru godzin wrócili do swego obozu.

Kiedy Bernard uspokoił się nieco, opowiedział Ludwikowi dokładnie swą przygodę w Warszawie, która wywołała dziwną zamianę obrączek.

— Tak więc mógłbym zdobyć sobie tytuł brata, mógłbym nazwać siostrą tę piękną nieznajomą, bo piękną była, na to mógłbym przysiąc, chociaż szal zasłaniał jej oblicze. Mogłaby być także i moją matką, ale w takim razie przygoda nie byłaby wcale tak romantyczną.

Po kilku minutach ciszy Bernard rzekł:

— Postanowilem działać w dalszym ciągu tak, jak i dotychczas. Jeśli przypadek zechce mi wyjaśnić te wszystkie węzły tajemnicze, niech się stanie, co się stać ma; ale ja nie uczynię nic w tym kierunku. Postacie mgłą tajemnicy otoczone są dla mnie tak czarowne, że nie chcę oglądać ich prawdziwego oblicza. Istota, którą spotkałem, była młodą i piękną, to wiem na pewno. A więc niechaj zostanie moją siostrą, od której nie chcę nic więcej, krom wspomnienia, które posiadam.

Chodził długo po pokoju, przyciskając dłonie do czoła. Aż wreszcie stanął przed Ludwikiem i rzekł wesoło:

— Ale teraz czas na nas, przyjacielu, trzeba spać się położyć.

Uścisnęli się serdecznie, a Ludwik odszukał jeszcze Sieniawskiego.

— Zdaje mi się — rzekł do niego — że zmiana mego nazwiska, wiadomość o moim ojcu, który prawdopodobnie od lat dwudziestu nie żyje, jest jednocześnie dla mnie wielką stratą i wielkim zyskiem.

— Być może, że jest to jedno i drugie. Ale teraz musimy udać się na spoczynek, któż bowiem może wiedzieć, co nam przyniesie najbliższa godzina. Wciąż jeszcze

nie czuję się bezpiecznym w tem mieście. Zdaje mi się, że powtórzy się raz jeszcze historia Troi, i flota chytrych Greków powróci znowu w nocy.

Ludwik patrzył szeroko otwartemi oczyma, jak-gdyby dopiero teraz uprzytomnił sobie wszystko. Opowiedział też natychmiast Sieniawskiemu o odkryciach Bernarda.

— Tutaj nie obawiałbym się niczego: są to prawdopodobnie służące, albo starzy, chorzy ludzie, którzy nie mogli uciekać. Schowali się, bo się nas boją. Roztopczyn w każdej swej proklamacyi przedstawia nas jako rabusiów i świętokradców. Cóż więc dziwnego, że biedni ludzie chowają się przed nami w mysią dziurę. Zostawmy więc ich dzisiaj w spokoju. Zresztą, nic się nam stać nie może. Jesteśmy dookoła otoczeni strażami, a spać będziemy, spodziewając się każdej chwili alarmu. A więc dobranoc, przyjacielu. Zdaje mi się, że dzień jutrzejszy przyniesie nam wiele rzeczy niespodziewanych.

Ludwik szukał jeszcze przez jakiś czas Bernarda, ale kiedy go znaleźć nie mógł, ułożył się na łóżku i zasnął. Umysł jego jednak nie uspokoił się jeszcze, bo sny gorączkowe przesładowały go ciągle. Raz widział się w zgiełku wojennym, otoczonym przez nieprzyjaciół, to znowu zjawiała się postać ukochanej matki i wprowadzała go daleko ze sobą. Widział drogę do Pillnitz prowadzącą, po której szła ramię w ramię Marya z Bianką. Wstrząsnął się na ten widok i wołał przez sen: „Kochajcie się! kochajcie się!“ Chciał zbliżyć się do nich, ale zjawil się Sieniawski, który kazał mu szybko dosiąść konia. Ukochane postacie znikły, a on widział się znowu wśród długich szeregów żołnierzy, wkraczających do Moskwy. Razem z Sieniawskim i Bernardem szli przez

długie ulice i zatrzymali się przed bramą pałacu, który tu się znajdował. Wyczerpany położył się na tem samym łóżku, na którym spał, i zasnął drugi raz we śnie. Sen i rzeczywistość zaczęły się mieszać ze sobą. Okrzyk szyldwacha na ulicy zbudził go. Ponieważ, otworzywszy oczy, widział to samo, co i przed chwilą we śnie, zdawało mu się, że śni wciąż jeszcze. I tak, nawpół śniąc, nawpół czuwając, widział, że drzwi jego pokoju otwierają się powoli i ciemno ubrana zawoalowana postać z lampą w ręku kroczy ku niemu. Wreszcie stanęła przy łożu Ludwika i wtedy zasłona spadła z jej twarzy. Była to Bianka, o białych, smutkiem powleczonej licach.

— Gdzie jest Marya — zapytał Ludwik senne widziadło — i dlaczego nosisz szaty żałobne, ukochana? Ach, zapewne i ty oplakujesz śmierć mojej matki!

Z bolesnem pożądanem wyciągnął ku niej rękę, a ona stała niema, drżąc tylko lekko. Zdawało się, jakby w istocie chciała pochylić się ku niemu, ale w tej chwili zadrżała gwałtownie i wstrząsnęła przecząco głową.

— A więc znowu uciekasz ode mnie? Dlaczego szydzisz ze mnie? — wołał Ludwik żalonym głosem. — Pokazujesz się zawsze po to, aby zniknąć na czas dłuższy.

Wstrząsnął się, jakby chłód nocny przejął go do szpiku kości, i otulił się w płaszcz. Zjawisko zniknęło, a Ludwik z ciemności nocnej usłyszał słowa:

— Uciekaj, uciekaj, twemu życiu grozi niebezpieczeństwo. Weź to na pamiętkę.

Jakby ręka ducha przemknęła się po jego obliczu. Obudził się i z trudem podniósł zmęczone powieki. Wszystkie obrazy snu jego razem z postacią Bianki zniknęły, jak cień przelotny. Na suficie pokoju skrzył się



plomień ognisk obozowych, a wszystkie przedmioty zdawały się być powleczone czarną pajęczyną.

Z trudnością usiłował zebrać zmysły. Wtem w pokoju sąsiednim rozległ się donośny strzał pistoletowy. To wróciło mu przytomność odrazu. Ale wszystko przed nim było wciąż jakby dymem otoczone, tak, jakby oczy jego były światłem porażone. I znowu uczuł, jak przedtem, lekkie dotknięcie na czole. To przywróciło mu ostrość spojrzenia i wszystko widział również dobrze, jak przedtem. Zanim jeszcze zdołał opanować swoje zdumienie, usłyszał w sąsiednim pokoju głos Sieniawskiego, który wzywał do siebie jego i Bernarda. Pośpieszył tedy szybko do sali oświetlonej skapem światłem lampy. Sieniawski pośpiesznie wyszedł na jego spotkanie i w tej samej chwili wbiegli żołnierze zbudzeni strzałem.

— Światła, więcej światła! — zawołał Sieniawski.

— Co się stało? — pytał Ludwik.

— Znajdujemy się w jakimś niesamowitem miejscu, Czy nic nie widziałeś?

— Chyba nic.

— Przez mój pokój przeszła przed chwilą czarna postać i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa była to kobieta.

— Jakto? — zawołał Ludwik, zdumiony i przerażony zarazem. — Czyżby czarna zawoalowana postać?

— Ależ tak.

— A więc to nie było senne widziadło?

— Nie, to była istota z krwi i ciała, nie mogę się mylić. Prześliznęła się koło mojego łóżka. Kiedy nie odpowiadała na moje pytanie, strzeliłem.

— Jakto? do niej? A więc jest ranna?

Sieniawski pokręcił głową i rzekł spokojnie:

— Nie, nie trafiłem jej. Krzyknęła tylko ze strachu i zniknęła.

Kiedy służący przynieśli więcej światła, Sieniawski rozpoczął drobiazgowo poszukiwania, a Ludwik towarzyszył mu w tem, przejęty do głębi dziwnym zdarzeniem.

[W tej stronie, gdzie strzelał Sieniawski, nie było żadnych dziur. Kula utkwiała w murze.

— A jednak — rzekł Sieniawski — nie mogę się mylić, tu muszą się znajdować jakieś tajemne drzwi.

Tymczasem Ludwik przypomniał sobie tajemnicze słowa: „Weź to na pamiątkę“. Szybko więc chwycił lampę i pośpiesznie wrócił do swego pokoju. Ledwo tam wszedł i spojrzawszy, zobaczył koło okna biały szal, a kiedy go wziął do ręki, poczuł, że w szalu mieści się coś. Rozwinął go i oto miał w ręku ten sam piękny naszyjnik, który zgubiła niegdyś Bianka u stóp góry św. Bernarda. Wzruszenie chwyciło go za serce, ale w tej samej chwili spostrzegł, że do szalu przypięto jeszcze małą karteczkę, na której wypisano w widocznym pośpiechu następujące słowa: „Byłeś niegdyś moim wybawcą, teraz mojej posłuchaj rady. Opuśćcie co rychlej dom ten, bo grozi wam straszna zguba. Każda chwila jest droga. Uciekajcie! — Bianka“.

Ludwik stał bez ruchu, zoczył utkwionemi nieruchomo przed siebie, kiedy do pokoju wszedł Sieniawski.

— Co tu robisz? — zapytał go. — Właśnie odkryliśmy jakieś drzwi tajemnicze. Posłałem po topory, aby je otworzyć.

Ludwik, nic nie mówiąc, podał Sieniawskiemu karteczkę. Sieniawski przeczytał ją szybko i zawołał:

— Co się dzieje? Ależ jakie niebezpieczeństwo? U dyabła! Musimy poszukać tych, którzy nas tak litościwie przestrzegają.

Ludwik pozwolił się pociągnąć Sieniawskiemu.

W wielkiej sali żołnierze uderzali już toporami o drzwi tajemnicze. Niebawem stanęły otworem, i wtedy wszyscy ruszyli przejściem, które się otworzyło. Przodem szedł Sieniawski, trzymając w ręce odwiedziony pistolet. A za nim szli inni długim, wązkim korytarzem. W kilku miejscach korytarz załamywał się i wspinał się do góry.

— Zdaje mi się, że tu pachnie siarką — rzekł Sieniawski, kiedy już uszli kilkadziesiąt kroków.

— Tak — odparł jeden z żołnierzy — tu się musi coś tlić.

Kiedy uszli znowu dziesięć kroków, otoczył ich kłęb gęstego dymu.

— Może i lepiej posłuchać przestrogi — rzekł Sieniawski, zwracając się do Ludwika.

Ale Ludwik, który pragnął znaleźć chociaż jeden ślad ukochanej, odparł:

— Chodźmy jeszcze dalej.

Uszli więc jeszcze kilkadziesiąt kroków, ale dym stawał się coraz to gęstszy i gęstszy. Nagle uderzył ich prosto w twarz wiatr i zgasił wszystkie światła. W tej samej chwili rozległ się głuchy łoskot i cały budynek zadrżał potężnie.

— To była mina podziemna — rzekł Sieniawski. — Musimy wracać.

Dym i gorąco ogarnęły ich tak gwałtownie, że omal nie stracili przytomności. Biegając szybko, dosięgli wreszcie wielkiej sali napełnionej już dymem i czadem.

Sieniawski uderzył rękojeścią pistoletu o szyby i zdobył w ten sposób trochę świeżego powietrza.

Ludwik i Sieniawski chwyтали prędko broń, płaszcze i uciekali niezwłocznie schodami na dół.

Tymczasem na ulicy ciszę nocną przerywały gwałtowne krzyki:

— Ogień! ogień!

W całym mieście słyhać było głuche uderzenia bębnow i dźwięki trąb. Kiedy wyszli z pałacu, widać było czarną chmurę dymu, pokrywającą go zupełnie. Nie było już żadnej wątpliwości, że ogień podłożony został umyślnie w różnych punktach miasta. Z rosnącym zdziwieniem czekano na rozegranie majestatycznego widowiska. O ratunku nie było mowy, wobec zupełnego braku wody i innych środków. Żołnierze mogli myśleć tylko o ratowaniu koni i środków żywności.

Sieniawski spojrział dokoła i rzekł:

— Całe szczęście, że niema wiatru. Możemy tu jeszcze pozostać bez żadnego niebezpieczeństwa. Tymczasem jednak trzeba zameldować o wszystkim cesarzowi.

To mówiąc, zawezwał do siebie Stanisława i polecił mu, aby natychmiast złożył raport o wszystkim generalnemu adjutantowi cesarza. Stanisław ruszył z miejsca, jak strzała. Z naprężeniem czekali wszyscy na chwilę, kiedy płomień przedrą się przez dach pałacu. Tymczasem nad całym pałacem zajaśniał jaskrawy błysk, jakgdyby oświetliło go wschodzące słońce. Ludzie patrzyli ze zdziwieniem na siebie. Całe niebo pokryte było ciemno-czerwonym blaskiem. Sieniawski, nic nie mówiąc, wskoczył na konia i, przejechawszy kilka ulic dalej, próbował zorientować się w sytuacji.

— Święty Boże! — zawołał w przerażeniu, kiedy zobaczył drugi budynek, znajdujący się w pobliżu Krem-

lu, z którego buchały teraz olbrzymie kłęby dymu. — To jest pomysł szatański! — zawołał mimowoli. — Tutaj przygotowuje się coś strasznego.

To rzekłszy, już chciał wracać, kiedy pojawił się koło niego Bernard, raportując, że na końcu ulicy pali się wielki magazyn. Teraz Sieniawski zrozumiał wszystko, i postanowił działać.

— Skąd wieje wiatr? — zapytał, oglądając się wokoło.

— Sądzę, że z południowego zachodu — odparł Bernard.

— Słusznie, a więc musimy się cofać pomału, bo łatwo moglibyśmy stracić wszelki odwrót.

Od czasu ucieczki Sieniawskiego z podziemnego korytarza minęło już dziesięć minut. Pomimo tego jednak w całym mieście panował względny spokój. Nagle ze wszystkich stron zabrzmiał odgłos bębnów i dźwięk trąb. Powstał tak wielki zgiełk, jakgdyby nieprzyjaciel napadł na cały obóz. Kawalerya siadała na konie, piechota chwyciła za broń i stawała w szeregu. Żołnierze, wybici gwałtownie ze snu, oryentowali się z trudnością, co się dzieje: czy to tylko pożar, czy też pokrywka, pod którą nastąpi natychmiast atak nieprzyjacielski. Tymczasem ogień wzmagał się z gwałtowną szybkością, a wiatr pędził płomienie z jednego końca miasta na drugi. Olbrzymie kłęby czarnego dymu zasłoniły wszystko. Wiele oddziałów cisnęło się na wązkich ulicach, nie znajdując wcale drogi w ciemności. To znowu stawało się tak widno, jak w dzień, i broń błyszczała w odblasku czerwonych płomieni.

Sieniawski posuwał się ze swoim oddziałem ulicą, której pożar jeszcze nie dosięgnął. Wysokie domy zasłaniały przerażający widok i żołnierze znajdowali się

w zmierzchu, rozświetlanym tylko czasami snopami iskier ponad głowami. Na końcu ulicy trafiono na most, zamknięty w tej chwili przez artylerję, która cofała się pośpiesznie z całym swoim taborem na jakieś bezpieczniejsze miejsce. Sieniawski musiał tedy czekać ze swym pułkiem dopóty, aż droga będzie wolną.

— Widzicie panowie, przypuszczenia moje sprawdziły się.

Kiedy po pewnym czasie most był wolny, Sieniawski, bojąc się, aby go znowu ktoś nie zajął, przedostał się natychmiast na drugą stronę. Za mostem było już trochę raźniej, ogień palił się daleko w stronie zachodniej i tylko płomienie jego odbijały się malowniczo w nurtach rzeki.

— Wiatr zmienia kierunek! — zawołał nagle Sieniawski, obserwując ustawicznie olbrzymi pożar. — Patrzcie, jak lecą iskry w stronę Kremlu. Musimy i my także zmienić kierunek naszej jazdy.

Wtem usłyszano głos adjutanta, przejeżdżającego galopem:

— Kawalerya i artylerja ma się gromadzić koło bramy petersburskiej.

— Dobrze, przynajmniej — rzekł Sieniawski — że wiemy, co robić ze sobą.

Skęcili w ulicę, która prowadziła na miejsce przeznaczenia. Wkrótce jednak znaleźli się w tłoku i zamieszaniu. Naprzeciwko nich bowiem biegły szybko pułki piechoty z brodatymi saperami na czele, którym cesarz polecił gasić pożar.

— Miejsca! miejsca! — krzyczał ich dowódca i cisnął się gwałtownie ze swymi ludźmi naprzód.

W ten sposób pułk Sieniawskiego mógł się posuwać tylko bardzo powoli naprzód; ogień zdawał się już

ich prażyć w plecy, a czarna chmura dymu pokrywała wszystko straszliwym tumanem.

Domy oświetlone były jaskrawo, jakgdyby pochodniami furii. Wichler, zwabiony pożarem, ciskał się z wyciem na morze płomieni, kręcił misterne trąby z dymu i gnał przed sobą daleko popiół, iskry i tłaże zarzewie. Olbrzymie zjawisko rozwijało się w coraz to potężniejszym majestacie przed oczyma ludzi. Wszystkie osobiste cierpienia, nadzieje i tęsknoty zgasły, godzina sądu nadeszła. Pożar, zda się, rozsądzał ludy i trony. W morzu płomieni wszystko, co na zgubę było skazane, przemieniało się na proch i popiół. Wszędzie było teraz jasno; tylko tam, gdzie dym i deszcz popiołu przysłaniał powietrze, panowała cienność. Na ulicach, łuną pożaru oświetlonych, nie widać było ludzi. Wszyscy uciekli. Saperzy razem z piechotą nie próbowali już ratować tych części miasta, które płonęły. Chcieli zabezpieczyć przed pożarem tylko to, czego jeszcze nie ogarnęły płomienie.

Koń Stanisława, uderzany co chwila ostrogami, gnał, jak strzała. Stanisław nie szukał już drogi, nie badał kierunku wiatru, ale, pozostawiając wolność koniowi, szybko pędził po labiryntach płonących ulic. Tak jadąc, usłyszał nareszcie głos męski:

— Czy nie wiecie, którądy można się wydostać z tych palących się ulic?

Spojrzał przed siebie i zobaczył cesarza, który w towarzystwie kilku wyższych oficerów stał przed nim.

— Jakto? A więc to on sam?

I oto z podziwem patrzył na oblicze tego spokojnego męża, który z taką obojętnością oglądał pożar, jakgdyby on był tylko chwilową igraszką. A przecież cesarz znajdował się w niebezpieczeństwie.

— Czy niema żadnej drogi? — zapytał znowu cesarz.

Wtedy Stanisław podniósł oczy na twarz cesarską i rzekł spokojnie:

— Jest droga, ale przez płomienie.

— Dobrze, prowadź, nie mamy czasu do stracenia!— odrzekł cesarz i ruszył za Stanisławem.

A ten, dumny z zaszczytu, z podniesioną głową, skoczył odrazu w pałacę się ulice.

Droga prowadziła po zgliszczach, wśród deszczu ognistego. Usta napróżno próbowały oddychać, a wyschnięty język ledwo się poruszał. Wtem świeży powiew uderzył w twarz Stanisława.

Cesarz był uratowany.

---



## ROZDZIAŁ DRUGI.

### I.

Nastąpiła noc — ostry, przejmujący wicher szumiał po polach i kołysał ciemnymi koronami wyniosłych sosen.

Sieniawski z pułkiem swoim stanął wreszcie na miejscu, przeznaczonem na obóz dla jego pułku. Żołnierze byli znużeni śmiertelnie, przejęci do szpiku kości złośliwymi podmuchami wiatru.

— Tutaj, w tej wklęsłości, zasłonięci przynajmniej od wiatru, będziemy obozować! — rozkazał Sieniawski.

Jeźdźcy skręcili na lewo.

Pomiędzy dwoma pagórkami a skrajem starego, sosnowego lasu można było rozłożyć się wcale wygodnie. Wysokie drzewa, stojące po obu stronach tego wąwozu, łączyły się wierzchołkami, tworząc niejako bezpieczny dach nad głową, który bronił od złośliwych uderzeń wiatru. Ale ponieważ słońce rzadko tu dochodziło, panowała wilgoć, zwłaszcza teraz na późnej jesieni. Tylko nieliczne stare brzozy o białych pniach stały na tle ciemnego lasu, niby nocne strąsydła.

— Dobry posterunek — rzekł Bernard, wjeżdżając w ciasny wąwóz.

— Banda rabusiów — odpowiedział Sieniawski — byłyby bardzo zadowolona, gdyby się tutaj znalazła.

To mówiąc, Sieniawski usiadł na starym, mchem obrosniętym pniu i, trzymając szablę między nogami, zamyslił się głęboko.

— Gdzie mam kazać ogień rozpalić? — zapytał Bernard.

— Tam, pod tą wielką sosną, albo zresztą, gdzie chcesz.

Żalodne, smutne przeczucia trapiły duszę dzielnego żołnierza. Był tak ponury, jak ponurą była noc i ten cały melancholijny pejzaż, mrokiem spowity. Czasami niepewność nie pozwoliła mu usiedzieć spokojnie na miejscu i wtedy zrywał się szybko i chodził wielkimi krokami tam i napowrót. Czasami wydawał krótkie rozkazy, bo pomimo wszystko ani na chwilę oka nie spuszczał ze swego zdziesiątkowanego pułku.

— Ogień pali się już doskonale — rzekł Bernard do niego — możemy sobie teraz kpić z zimnego wiatru.

— Dlaczego Bolesław i Ludwik nie wracają? Czekam także na wiadomości od Stanisława — odrzekł Sieniawski, jakgdyby nie słyszał wcale słów Bernarda.

Wreszcie wstrząsnął się gwałtownie i rzekł znowu:

— Zimno mi, trzeba korzystać z ognia. Co za wstrętna wojna! Żołnierz siedzi przez cały dzień na koniu, widzi nieprzyjaciela, ale bić się nie może. Jest to już wielkie wydarzenie, jeśli jakiś kozak raczy z pistoletu wystrzelić. Gdyby przynajmniej nasze biedne konie miały się tak, jak podczas pierwszego dnia wyprawy.

Umilkł na chwilę, a potem mówił znowu dalej:

— Czy wiesz, opowiadają, że rokowania pokojowe znowu się rozbiły. Sądzę, że Kutuzow wiedział o tem już oddawna. Oni przedłużają to wszystko umyślnie,

bo zima jest ich najlepszym sprzymierzeńcem. I dlatego czekam niecierpliwie na powrót Bolesława z Moskwy, może dowiemy się czegoś nowego.

— Gdyby zamiast wiadomości przywiózł parę nowych butów i futro, czułbym się najszcześliwszy.

— Nie żartuj — odparł poważnie Sieniawski. — Nie wiesz jeszcze, co to jest zima tutaj. Teraz mamy dopiero przymrozki i na drzewie nie zbywa, a ludzie przecie już chorują.

W tej chwili rozległ się tętent kopyt końskich, Bolesław osadził niebawem konia przed nimi.

— Najpierw dobre nowiny! — zawołał wesołym głosem. — Szczęśliwie mogłem uczynić wiele dla potrzeb naszych ludzi. Dwaj Żydzi dostarczyli mi ośmdziesiąt par podeszew, trzydzieści par nowych butów, sześćdziesiąt płaszczów i trzy owcze skóry.

— A gdzież są te rzeczy?

— Ludwik eskortuje cały ten transport z ludźmi. Boję się tylko, czy nas znajdą w tej dziurze.

— Trzeba im posłać ludzi — odparł Sieniawski.

I wydawszy odpowiednie rozkazy, zapytał znowu Bolesława:

— Czy wydałeś wszystkie pieniądze?

— Zostało mi jeszcze czterdzieści dukatów...

— Po cóż było oszczędzać?

— Nie chciałem trwonić twoich własnych pieniędzy, pułkowniku. A zresztą niewiele było już do kupienia.

— Ale cóż słyhać więcej? — zapytał niecierpliwie Bernard.

— Układy pokojowe rozbite!

— Tego się spodziewałem — zawołał żywo Sieniawski.

— Kutuzow napadł króla Neapolu i zmusił go do odwrotu. Cesarz otrzymał tę wiadomość właśnie wtedy, kiedy oglądał korpus Ney'a, i bez namysłu zawołał: „A więc wojna, niech i tak będzie“. Jutro wieczorem wielka armia wyruszy w stronę Kaługi. My i wszystkie wojska, które znajdują się w północno-wschodniej części, mają się złączyć w Moskwie z głównymi siłami. To jest właśnie rozkaz, który przywozłem dla naszego pułku.

— A więc walka zacznie się na nowo — odrzekł Sieniawski. — Przeczuwałem to dobrze. Będziemy sobie szukać drogi do południowych prowincyi. Może tam przed zimą jeszcze znajdziemy wygodne leża zimowe. Może uda się nam Kijów zdobyć. Czas już wielki. Bogu niech będą dzięki. Jeśli wojna tam się zwróci, można jeszcze żywić nadzieję. Zima zjawia się tam o miesiąc później i jest o wiele łagodniejsza. A zresztą kraj jest bogaty i może nas wyżywić lepiej, niż ta pustynia, przez którą wędrowaliśmy dotychczas. Ta wiadomość jest wiele warta. Ale teraz powiedz nam, co wiesz o Stanisławie.

Twarz Bolesława zasepiła się nieco.

— Stanisław — rzekł — otrzymał legię honorową z rąk cesarza, ale zdobył ją ciężko. Przeprowadzając cesarza przez pałace się ulice, poparzył się mocno.

Niebawem nadciągnął transport, prowadzony przez Ludwika, którego przyjaciele pozdrowili serdecznie. Po rozdzieleniu odzieży cały pułk udał się na spoczynek.

## II.

W dniu 18 października wojsko franuskie opuściło nareszcie Moskwę, tę dumną stolicę carów, w której przebywało albo zbyt długo, albo zbyt krótko.

Cesarz nie myślał jeszcze o odwrocie, lecz pragnął uderzyć na wojska Kutuzowa, które stały koło Kalugi, pobić je i otworzyć sobie w ten sposób drogę do południowych prowincyi. Ale tu i owdzie podnosiły się coraz śmielsze głosy, żądające odwrotu. Widmo straszliwej zimy przerażało już wszystkich. Pomimo to jednak cesarz postanowił w dalszym ciągu próbować szczęścia.

19 października, pięknego dnia jesiennego opuścił Moskwę i sam Napoleon. Jakkolwiek wojska francuskie już przez noc całą wychodziły z miasta, to jednak i teraz bramy Moskwy pełne były francuskich żołnierzy, którzy ciągnęli po szerokiej drodze w długich, nieprzejezdzanych szeregach. Lecz nie tworzyła tego wielkiego pochodu wielka liczba żołnierzy; tworzyły je raczej wielkie wozy łupem naładowane, olbrzymia masa armat i wozy z amunicją, których nie chciano pozostawić. Po obu stronach rozwijały się długie szeregi piechoty i kawaleryi, maszerując tam, gdzie na to teren pozwalał, po polach wzdłuż drogi. Pomimo to jednak tu i owdzie pochód utykał. Nawet cesarz razem ze swoim orszakiem napróżno szukał wolnej drogi wśród olbrzymiej masy wozów najrozmaitszych.

Sieniawski nie mógł się również wydobyć z tego chaosu i musiał czekać, aż długie szeregi wojsk przeciągną dalej. Było to o tyle przyjemne, że niebawem przyłączył się do nich oddawna oczekiwany Stanisław, którego zagojone rany pozwoliły już dosiąść konia.

Olbrzymia masa żołnierzy i wozów rozlewała się trzema strumieniami przez pola, a mimo to wciąż nowe płynęły szeregi ze spalonej Moskwy.

Sieniawski, który ze swym pułkiem obrał drogę boczną, wyprzedził cesarza i z wyniosłości oglądał całą armię.

— Na Boga, jakaż armia na świecie mogłaby maszerować z takim olbrzymim łańcuchem wozów? Ale mam nadzieję, że przy pierwszym ataku kozaków pozbędziemy się tego balastu. Doprawdy, natura ludzka jest nienasycona i przypomina mi skąpcę, który zginąć musi pod zbyt ciężarem swego łupu. Zresztą żołnierze zaczną sami pozbywać się swoich zdobyczy, bo chyba nie zabiorą ze sobą tego wszystkiego do Paryża.

Tymczasem pierwsze wozy naładowane zdobyczą zaczęły trzeszczeć zdradliwie; jedna i druga oś pękała z trzaskiem i cały pochód zatrzymywał się.

— Naprzód, naprzód! — krzyczeli ci, którzy szli z tyłu.

A kiedy nie było innej rady, usuwano pośpiesznie z drogi wóz połamany. Napróżno jego właściciel usiłował się bronić. W kilka minut konie były wyprężone, zdobycz rozebrano i nikt już nie troszczył się o całe zajście.

— Jeżeli rzeczy takie dzieją się pierwszego dnia — zauważył Sieniawski — to cóż będzie potem? Ten człowiek, który teraz postradał wszystko, powinien się cieszyć, bo to, co jego spotkało dzisiaj, spotka jego towarzyszy za dni kilka.

— Doprawdy! — zawołał Bernard. — W Moskwie już chyba nic nie zostało.

— Cóż tam błyszczy takiego? — zapytał Sieniawski, i wskazał na jeden z wozów.

— Krzyż św. Iwana — rzekł Stanisław — którzy Rosyanie czczą, jako jedną ze swoich największych świętości. Widziałem, jak go zdejmowano ze szczytu. Był

Cesarz nie myślał jeszcze o odwrocie, lecz pragnął uderzyć na wojska Kutuzowa, które stały koło Kalugi, pobić je i otworzyć sobie w ten sposób drogę do południowych prowincyi. Ale tu i owdzie podnosiły się coraz śmielsze głosy, żądające odwrotu. Widmo straszliwej zimy przerażało już wszystkich. Pomimo to jednak cesarz postanowił w dalszym ciągu próbować szczęścia.

19 października, pięknego dnia jesiennego opuścił Moskwę i sam Napoleon. Jakkolwiek wojska francuskie już przez noc całą wychodziły z miasta, to jednak i teraz bramy Moskwy pełne były francuskich żołnierzy, którzy ciągnęli po szerokiej drodze w długich, nieprzejrzanych szeregach. Lecz nie tworzyła tego wielkiego pochodu wielka liczba żołnierzy; tworzyły je raczej wielkie wozy łupem naładowane, olbrzymia masa armat i wozy z amunicją, których nie chciano pozostawić. Po obu stronach rozwijały się długie szeregi piechoty i kawaleryi, maszerując tam, gdzie na to teren pozwalał, po polach wzdłuż drogi. Pomimo to jednak tu i owdzie pochód utykał. Nawet cesarz razem ze swoim orszakiem napróżno szukał wolnej drogi wśród olbrzymiej masy wozów najrozmaitszych.

Sieniawski nie mógł się również wydobyć z tego chaosu i musiał czekać, aż długie szeregi wojsk przeciągną dalej. Było to o tyle przyjemne, że niebawem przyłączył się do nich oddawna oczekiwany Stanisław, którego zagojone rany pozwoliły już dosiąść konia.

Olbrzymia masa żołnierzy i wozów rozlewała się trzema strumieniami przez pola, a mimo to wciąż nowe płynęły szeregi ze spalonej Moskwy.

Sieniawski, który ze swym pułkiem obrał drogę boczną, wyprzedził cesarza i z wyniosłości oglądał całą armię.

— Na Boga, jakaż armia na świecie mogłaby maszerować z takim olbrzymim łańcuchem wozów? Ale mam nadzieję, że przy pierwszym ataku kozaków pozbedziemy się tego balastu. Doprawdy, natura ludzka jest nienasycona i przypomina mi skapca, który zginąć musi pod zbyt ciężarem swego łupu. Zresztą żołnierze zaczną sami pozbywać się swoich zdobyczy, bo chyba nie zabrają ze sobą tego wszystkiego do Paryża.

Tymczasem pierwsze wozy naładowane zdobyczą, zaczynały trzeszczeć zdradliwie; jedna i druga oś pękała z trzaskiem i cały pochód zatrzymywał się.

— Naprzód, naprzód! — krzyczeli ci, którzy szli z tyłu.

A kiedy nie było innej rady, usuwano pośpiesznie z drogi wóz połamany. Napróżno jego właściciel usiłował się bronić. W kilka minut konie były wyprężone, zdobycz rozebrano i nikt już nie troszczył się o całe zajście.

— Jeżeli rzeczy takie dzieją się pierwszego dnia — zauważył Sieniawski — to cóż będzie potem? Ten człowiek, który teraz postradał wszystko, powinien się cieszyć, bo to, co jego spotkało dzisiaj, spotka jego towarzyszy za dni kilka.

— Doprawdy! — zawołał Bernard. — W Moskwie już chyba nic nie zostało.

— Cóż tam błyszczy takiego? — zapytał Sieniawski, i wskazał na jeden z wozów.

— Krzyż św. Iwana — rzekł Stanisław — którzy Rosyanie czczą, jako jedną ze swoich największych świętości. Widziałem, jak go zdejmowano ze szczytu. Był



to bądź co bądź widok bardzo przykry. Zdaje mi się, że Rosyanie będą się mścić na nas za to świętokradztwo.

— Daj pokój, przyjacielu — rzekł Sieniawski — nie myśl o smutnych rzeczach. Przed nami jest wojna, potrzebujemy jeszcze wiele sił i odwagi.

Stanisław chciał odpowiedzieć, ale w tej chwili droga skręciła na lewo, i ukazał się gościniec.

Kiedy Sieniawski zobaczył, że jest tam na razie miejsce, kazał ruszyć galopem.

— W ten sposób — rzekł zadowolony — będziemy mogli zostać na gościńcu póty, póki nam się będzie podobało.

Pochód jednak zatrzymywał się ciągle i wogóle marsz był nudny i jednostajny.

Cesarz znajdował się za pułkiem Sieniawskiego. Przed nim ciągnął długi szereg wozów napelniony zdobytymi chorągwiami. Leżały tam wszystkie zmieszane ze sobą: tureckie, tatarskie i rosyjskie.

— Miejsce, miejsce dla cesarza! — wołano z tyłu.

Sieniawski kazał usunąć się swoim ludziom, aby uczynić drogę wolną dla orszaku cesarskiego.

Cesarz przejechał szybko, a Sieniawski skręcił znowu na boczną drogę, aby dostać się czempredzej na czoło armii, bo to było jego głównem przeznaczeniem, aby działać razem z regularnem wojskiem.

\*

\*

\*

Siedm dni minęło od czasu, kiedy cesarz opuścił Moskwę. Wojsko znajdowało się w okolicy Małego Jarosławca, który zdobyto dnia poprzedniego.

Z nateżeniem oczekiwano rozkazu. Wszyscy wierzyli, że starcie się z siłami Kutuzowa nastąpi prędzej czy później. W małej, nędznej chacie, w której mieszkał Sieniawski, czekali oficerowie na powrót swego pułkownika, który późnym wieczorem został wezwany do głównej kwatery.

Bolesław, wraz ze Stanisławem wyszli przed chatę, która leżała na małej wyniosłości. W niepewnym świetle księżycy widać było dalekie równe pole, na którym obozowali żołnierze. Dalej widać było wielkie sosnowe lasy, w których zajął niewzruszone stanowisko Kutuzow. Przed nimi leżały gruzy Małego Jarosławca, który był wczoraj widownią straszliwej walki. Walka ta jednak zdawała się być tylko przygrywką do większej bitwy.

Nagle tętent konia przerwał ciszę nocną.

To Sieniawski wracał z powrotem.

Stanisław i Bolesław wybiegli na jego spotkanie, on pozdrowił ich i, oddając konia żołnierzowi, rzekł krótko:

— Napoić, nakarmić, zaraz wyruszamy!...

— Wyruszamy naprzód? — zapytał Bolesław, kiedy wszyscy weszli do chaty.

— Naprzód! — odparł Sieniawski — nie, tego wyrazu musi odczytać się całe wojsko raz na zawsze. Cesarz, po wielu zwycięstwach, chce się wsławić wspaniałym odwrotem.

Zmieniona twarz Sieniawskiego i niespodziewane wiadomości wywarły wielkie wrażenie na wszystkich.

— A więc cofamy się z powrotem? Do Moskwy, czy gdzieindziej?

— W przeciagu godziny wyruszamy w stronę Smoleńska.

— To niemożliwe!

— Rada wojenna trwała aż do północy — wreszcie postanowiono odwrót. Narady były co prawda bardzo burzliwe. Król Neapolu chciał koniecznie uderzyć na Kutuzowa. Bessier, który badał jego stanowisko, uznał myśl tę za niemożliwą. Cesarz rzekł: „Zrobiliśmy dosyć dla naszej sławy, czas już, aby pomyśleć o naszym losie“. Davoust był zdania, aby co najmniej odeprzeć Platowa i jego kozaków. Cesarz jednak postanowił odwrót przez Możajsk. Będziemy tedy maszerować po tej samej drodze, po której wędrowaliśmy dwa miesiące temu.

— Cesarz pragnie odwrotu! — zawołał Stanisław i patrzył na Sieniawskiego, jakgdyby nie mógł uwierzyć w jego słowa.

— A więc krwawe zwycięstwo wczorajsze na nic się nie zdało? — wołał Bolesław.

— Dopiero teraz zobaczyłem wczorajsze pole bitwy — rzekł Sieniawski. — To są straszne rzeczy. Ależ jakie bohaterskie czyny rozgrywały się tam znowu. Dzielny Delrons uderzył na czele swoich żołnierzy. Kula powaliła go na ziemię. Brat jego rzuca się, aby uratować przynajmniej drogie ciało, ale w tej samej chwili rażony kulą pada na zwłoki brata. Włoscy rekruci bili się, jak lwy. Wszystkie narody zdobyły w tej walce prawo do bohaterstwa.

— Ale cesarz prowadzi nas do odwrotu — przywodził jak echo Stanisław.

— Kto wie, czy to nie jest dowodem największej odwagi — odparł Sieniawski. — Na zwycięstwo można żołnierza prowadzić od Ebro do Moskwy, a odwaga jego nie zgaśnie ani na chwilę, ale sława męczeństwa, marsz w zimie i bez pożywienia nie każdemu się uśmiecha.

W chacie zapanowała cisza i wszyscy spoglądali w przyszłość wzrokiem pełnym niepewności i lęku.

Ludwik spojrział na Sieniawskiego i rzekł:

— Jakiż los czeka mnie i Bernarda, jeśli wrócimy na ojczystą ziemię?

— Nie zapomniałem o was, Ludwiku — odparł Sieniawski. — Do tej pory jednak nie było czasu, aby sprawę całą cesarzowi przedstawić. Cesarz otrzymał podobno wiele wiadomości o tej sprawie, które przedstawiły was w jak najniekorzystniejszym świetle. A zresztą trzeba pamiętać, że cesarz jest mocno zniechęcony do swoich niemieckich sprzymierzeńców. Marszałek Macdonald meldował cesarzowi, że pruskiemu korpusowi wprawdzie nie zbywa na odwadze, ale walczą niechętnie z wojskiem rosyjskiem. Bezczytność wojska, którem dowodzi książę Schwarzenberg, nie jest również przyjemną dla cesarza. Świadczy to bowiem, że Austria, pomimo związków rodzinnych, niepewnym jest sprzymierzeńcem. Jednocześnie donoszą agenci o związkach partyotów niemieckich przeciw Francji. Te wszystkie wiadomości nie są korzystne dla waszej sprawy. Zdaje mi się, że nie pozostaje wam nic innego, jak towarzyszyć mi dalej w odwrocie i czekać chwili odpowiedniej, kiedy będę mógł waszą sprawę przedstawić cesarzowi i liczyć na pomyślne jej załatwienie.

Ludwik i Bernard podali Sieniawskiemu rękę, na znak, że losy swoje w dalszym ciągu mu powierzają.

Wszedł ordynans, przynosząc rozkaz wymarszu, na który czekał Sieniawski.

— A więc o trzeciej godzinie — rzekł. Kilka razy przeszedł tam i napowrót po izbie i rzekł:

— Każcie siodłać. Czas się już zbliża.

III.

— Doprawdy, ten wiatr jest nieznośny, mgła dokucza także — zawołał Bernard; to mówiąc, porwał się ze swego legowiska i począł wołać: — He, Ludwik, wstawaj, czy nie słyszysz trąbki! Cóż to, nie poznajesz mię, czy co? Wyglądasz, jakbyś powracał właśnie z innego świata.

— Tak jest w istocie. Sny moje prowadziły mnie daleko od tej pustyni. Gdzie jest Sieniawski? — zapytał Ludwik po chwili.

— Zapewne wstał już dawno. Ja obudziłem się dopiero teraz, dzięki nieznośnemu uczuciu zimna.

Obaj przyjaciele załatwili się szybko z swą toaletą ranną i udali się do koni, gdzie już zebrała się większa część żołnierzy.

Gdy rozwidniło się mgła opadać zaczęła, pułk ruszył w drogę. Sieniawski wskazał ręką na kilka budynków mgłą otulonych.

— To jest Możajsk. Znajdujemy się na starej drodze. Straciliśmy ośm dni niepotrzebnie. Moglibyśmy już być niedaleko Smoleńska.

— Czy będziemy maszerować znowu przez tę dziurę? — zapytał Bernard.

— Nie. Skrećimy tędy na lewo przez ten strumień, bo tam na dole pochód napewno się zatrzyma. Droga nie będzie łatwa. Patrzcie, z jaką trudnością artylerya wydobywa się na te wyniosłości. Armaty grzęzną w błocie i trzeba podwójnej liczby koni, aby je wyciągnąć.

— Zdaje mi się, że będziemy mieli mróz — zauważył Ludwik.

— Lepszy mróz — mruczał Bernard — niż to błoto.

— Nie wywołujcie lepiej wilka z lasu! — zawołał Sieniawski.

Tak mówiąc, przeszli strumień i, złączywszy się z artylerią, stanęli znowu na znacznej wyniosłości.

— Do dyabła! — zawołał Bernard. — Tutaj wiatr wieje nienajgorzej.

— Sieniawski wprawnem okiem wodza ogarniał całą wyżynę, ale nie było tu wiele różnorożności. Gdzieniegdzie tylko kilka pagórków psuło prostą linię widnokregu. A beznadziejną szarość okolicy przerywały tylko tu i owdzie granatowe pasy sosnowych lasów. Słońce świeciło krótko i niebo pokryło się znowu gęstymi chmurami. Żołnierze maszerowali przez kilka godzin, nie rozmawiając wcale. Od czasu do czasu przesuwały się koło nich oddziały piechoty, które wyprzedzały strudzone konie. Piechurzy maszerowali ostro, aby w ten sposób rozgrzać swe skostniałe członki. I wówczas można się było przypatrzeć dziwnym ich ubiorom. Mundury znikły prawie zupełnie. Każdy bowiem na swój sposób chronił się przed zimnem i niepogodą. Widać było, że wielu znosi z trudem niewygody marszu. Kiedy Sieniawski oglądał uważnie tych ludzi, spostrzegł między nimi jakiegoś wyższego oficera, jadącego na koniu. Obaj poznali się jednocześnie. Był to Regnard.

— Aha, to ty, Sieniawski! Jakżeż się wam powodzi?

— Dosyć dobrze!

— Jesteś skromny. To wielka zaleta w tych czasach. Tymczasem ja popsulem sobie oczy podczas tego

przekłętego pożaru w Moskwie. Zresztą mam jeszcze jedno oko zdrowe. A i tem oglądałam za wiele.

— Jakto?

— Czy nie przechodziliście przez Możajsk?

— Nie, skręciliśmy z moimi ludźmi w boczną drogę.

— No, to nie straciliście wiele. Ta cała dziura zamieniona została na istny lazaret. Zostawiliśmy tam ni mniej ni więcej, tylko trzy tysiące rannych. Nawpół zagłodzeni lub zmarznięci leżą na gnijącej słomie. Aristokratą nazywa się ten, który posiada przynajmniej stary płaszcz, a rany pieką i przeżerają ciało, aż do kości.

— Mów ciszej — rzekł Sieniawski. — Po co opowiadać żołnierzom o takich rzeczach.

— Oni to sami już widzieli. Kiedy maszerowaliśmy tamtędy, ranni wołali do nas: „Weźcie nas z sobą, nie pozwólcie nam tutaj umierać!“ Bo oni już wiedzą wszyscy o naszym odwrocie. Dotychczas pocieszali się nadzieją zwycięstwa, teraz nie mają już żadnych wątpliwości. Oni wyli poprostu, jak psy kopane bez litości. Jeden dragon — poznałem go po płaszczu — przyczołgał się na próg, na swoich kikutach — kula armatnia oderwała mu obie nogi. A kiedy cesarz przejeżdżał tamtędy, zawołał głośno do niego: „Sire! służyłem w Egipcie, nie daj mi ginąć tutaj! Do Francyi, do Francyi — mój ojczel!“ Wtem głos mu odmówił posłuszeństwa; cesarz kazał go ułożyć na własnym powozie i opiekować się nim troskliwie. Ale w tej samej chwili nieszczęśliwy dragon ducha wyzionął. Łaska cesarska przyszła za późno!

— A czyż oni muszą tam zostać? — pytał Sieniawski, przejęty do głębi opowiadaniem Regnarda.

— Cesarz rozkazał, aby na każdym wozie umieszczono jednego rannego. Wszystkich innych zostawiamy na

łaskę nieprzyjaciela. I doprawdy, ci będą najszczęśliwsi, którzy najprędzej dostaną się w ręce rosyjskie. Szczęśliwsi może od nas, którzy błądzimy wśród tej mgły przeklętej.

W istocie, mgła zaległa znowu na polach. Na odległość kilkudziesięciu kroków nie było już nic widać.

Jeźdźcy otulili się w swoje płaszcze i cały orszak posuwał się powoli, podobny raczej do jakichś widm mgławicowych, aniżeli żołnierzy. Głuche milczenie panowało dookoła, tylko z daleka dochodził chrzęst kół armatnich.

Wtem koń Ludwika potknął się nagle i w tej chwili jeździec zobaczył przed sobą stosy ciał, gnijących już na rozmięklej ziemi.

— Patrzcie! — zawołał Sieniawski — jesteśmy na polu wczorajszej bitwy. Nie przypuszczałem, że to już tak blisko!

Z ponurem uczuciem patrzono na samotne pole śmierci, na którym siedm dni temu rozgrywała się straszliwa walka ludów. I jak w ciemności oko spostrzega najpierw tylko kilka gwiazd, a potem z każdą chwilą coraz więcej ich ogarnia, tak i teraz coraz bardziej wyzierały przerażające ślady zniszczenia i śmierci. Wiatr od stepów idący zwiął mgłę, która toczyła się powoli, i zdawać się mogło, że to opada kurtyna jakiegoś straszliwego teatru. Wszyscy zatamowali oddech w piersiach i wstrętny widok roztoczył się przed oczyma. Cała pustynia zaludniona była stosami ciał. Wiatr przynosił tak przejmujący oddech zarazy, że konie z nastroszonymi grzywami nie chciały ani kroku iść naprzód. Teraz widać było zwały ciał niegdyś ziemią przykrytych, które obecnie wiatr i deszcz znowu z ukrycia wydobył. Przeważna część trupów gniła. Tu i owdzie widać było



pojedyncze członki rozwłócone przez kruki i wilki. Straszliwe czaszki o pustych oczodołach, oblepione jeszcze okrwawionym włosem, piszczele i nagie kości leżały na każdym niemal kroku. Gdzieniegdzie widać było roztrzaskane lawety, pogruchotane koła, bębny, pordzewiałe kule i całe stopy potrzaskanych karabinów i szabel. To były miejsca, gdzie wrzała najzaciętsza walka. Tam, gdzie atakowała kawalerya, pole zasłane było czapkami, hełmami i czakami kawaleryjskimi. Błyszczały szkielety końskie, które kruki i wilki do ena oczyścili z mięsa.

— Tam, patrzcie na ten pagórek! — zawołał Sieniawski i wskazał ręką na bezkształtną masę, która wyrzucała się teraz z mgły. — To jest ta straszliwa reduta, przy której połowa naszego pułku zginęła.

Mimowoli podjechali bliżej, aby raz jeszcze zobaczyć miejsce, z którym związane było tyle straszliwych wspomnień. Pole bitwy wyglądało teraz o wiele okropniej, niż wtedy, kiedy huk armat rozdzierał uszy, a śmierć dziesiątkowała żołnierzy. Nawet ludzie najzimniejszej krwi nie mogli spoglądać na to miejsce, kiedy podjechano bliżej. Spokojny Regnard pierwszy ściągnął konia i rzekł:

— A więc to jest mauzoleum Caulaincourt'a. Jedźmy dalej.

Sieniawski był zupełnie przybity. Jego oczy powracały mimowoli do stosu śmierci. Wreszcie wyszeptał:

— I wszystko na próżno, bo przecież tę bitwę przegraliśmy.

— Przegraliśmy? — zapytał Bernard zdziwiony.

— Tak, przegraliśmy! To zwycięstwo było złudzeniem. Wy nie zwyciężaliście nigdy, więc nie wiecie, co to jest zwyciężać. Sławy tego dnia nikt nam nie od-

bierze, ale sława nie jest wszystkim. W tej bitwie wielka armia przegrała swoje szczęście.

To mówiąc, złączył się z Regnardem i obaj ruszyli przodem, nie mówiąc już nic do siebie.

#### IV.

Po dwóch dniach wyteżającego marszu wielka armia stanęła w Wiaźmie. Tutaj cesarz kazał zatrzymać się przez dzień cały, aby złączyć się z oddziałem, który prowadził marszałek Davoust. Siły żołnierzy były wówczas w najwyższym stopniu wyczerpane. Sieniawski był bardzo zadowolony, że żaden z jego żołnierzy nie padł po drodze. W znacznej części zawdzięczał to temu, że żołnierze jego otrzymali cieplejsze ubranie. Zresztą dobry przykład pułkownika działał zbawczo na żołnierza, który ujęty w karby walczył szczęśliwie z biedą, zimnem i trudem nadmiernym. Sieniawski zaprowadził surowy porządek podczas marszu. Żadnemu z żołnierzy nie wolno było pozostawać w tyle, ani też pod żadnym pozorem zaniedbywać koni, ubrania i broni. Umiał udowodnić swoim żołnierzom, że każde najmniejsze niedbalstwo z ich strony, któremu tak łatwo można zapobiedz, w przeciągu najbliższego czasu nieobliczone sprowadza skutki. Jego oficerowie, zarówno jak i Ludwik i Bernard, współdziałali dobrym przykładem razem z pułkownikiem.

W Wiaźmie udało się znaleźć Sieniawskiemu wygodne pomieszczenie dla ludzi i koni. Była to poprostu szopa opatrzona jeszcze dachem, która służyła koniom za stajnię. Słomy było poddostatkiem, owsa za to mniej. Jednakowoż wypoczynek w zamkniętem miejscu był poprostu zbawczym dla koni. Dla siebie i dla swoich ludzi

znalazł Sieniawski mały domek, w którym odpoczywali żołnierze po straszliwych trudach długiego marszu.

Przed wschodem słońca ruszono w dalszą drogę, która prowadziła teraz przez długi las sosnowy. Wedle rozkazu Sieniawski znalazł się teraz na końcu pochodu. Zadaniem jego było powstrzymywanie maruderów, którzy z każdym dniem mnożyli się strasznie. Jechał więc za długim szeregiem wozów, na którym znajdowały się bagaże, żywność i ranni. Niepotrzebne wozy spalono już, a pozostałe konie wciągnięto do armat. Armaty bowiem potrzebowały teraz doskonałego zaprzęgu. Każdego ranka mróz szklili drogę i konie, źle podkute, nie mogły uciągnąć ciężaru. Na bardziej stromych częściach drogi zaprzęgali się artylerzyści, ażeby uratować działa im powierzone.

Z wielkim trudem wojska dosięgły biwaków, gdzie przepędzono noc głodną i zimną. O świcie zobaczono obrazy straszliwe. Wielu żołnierzy było tak bardzo wyczerpanych, że nie można było utrzymać ich w szeregu. A droga stawała się coraz to bardziej uciążliwą. Złe żywione konie wlekły się z trudnością, i cała armia postępowała powoli zmorzona głodem, bezsennością i zimnem. Do armat trzeba było coraz więcej koni. Cesarz kazał wyprześć połowę koni ze wszystkich wozów bagażowych, nawet z tych, które należały do najwyższych oficerów. Tak więc coraz to więcej przedmiotów wyrzucano na drogę, aby ulżyć nieszczęsnym zwierzętom. Wyrzucano najpotrzebniejsze przedmioty, a nawet dzieła sztuki, które znajdowały się na wozach. Wtem w oddali rozległ się głuchy odgłos strzałów.

— Armaty grają! — zawołał Sieniawski. — Raz, dwa, trzy.



Napoleon w drodze z Rosyi.

Wszyscy słuchali uważnie. Ale niebawem strzały umilkły i cisza nastąpiła znowu.

To zdarzenie zatroszczyło bardzo Sieniawskiego. Do-  
tąd walczone z trudnościami dotychczasowego marszu.  
Cóżby się jednak stało, gdyby nieprzyjaciel uderzył na  
wyczerpaną armię? Nie uspokoiło go to wcale, że strza-  
ły umilkły. Znając system wojenny rosyjski, wiedział,  
że to może być atak oddziału kozaków, a było to dowo-  
dem, że większe siły nieprzyjacielskie znajdują się w po-  
bliżu.

Kiedy teraz droga skręciła i skończyły się zarośla  
widok zasłaniające, widać było tłum ludzi, zajęty czemś  
bardzo pilnie na boku drogi.

— Trzeba jeszcze koni do armat—rzekł Sieniawski—  
bo inaczej nie dadzą sobie wcale rady!

Jeźdźcy oglądali uważnie, co dzieje się koło drogi.  
Nagle słońce zaświeciło jasno, a promienie jego odbiły  
się imponująco wśród czarnej masy ludzkiej.

— To jest krzyż świętego Iwana! — zawołał Bernard.

I oto z najwyższem naprężeniem patrzono na to,  
co działo się w tem miejscu. Z boku drogi widać było  
małe bagniste jeziorko, otoczone dookoła szeregiem  
wozów. Żołnierze wyładowywali je i zabierali ko-  
nie z powrotem na drogę. Kiedy pułk Sieniawskiego  
zbliżył się jeszcze do tego miejsca, zobaczono, że żoł-  
nierze rzucają w bagno wspaniałe trofea, zdobyte w Mo-  
skwie, które przeznaczone były na uświetnienie tryum-  
falnego wejścia do Paryża. Ale teraz leciały w bagno  
wspaniałe brzozy, zrabowane po pałacach moskiewskich,  
dziwaczne armaty, które niegdyś zdobyła Rosya podczas  
swych walk ze Wschodem — a wreszcie nawet i krzyż  
świętego Iwana.

Pod wieczór zerwał się ostry, przejmujący wiatr. Żołnierze, których płomienie ognisk nie ogrzewały dostatecznie, niecierpliwie czekali na wschód słońca. Wreszcie bębny zahuczały znowu i trąby zabrzmiały. Wielu jednak w tej właśnie chwili zasnęło dopiero na dobre, zapominając o zimnie i głodzie. Trzeba ich było gwałtem z ziemi podnosić i do marszu popychać. A kiedy wreszcie na nogach stanęli, wielu ogłuszonych i bezprzytomnych padało z powrotem na ziemię.

Dzień zapowiadał się strasznie i był też straszny.

Przez cały czas mgły straszliwe snuły się, jak opary zdradliwe, zamieniając całą okolicę na niezmierną toń morską, niezbadaną, wszelkiej pozbawioną drogi. Wreszcie śnieg zaczął padać, pokrywając wszystko białym całunem.

Artylerya utykała coraz gorzej tego dnia. Na mocy rozkazu cesarskiego zaczęto zabierać konie kawaleryjskie. Pułk Sieniawskiego musiał w tym dniu oddać połowę koni.

W ten sposób dopiero artylerya mogła ruszyć dalej — z wielkim jednak wysiłkiem. Słychać było przekleństwa i uderzenia batów. Nieraz jedno działo ciągnęło dwadzieścia lub trzydzieści koni. A pomimo to jeszcze i ludzie musieli się zaprzęgać pospołu ze zwierzętami. Po kilku godzinach ostateczne wyczerpanie oparowało wszystkich. Porządek w szeregach rozluźniał się coraz bardziej, bo zmęczeni żołnierze zostawiali na drodze, wylamując się z pochodu. Niektórzy szukali znowu drogi wzdłuż gościńca, a tam bardzo często zapadali się w zdradliwych masach śniegowych. Niewielu tylko wydobywało się z powrotem. Broń wypadła z rąk zmarzniętych, a głosu, wzywającego pomocy, nikt wśród śnieżycy nie słyszał.

Inni jeszcze ginęli, padając na drodze, któredy przeciągało wojsko, i wygasłemi oczyma patrzyli na wlokących się towarzyszków.

## V.

Po kilku dniach takiego marszu straszliwego, wojska napoleońskie zobaczyły wreszcie upragniony Smoleńsk. Tam miały znaleźć dach spokojny nad głową, tam miały czekać na nich: pożywienie, wypoczynek i ciepło.

Z niepowstrzymaną radością patrzyli tedy żołnierze na czarne sylwety wież, które sterczały ponuro ponad śnieżnym polem.

Niedaleko od miasta spotykano po obu stronach drogi tych nieszczęśliwych, którzy, rozrywając więzy karności, pośpieszyli tu naprzód bocznemi drogami. Zgłodniałe, upiorne postacie rosły coraz to bardziej w liczbie. Tyśiące, podobne do hord rozbójniczych, otaczały teraz wojsko ze wszystkich stron. Wściekłość głodu błyszczała w ich straszliwym spojrzeniu i żaden głos rozumny nie mógł już opanować tych rozbestwionych nędzarzy w łachmanach. Jeśli znaleźli gdziekolwiek coś do zjedzenia, rzucali się na to z chciwością dzikich zwierząt, choć ciała ich, zbyt wygłodzone, nie znosiły żadnego pokarmu. Po uczcie wili się najczęściej na ziemi, konając z pianą na ustach. Ale ten przykład straszliwy nie był w stanie oduczyc innych.

Kiedy wojsko znalazło się już blisko miasta, bandy tych strasznych postaci zagradzały poprostu drogę żołnierzom, którzy pozostali jeszcze w szeregach. Stara i nowa gwardya, krocząc przodem, tylko z trudnością torowały sobie drogę. Niektórzy z nich próbowali do-

stać się po stokach śnieżystych na drogę, ale siły odmawiały posłuszeństwa. Padali z powrotem w przepaść, a krew rozlewała się po śniegu.

Teraz ujrzano bramy miasta. Nawet w karnych szeregach starej gwardyi nie można było utrzymać porządku. Pojedynczy żołnierze, do zgłodniałych tygrysów podobni, porzucali szeregi i biegli naprzód, aby zdobyć przed innymi jakieś bezpieczne schronisko.

Ale bramy miasta zamknięte były przed wszystkimi, którzy przybyli tutaj, łamiąc karność i depreczając honor żołnierza. Wojsko, nadciągające w porządku, miało przed sobą straszne widowisko. Wielu umierało pod samymi murami Smoleńska, wszyscy jęczeli, do zwierząt nieszczęsnych podobni.

Na ten widok popłoch zaraźliwy zrobił się wśród szeregów. Żołnierze, przerażeni losem towarzyszy, rzucili się teraz ku bramom miasta.

Napróżno marszałek Bessières usiłował zaprowadzić porządek, napróżno usiłowali oficerowie siłą przywrócić zlaną karność. W tej chwili rozluźnienie groziło poprostu całej armii.

Wtem na przodzie zjawił się cesarz. Jego osoba przykula do miejsca nawet najbardziej rozzuchwalonych.

Nastąpiła cisza, wśród której zabrzmiał donośny głos cesarza:

— Żołnierze! powróćcie do waszych szeregów!

I żołnierze usłuchali, a cesarz, prowadząc wojsko swe w zwartych szeregach, wjechał pomiędzy mury starej twierdzy.

W spalonym mieście, w domach bez dachów i napół zburzonych ulicach znalazła przecież wielka armia jaki taki wypoczynek. Budynki, gdzie pomieszczono składy żywności, trzeba było poprostu regularnem wojskiem



otoczyć, aby je zabezpieczyć od rozwydrzonej tłuszczy maruderów. Bolesław, który eskortował z kilkunastu ludźmi żywność dla swego pułku, musiał jej bronić niejednokrotnie z narażeniem życia.

Bądź co bądź jednak i konie i ludzie pożywili się nieco, a komendanci pułków dnia tego otrzymali od cesarza po dwie faszki wina, które tembardziej miały pokrzepić ich nadwątlone siły.

Tymczasem po obozie krążyły najrozmaitsze wieści. Opowiadano, że w Paryżu odkryto spisek generała Mallet'a, który miał ogłosić detronizację Napoleona. Wiadomość ta miała wyrzeć wielkie wrażenie na cesarzu, który zapytał podobno hr. Daru:

— Cóżby się stało, gdybyśmy zostali w Moskwie?

Złe wiadomości nadeszły podobno także i od aryergardy wielkiej armii. W okolicach Wiazmy stoczono bardzo ciężką bitwę, podczas której miało zginąć bardzo wielu ludzi. Książę Beauharnais, nie mogąc przekroczyć wezbranej rzeki, zostawił po drugiej stronie połowę swej artylerji i bagażów. Na szczęście jednak zdołano jeszcze wszystko wysadzić w powietrze.

Pobyt w Smoleńsku w życiu Ludwika i Bernarda miał odegrać pierwszorzędną rolę.

Drugiego dnia po przybyciu do tego miasta, obaj przyjaciele, przechadzając się po Smoleńsku, spostrzegli dwóch mężczyzn, otulonych w grube futra, którzy wydawali jakieś rozkazy ludziom podobnie do nich ubranym.

— Napewno — zauważył Bernard — kilku łotrów, którzy, otuleni w swoje futra, z szyderstwem patrzą, jak my głodzimy się i marzniemy. Wygodnisie!

— Przypatrzmy się im bliżej — rzekł Ludwik — co to za jedni?

Przystąpili do obu nieznajomych, którzy stali odwrócenii do nich plecami. W tej samej chwili jednak obaj mężczyźni, otuleni w futra, odwrócili się.

I wówczas zdumieni się wszyscy, zarówno nieznajomi, jak Ludwik i Bernard.

— A więc spotykamy się znowu — zaczął po kilku chwilach jeden z nieznajomych, uśmiechając się zjadliwie.

Wówczas to Ludwik poznał z uczuciem przerażenia, że przed nim stoi Beaucaire i St. Lucés.

— Żandarmi! — zawołał Beaucaire, zanim Ludwik zdążył cośkolwiek powiedzieć. — Weźcie tych obu, to są zdrajcy, zaprzędani Rosyi.

W tej samej chwili jednak Bernard odskoczył kilka kroków w tył i zawołał głośno:

— Kłamiesz, nikczemniku! Kto do mnie przystąpi, temu rozplątam łeb szablą!

Za przykładem Bernarda poszedł Ludwik, odtrącając żandarma, który go chciał zaaresztować.

W pobliżu znajdowali się żołnierze, więc Bernard wezwał ich pomocy, ale, ponieważ wołał po niemiecku, nie zwracano na niego uwagi. A St. Lucés, zwróciwszy się w tamtą stronę, rzekł po francusku:

— Ce sont des traitres allemands, des espions soldés par la Russie!

Słowa te zrobiły większe wrażenie. Żołnierze francuscy zwrócili się przeciwko dwóm przyjaciołom, aby im szablę wytrącić. Bernard nie chciał się poddać, ale Ludwik chwycił go za rękę i zawołał:

— Nie broń się! Niech nas sądzą! Sieniawski i tak nas nie opuści.

Bernard tupnął niechętnie nogą i zgrzytnął zębami.

— Jesteśmy jeńcami pana — rzekł Ludwik. — Sami żądamy przesłuchania i wyroku, ażeby te bezpodstawne oskarżenia skończyły się nareszcie. Pułkownik Sieniawski jest naszym wodzem. Żądam, aby go natychmiast powiadomiono o całym zajściu.

Żandarmi odebrali im szable i prowadzili do prowizorycznego więzienia.

Bernard chwycił przyjaciela za ramię i szepnął po cichu:

— Ludwiku, boję się, że źle uczyniłeś. A cóż będzie, jeśli Sieniawski o niczem się nie dowie?

Mimowoli wzrok Ludwika padł na sierżanta żandar mów, który szedł tuż koło nich. Człowiek ten miał legię honorową i dwie wielkie blizny, które rozświetlały prawie twarz jego.

— Sierżancie — rzekł Ludwik — jesteś żołnierzem i dlatego powinienesz wypełnić naszą prośbę.

— Zrobić mogę to tylko, co jest moim obowiązkiem.

— Jesteśmy niewinni. I jeśli pułkownik Sieniawski nie dowie się o naszym losie, jesteśmy zgubieni. Trzeba mu o tem donieść.

— Zobaczymy — mruknął sierżant niechętnie.

Wreszcie stanęli u celu. Sierżant otworzył ciężkie drzwi okute żelazem i, zeszedłszy po dwudziestu stopniach na dół, otworzył drugie drzwi. Bernard i Ludwik znaleźli się w wilgotnej, zimnej piwnicy, oświetlonej tylko mizernem światłem, które padało przez małe okienko.

— Przekłęta dziura! — mruknął Bernard. — Zimno, mokro i zaduch.

— Mam nadzieję — odparł Ludwik — że niedługo odzyskamy wolność. Ale, u licha, po co ubraliśmy się w tę całą kabałę?

— Niema teraz czasu na wyrzuty—mruknął niechętnie Bernard, straciwszy jakoś ochotę do rozmowy.

Godzina za godziną upływała, a oni czekali napróżno, aby ich wezwano na posłuchanie. Tymczasem zimno wzmagalo się z każdą chwilą, a na ścianach mróz cyzelował kwiaty śnieżyste. Wiatr huczał przeciągle i uderzał gwałtownymi podmuchami o ściany. Zmęczenie owładnęło wreszcie tak bardzo uwięzionymi, że, ułożywszy się na lodowatej podłodze, próbowali usnąć. Kiedy jednak ściemniać się zaczęło, Ludwik niepokoił się coraz bardziej.

— Obawiam się — mówił — że Sieniawski nie wie jeszcze o niczem. W przeciwnym razie mielibyśmy od niego jakąś wiadomość.

— Mam pomysł! — zawołał nagle Bernard. — Kiedy skazani przez Dyrektoryat teroryści zesłani zostali na pustynię Gujany, znajdował się między nimi także i Collet d'Herbois, ten zły aktor, który tak dobrze jednak zagrał rolę tyra. On to, zgorszony złem pożywieniem, które do rozpacz doprowadzało uwięzionych, zorganizował nowe widowisko. Oto teroryści owi poczęli wrzeszczeć bez upamiętania: „Jesteśmy głodni“. Sprzykrzyło się to w końcu poczciwemu kapitanowi, który wydał nareszcie rozkaz następujący: „Dajcie tym psom jeść, niech przestaną wyć“. Może więc i my byśmy się chwycili tej metody.

To mówiąc, kopnął nogami drzwi zamknięte i echo odezwalo się daleko.

— U dyabła — zawołał Bernard — zapomniałem o tem, że mam nogi skostniałe od zimna, więc i w ten sposób nie możemy sobie radzić.

Wtem zgrzytnęły rygle pierwszej bramy i ktoś scho-  
dził powoli po schodach. Uwięzieni czekali z napręże-  
niem, spodziewając się wolności.

Wszedł sierżant i rzekł:

— Mam rozkaz zaprowadzić was na przesłuchanie.

Otoczeni żołnierzami, wyszli z więzienia. Sierżant  
nie odpowiedział nic na wszelkie zapytania, widocznie  
nie uznał za stosowne zawiadomić Sieniawskiego. Wresz-  
cie weszli do jakiegoś budynku, a potem do sali skle-  
pionej, gdzie stał stół, na którym płonęło kilka świec.  
Było w tej sali tak bardzo ciepło, że Bernard i Lu-  
dwik, zziębnięci od tyłu dni już, omal nie stracili przy-  
tomności. Osunęli się tedy na ławkę, a sierżant wy-  
szedł, pozostawiając na straży trzech ludzi.

Kiedy powrócił, przemówił nareszcie:

— Nie mogłem wypełnić waszej prośby, gdyż puł-  
kownika Sieniawskiego niema już w Smoleńsku. Cesarz  
kazał mu się połączyć z korpusem marszałka Ney'a.

Wiadomość ta spadła na obu przyjaciół, jak piorun.

Wtem w drugim pokoju ozwał się dzwonek; sierżant  
zwrócił się do Ludwika i rzekł:

— Panie poruczniku, proszę naprzód. Pan będzie  
pierwszy przesłuchiwany.

— Bernardzie! — zwrócił się Ludwik do przyjaciela—  
ty możesz się ratować; przyrzeknij mi, że będziesz się  
starał oto. Jeśli ja tu zginę, będę wiedział, że ty przy-  
najmniej jesteś ocalony.

— Panowie, nie teraz czas na rozmowy! — prze-  
rwał niecierpliwie sierżant.

— Do widzenia, Bernardzie! — zawołał po raz osta-  
tni Ludwik i zniknął za drzwiami.

Bernard pozostał sam, pogrążony w ciężkich myślach. Dopiero za pół godziny zjawił się sierżant, aby i jego zaprowadzić na badanie.

— Co się stało z moim przyjacielem? — zapytał niecierpliwie.

— Nie wiem — brzmiała odpowiedź.

Bernard wszedł do pokoju, gdzie przy długim stole siedział St. Luces i Beaucaire, a dwaj młodzi ludzie naprzeciwko nich zajęci byli pisaniem.

— My się znamy — rzekł St. Luces, patrząc ostro Bernardowi w oczy.

— To możliwe — odparł zapytany. — Nie wiem jednak, w jaki sposób dostąpiłem tego zaszczytu.

— Łatwo to przypomnieć. Poznaliśmy się w Dreźnie.

— Tak, być może.

Beaucaire pokazał mu portret Bianki, który znaleziono podczas rewizji u Bernarda, i zapytał:

— Ta twarz nie jest nieznaną dla pana?

— Rysowałem ją — odparł Bernard sucho.

— I ja przypominam to sobie. Było to w teatrze w Londynie.

Te słowa przypomniały Bernardowi wszystko; ten wstrętny człowiek siedział z nią właśnie w tej samej łoży.

Bernard, zapominając o sytuacji obecnej, zawołał gwałtownie:

— Kto to jest ta kobieta? Siedziałeś pan z nią, więc ją znać musisz.

Beaucaire uśmiechnął się szelmowsko.

— Mamy do czynienia z wytrawnymi ludźmi. Ten pan gra doskonale nic nie wiedzącego.

— Mój panie! — krzyknął Bernard z całych sił.

— Milczeć! — wołał Beaucaire — i odpowiadać na pytania.

Bernardowi gniew mowę odebrał. A Beaucaire, biorąc to milczenie za strach, pytał dalej:

— W jaki sposób dostał się pan tu do Smoleńska?

Bernard nie odpowiedział nic, odwracając się pogardliwie od pytającego.

— Czy nie słyszał pan mego pytania? W jaki sposób dostał się pan do armii?

Ale Bernard usiadł na krześle i, nie spoglądając nawet na Beaucaire'a, począł gwizdać jakiegoś wesołego marsza. Beaucaire zbladł z gniewu.

— Sierżanciel — zawołał po kilku chwilach. — Proszę odprowadzić go do więzienia.

Sierżant stanął przed Bernardem i rzekł grzecznie:

— Panie oficerze, proszę za mną.

— Bardzo dobrze, panie sierżancie — odparł ten i, nie zwracając już na nikogo uwagi, wyszedł z sali.

Bernard, prowadzony przez sierżanta i jednego żołnierza, znalazł się znowu w tej samej piwnicy.

— Gdzie jest mój przyjaciel? — zapytał sierżanta.

— Zamknąłem go w takiej samej podłej dziurze na drugim skrzydle.

Bernard spuścił smutnie głowę i wszedł do piwnicy, gdzie czekał go straszny nocleg.

## VI.

Nad ranem obaj przyjaciele znaleźli się w tej samej sali, gdzie przyprowadzono ich wczoraj po raz pierwszy.

Drzwi otworzyły się i wszedł St. Lucas, Beaucaire i dwóch pisarzy.

St. Lucas zabrał głos, widocznie zmieszany:

— Wyrokiem najwyższego sędziego, zostaliście moi panowie na śmierć skazani.

Przyjaciele, zadrżeli pod tym niespodziewanym ciosem, ale niebawem zdołali się opanować, a twarze ich zimne, nieczułe, nie okazywały najmniejszego wzruszenia nikczemnym siepaczom.

— Sierżancie! — rzekł Beaucaire — czy ludzie twoi są w pogotowiu?

— Wedle rozkazu!

— Każ im wejść tutaj.

Dwunastu żołnierzy ukazało się na sali.

— Rozdzielcie skazanych — rozkazał St. Luces.

Sierżant chciał stanąć między nimi, ale oni podali sobie dłonie, patrząc jeden drugiemu spokojnie w oczy.

— Bądź zdrów, bracie! — rzekł Bernard silnym głosem.

— Do widzenia! — odparł Ludwik, wznosząc oczy do góry.

W tej chwili rozdzielono ich.

Bernard i Ludwik otoczeni zostali każdy przez sześciu żołnierzy.

— Na ramię broń! Naprzód, marsz! — zabrzmiała komenda i wszyscy wyszli z sali.

Beaucaire i St. Luces szli w pewnej odległości za nimi.

Na dworze świtało już. Ostatnie gwiazdy błyszcząły jeszcze w pierwszych blaskach rodzącego się światła. Na ulicach widać było ognie obozowe i czarne szeregi śpiących żołnierzy.

Skazani przeszli most na Dnieprze i znaleźli się nareszcie koło murów miejskich. Mały, ośnieżony pagórek, na którym rosło parę sosen, rzucił się im odrazu w oczy,



jako miejsce stracenia. Oficer z dwudziestu ludźmi czekał już na nich.

— Stanać! Stój! Do nogi broń! — zakomenderował sierżant.

— A więc tutaj jest koniec naszego życia — rzekł Ludwik. — Kiedy maszerowałem tutaj przed czterema miesiącami, nie przypuszczałem tego nigdy.

Wtem Bernard trącił go lekko w ramię i szepnął:

— Uważaj, może uda się nam jeszcze wyratować: uciekajmy do lasu. Tam ukryć się łatwo. Spotkamy się przy tych trzech wysokich sosnach.

Ludwik zadrżał. Serce biło mu gwałtownie i mimowoli spojrział na trzy sosny, które widniały w oddali. Nadzieja porwała go z niepowstrzymaną siłą, ukazując znowu jasne światło życia. Nim jednak zdołał zebrać myśli, już Bernard, upatrzwszy chwilę stosowną, odtrącił gwałtownie dwóch stojących przy nim żołnierzy i w wielkich susach zaczął umykać. Ludwik nie namyślał się już dłużej i poszedł za przykładem przyjaciela. Żołnierze stali zdumieni, nie wiedząc, co robić.

— Strzelać! — krzyczał oficer.

Na szczęście jednak kilku żołnierzy, którzy ruszyli w pogoń za uciekającymi, uczynili to niemożliwym. Zostawiając tedy karabiny, pobiegli wszyscy, brnąć po śniegu, za uciekającymi.

Ludwik trzymał się z początku Bernarda, ale gromada ścigających rozdzieliła ich niebawem. Wszyscy poruszali się bardzo niezdarnie, bo pod lasem śnieg stawał się coraz to głębszy. Ludwik już widział przed sobą zbawcze zarośla, kiedy nagle zapadł się w śniegu prawie po szyję. Wyteżając wszystkie siły, chciał się wydobyć z tej niespodziewanej matni, ale napróżno. W kilka chwili ścigający dosięgli go i, wyciągnawszy z zasy,

popychając kolbami i pięściami, prowadzili znowu na miejsce stracenia.

Beaucaire przywitał go szyderczem spojrzeniem. Ludwik szukał wzrokiem przyjaciela, ale Bernarda nie było: widocznie poszczęściło mu się lepiej. To spostrzeżenie przywróciło mu siły. Dwóch żołnierzy wiązało mu teraz ręce rzemieniem z tyłu, obawiając się widocznie, aby Ludwik nie próbował po raz drugi ucieczki. Sierżant przystąpił do niego z chustką w ręce i rzekł:

— Zawiążę oczy. Tak będzie lepiej.

W tej chwili przypomniał sobie Ludwik o tem, że trzeba przecież w jakiś sposób zawiadomić rodzinę.

— Mój przyjacielu! — rzekł do sierżanta — jeśli chcesz wyświadczyć wielką przysługę człowiekowi umierającemu niewinnie, zawiadom pułkownika Sieniawskiego o tem, jak zginałem, i proście go, aby pocieszył...

Wtem kilka strzałów, które padły w pobliżu, przewalało jego słowa.

— Czy to do mnie już strzelają? — zapytał Ludwik. Ale sierżant przestał już na niego zwracać uwagę.

— U dyabła, cóż to takiego? — wołał i szybko na bok odskoczył.

W tej samej chwili dał się słyszeć się hałas i nowe strzały. Jacyś ludzie w pełnym galopie przebiegali koło niego.

Strzały rozlegały się coraz gęściej. A Ludwikowi zdawało się, że to Sieniawski ze swymi jeźdźcami przyszedł go oswobodzić.

Ale wtem rozdarły powietrze okrzyki żołnierzy rosyjskich i Ludwik zrozumiał wszystko.

Znajdując się w samym środku walki, napróżno pragnął się wyswobodzić z krępujących więzów.

Tak przeszło wiele chwil straszliwego oczekiwania. Czuł to, że gdyby się wyswobodzić zdołał, mógłby się uratować, ale w żaden sposób nie mógł tego uczynić.

Wtem usłyszał znowu kilka głosów zmieszanych i kroki tuż blisko. Nagle jakaś dłoń zerwała mu przepaskę z oczu. Ze zdumieniem spojrzął przed siebie. Trzech brodatych mężczyzn stało przed nim, patrząc nań z podziwem i szyderstwem zarazem. Na ziemi leżały trupy dwóch żołnierzy francuskich i porzucone karabiny. Ludwik poznał, że znajduje się w rękach nieprzyjaciół, których los dziwny uczynił jego wybawcami. Nie znając wcale języka rosyjskiego i ogłuszony tymi wszystkimi niezwykle wypadkami, nie mógł wydobyć z siebie żadnego słowa, wyrażającego prośbę o ratunek. Tylko jego spojrzenie starczyło za wszystko. Ale nienawiść nieprzyjaciół nie miała nic wspólnego z litością. Jeden z Rosyan podniósł swój karabin, ały uderzyć kolbą Ludwika. Skrępowany, nie mógł zasłonić się rękoma, tylko mimowoli pochylił głowę. Wtem jakaś ręka powstrzymała uderzającego. Czcigodny starzec, otulony w wielki płaszcz futrzany, stanął pomiędzy nimi. Jego widok podziałał kojąco na Ludwika. Usłyszał głos miły, poważny. Trzej brodacie mężczyźni zdjęli swe czapki futrzane i, żegnając się pobożnie, pochylili głowy.

Ludwik był uratowany!

Rosyanie otoczyli go dookoła i prowadzili jako jeńca ze sobą. W gęstym lesie, przez który przechodzili teraz, widać było żołnierzy rosyjskich i kozaków, prowadzących wielu jeńców. Ludwik naprózno szukał między nimi Bernarda. Nagle wydał okrzyk zdumienia. Oto ujrzał, jak nawpół nadzy, drżący od zimna, szli St. Lucas i Beaucaire, otoczeni przez brodatych olbrzymów.

— Wszechmocny Boże! — zawołał mimowoli. —  
Odracony na zawsze niechaj będzie ten, który wątpi  
o Twojej sprawiedliwości.

W tej chwili i oni spojrzeli na niego. St. Luces  
ukrył twarz w dłoniach, a Beaucaire z właściwym sobie  
uśmiechem szyderyczym obrzucił go gradem przekleństw.

Ludwik zrozumiał tylko słowa: zdrajca i szpieg. Spoj-  
rzał na nich z godnością i rzekł:

— Mylicie się, jestem takim samym jeńcem, jak wy,  
i mam nadzieję, że Bóg ustrzeże mnie na zawsze od  
waszej złośliwości.

Żołnierze rosyjscy byli już wszyscy razem. Otoczy-  
wszy jeńców dokoła, ruszyli dalej przez las.

## ROZDZIAŁ TRZECI.

### I.

Od czasu, kiedy żołnierze Sieniawskiego podpalili zamek hr. Dolgorowa, nie ukazał się on wcale w tych stronach. Tylko ojciec Gregory rozpostarł pieczę nad dymiącemi zgliszcjami. Pod jego przewodnictwem udało się nawet część zamku uratować i ukryć wszystko, co tylko wartościowego znaleziono w jego wnętrzu. Wszystkie pokoje były puste, okna powyrywane, a ściany oczerniały od kłębów dymu.

Od pożaru upłynęły już trzy miesiące, a Dolgorow nie powracał wcale. Tymczasem wojna rozlała się szeroko po kraju całym. I dlatego ojciec Gregory nie wiedział nic o tem, co stało się z hrabią i Anną Feodorówną.

Dni mijaly jedne do drugich podobne — i powoli jesień złociła liście drzew. Zieloność sosen i świerków ciemniała z dniem każdym, a w końcu śnieg pokrył wierzcholki drzew i białym płaszczem swoim otulił poła. A starzec, patrząc wieczorem na zachód słońca, rozmyślał o tych wszystkich strasznych zjawiskach wojny, których echo aż do niego dochodziło.

Aż wreszcie pewnej nocy burzliwej i ciemnej u drzwi jego ozwało się pukanie jakieś i głos męski zawołał:

— Otwórz, dobry ojcze! Spóźnieni wędrowcy proszą cię o nocleg!

Starzec szybko narzucił futro na siebie i, otworzywszy okno, wyjrzał na dwór. Sanki stały przed bramą.

— Czy mnie pamięć nie myli, ale zdaje mi się, że słyszę jakiś głos dobrze znany.

— Znacie mnie dobrze, ojcze pobożny — odparł głos z dołu — jestem hrabia Dolgorow.

— Wszchemocny Boże! — zawołał starzec i szybko drzwi otworzył.

Przed nim stał hrabia Dolgorow.

— Pozdrawiam was, ojcze — rzekł — jesteśmy wszyscy.

— Witam was, ojcze kochany — zabrzmiał głos kobiety z sanek.

To była Anna Feodorówna, która siedziała tam razem z matką swoją. Pobożny starzec oczom i uszom wierzyć nie chciał.

— Cóż to sprowadziło was wszystkich w skromne progi moje? — pytał zdumiony.

— Opowiemy wam wszystko niebawem — odparł Dolgorow — ale teraz kobiety muszą udać się na spoczynek: są bowiem śmiertelnie znuzone. Nie budźcie, ojcze, nikogo ze służby, nasz połyk u was musi pozostać tajemnicą.

Ojciec Gregory sam zaprowadził kobiety na spoczynek i wrócił do Dolgorowa, który chodził wielkimi krokami po pokoju.

— Ojcze! — rzekł hrabia, kładąc rękę na ramieniu starca — dzieją się wielkie rzeczy. Niebawem Rosya zmyje swoją hańbę: nieprzyjaciół zaczął już odwrót.

— Wiem o tem!

— Tak, ale na odwrót jest już za późno! Nie zobaczy on już nigdy granic państwa, które tak zuchwale przekroczył. Nie wymknie się już teraz swemu losowi.

— Ale cóż działo się z tobą, panie hrabio, z twoją córką i żoną?

— Moja córka jest wdową. Kiedy uciekaliśmy do lasu nocy pamiętnej, kula nieprzyjacielska zabiła jej męża. Pośpieszyliśmy potem do Moskwy, a ja walczyłem pod Borodinem i wróciłem następnie do stolicy naszej, kiedy nieprzyjaciel wkroczył do niej. Stamtąd udaliśmy się do cesarza, do Petersburga. Wówczas to nieprzyjaciel zaplątał się pomalą w nasze sieci. Wstrzymywany rokowaniami pokojowemi, nie czuł, że zbliża się zima. Lecz kiedy ona przyszła, nie pozostało mu nic innego, jak rozpocząć odwrót. Ale ten odwrót nie może go uratować. Wszystkie drogi zostaną zamknięte. Gdziekolwiek się tylko zwróci, czekać go będzie zniszczenie i śmierć. I teraz jest czas, ojcze, kiedy serca synów Rosyi napęlić się muszą wściekłością i odwagą. Po to przybyłem tutaj, aby zebrać lud i uderzyć na nieprzyjaciela. Żaden z nich ujsć nie może, wszyscy zginąć muszą tutaj. Kiedy nastanie poranek, każ, ojcze, uderzyć w dzwony cerkiewne i zbiierz lud cały. A kiedy wszyscy przyjdą, wznieć w ich sercach płomień gniewu i zapal w nich płomień zemsty. Nawet dzieci i kobiety niech nie pozostają w chatach. Roześlemy ich jutro daleko, aby roznieśli wszędzie wici wojenne, a wieczorem tysiące zbrojnych staną w tem miejscu. Z ciemności lasów wypadną potem jak lwy na swoją zdobycz. Żołnierz francuski słabnie z głodu i zmęczenia, chwieją się szeregi, upada karność, nie trudno go pobić będzie. To uczynić musimy, ojcze, to jest naszym obowiązkiem.

— Na starą głowę moją przysięgam, że uczynię wszystko, co tylko będzie możliwe — odparł ojciec Gregory.

\*

\*

\*

Bernardowi wiodło się z początku szczęśliwie. Uciekając, schronił się w lesie tak dobrze, że nikt go odnaleźć nie mógł. Potem słyszał strzały i zgiełk wojenny. Z początku, zaniepokojony, czy to nie był odgłos egzekucyi nad Ludwikiem, uspokoił się wreszcie, kiedy poznał, że to była bitwa. Niebawem jednak zimno, brak pożywienia i broni dały mu się we znaki. Niezdecydowany, nie wiedział, co uczynić? Wracać do kraju było szaleństwem, niemożliwym do wykonania. Chciał szukać pułku Sieniawskiego, ale nie wiedział, w którą wyruszył stronę. Tak błądząc przez dwa dni wśród lasów, Bernard, zdecydowany na śmierć, ułożył się na ziemi, aby umrzeć.

Tymczasem Ludwika razem z innymi jeńcami prowadzono w dalszym ciągu przez las. Tu i owdzie palily się ognie strażnicze, przy których leżeli uzbrojeni ludzie. Ze zdziwieniem zobaczył Ludwik między nimi także i wiele kobiet. Kiedy spostrzeżono jeńców, wszyscy cisnęli się dookoła, oglądając ich ciekawie. Okrzyki szyderstwa i nienawiści słychać było na każdym kroku. Ludwik używał całej siły, aby nie stracić panowania nad sobą. Jego płaszcz ciepły wzbudził widocznie pożądanie w jakimś brodatym kolosie, który, przystąpiwszy do niego, usiłował mu przedewszystkiem zerwać czapkę z głowy. Ludwik cofnął się mimowoli wstecz i zasłonił odruchowo ręką. Olbrzym, rozgniewany, chwycił za karabin i, wywijając nim jak piórkiem, zamierzał roztrzaskać nim



głowę Ludwikowi. Wtem ozwał się głos kobiecy i szlachetna postać, otulona w kosztowne futro, stanęła pomiędzy nimi, zasłaniając Ludwika.

Brodacz cofnął się odrazu, kłaniając się w pas. Ludwik, zdziwiony tem cudownem zdarzeniem, spojrział na tę, która go wyratowała. Ona stała przerażona, drżąca od strachu, ledwo mogła utrzymać się na nogach. Wreszcie zasłona spadła z jej twarzy, i słodki głos zapytał:

— Czy mnie poznajesz, przyjacielu?

Ludwikowi zdawało się, że to jeden z aniołów niebieskich zstąpił na ziemię, aby go uratować.

To była Bianka. Drżąc, chwycił jej rękę i w niemem wzruszeniu głowę pochylił, a łzy płynęły mu obficie z oczu.

Ludzie, stojący obok, patrzyli na to wszystko ze zdumieniem.

Wtem zabrzmiał ostry męski głos:

— Co to znaczy?

Hr. Dołgorow na wspaniałym koniu zbliżył się do nich.

— O, mój ojcze! — wołała Bianka namiętnie — widzisz przed sobą naszego wybawcę.

— Jakto? gdzie? — wołał hrabia, badając oczyma Ludwika.

Nagle jednak z piersi jego wydarł się gwałtowny okrzyk:

— Więc i ty jesteś tu, nędzniku?

I hrabia zeskoczył z konia i rzucił się między szeregi jeńców, aby wyciągnąć stamtąd Beaucaire'a, który drżał z zimna i przerażenia.

Dołgorow, powodowany teraz uczuciem zemsty, zapomniał o wdzięczności.

We Włoszech i Anglii, gdzie Dolgorow podróżował w ważnych i trudnych misjach dyplomatycznych, Beaucaire był jego sekretarzem. Gdy wybuchła wojna roku 1812, Napoleon kazał szukać rosyjskich i angielskich agentów we wszystkich krajach. Dolgorow znajdował się wówczas we Włoszech i co rychlej musiał uchodzić. Beaucaire otrzymał wówczas pasport na imię Walersheima, a Anna, pod imieniem Bianki, uchodziła za jego siostrę. Wtedy to właśnie Beaucaire począł prześladować Annę Feodorównę swoją namiętnością. Kiedy hrabia go znieważył, Beaucaire zdradził ich. I wtedy to właśnie Ludwik uratował Biankę.

Dziwnym wypadkiem losu wybawca i zdrajca znaleźli się obok siebie.

— Wszchemocny Boże! — wołała Anna Feodorówna — jakżeż dziwne są Twoje wyroki.

Beaucaire rzucił się na kolana i wołał:

— Litości! litości!

Ale Dolgorow nie miał litości dla niego i zawołał:

— Weźcie go i rzućcie w ogień. Niech synowie Rosyi zobaczą, jak giną zdrajcy.

Beaucaire krzyczał głośno, ale porwano go szybko ku uciesze tłumu, który gromadził się koło ogniska, gdzie miano dokonać strasznego wyroku.

Bianka, oparta o ramię Ludwika, miała duszę przepełnioną przerażeniem i szczęściem zarazem. Straszliwy krzyk palonego Beaucaire'a rozległ się w tej chwili. Jakby chroniąc się przed okropnem wrażeniem, oczy jej zwróciły się w stronę Ludwika, znajdując tu spokój i ukojenie.

Nim Ludwik przemówił do niej zdołał, ukazał się znowu Dolgorow, który rzekł ostro:

— Córko moja, nie zapominam ani na chwilę, co jesteśmy winni temu młodemu człowiekowi, ale zdaje mi się, że rachunki nasze zostały skończone. Przecież spotykam go tutaj, jako jednego z wrogów Rosyi. Młodzieńcze, postaram się, abyś mógł wrócić do swojej armii, ale, jeśli po raz drugi dostaniesz się w moje ręce, czeka cię śmierć niechybna.

— Jeśli powrócę do wojska francuskiego — odparł spokojnie Ludwik — dzięki tobie, panie hrabio, kula mnie nie ominie.

— Jakto? — zapytał Dolgorow zdziwiony.

— To, co uczyniłem dla was na włoskiej granicy, było mi policzone, jako przestępstwo. Kara groziła mi okrutna i tylko przed nią się chroniąc, znalazłem się w szeregach polskiego pułku. Przed kilku dniami jednak Beaucaire odkrył mnie znowu, uwięził i na śmierć skazał. Twoi żołnierze, panie, zupełnie przypadkowo uratowali mi życie. Nie wiem tylko, gdzie podział się mój wierny przyjaciel.

— Jeśli to, co mówisz, młodzieńcze, jest prawdą, jesteś usprawiedliwiony. Ja wierzę w twe słowa. Książęno, jeniec zostanie odprowadzony na nasz zamek. Przedtem jednak trzeba uwiadomić o tem hrabinę.

Bianka uśmiechnęła się do Ludwika i rzekła:

— Zobaczymy się niedługo.

A kiedy znikła, uśmiech jej na długo jeszcze pozostał w sercu Ludwika.

Dolgorow chciał odejść także, ale Ludwik powstrzymał go.

— Chcę prosić, panie hrabio, jeszcze o pomoc dla mego przyjaciela, który, chcąc mnie ratować, tak podniecił gniew Beaucaire'a, że także na śmierć skazany zo-

stał. Dzisiaj miał zginąć razem ze mną, ale ratował się ucieczką.

— Dobrze, jeżeli wpadnie w nasze ręce, każę go także na zamek przyprowadzić. Lecz jak on się nazywa?

— Hrabia Lomond jest jego nazwisko przybrane, pod którym wstąpił do wojska.

— Solanow — zawołał Dolgorow — jeśli ci się będzie zdawało, że znajdziesz rodaka, przemów do niego.

— Wielmożny panie — odezwał się teraz stary żołnierz niespodziewanie do Ludwika po niemiecku. — Jestem Niemcem, od długich jednak lat opuściłem ojczyznę. I oto zdaje mi się, że w panu odkrywam pewne podobieństwo. Czy nie nazywa się pan czasem Sternfels?

— Co? — zawołał Ludwik zdumiony, kiedy usłyszał nazwisko znane mu z listu jego siostry.

— Służyłem u pana tego samego nazwiska — rzekł stary żołnierz. — Oddawna nie żyje, ale widzę przed sobą jego portret.

— Gdzież on zginął? — zawołał Ludwik, przerywając mu niecierpliwie.

— Morze go pochłonęło. Uwięziono nas w Paryżu, ale udało się nam uciec do Havru i dostać na okręt holenderski.

— Kiedy to było? — wołał Ludwik, tracąc zupełnie równowagę.

— Przed ósmnastu laty.

— Sternfels pojedynkował się?

— Tak.

— A więc to był mój ojciec! — zawołał Ludwik i, schwyciwszy starca za ręce, potrząsał nimi gwałtownie. — Ale kim ty jesteś?

— Ja, drogi panie, jestem prostym człowiekiem — mówił stary, płacząc ze wzruszenia. — Byłem jego sługą, a nazwisko moje jest Willhofen.

— Stary wierny sługo, więc tutaj cię znajduję? A więc mój ojciec nie żyje?

— Już oddawna. Okręt nasz rozbił się. Tylko kilku z nas uratowało się szczęśliwie, a ja dostałem się na okręt rosyjski.

Tutaj umilkł i, rzucając trwożliwe spojrzenie, dał znać niejako, że więcej mówić nie może. Tymczasem Dołgorow przeglądał pojmanyh.

— Solanow — zawołał — tych ludzi przeprowadzisz na zamek myśliwski; są oni jeszcze zdolni do pracy. Dla innych nie ma Rosya innego pożywienia, prócz kilku łutów ołowiu.

Jeńców było dwudziestu. Tylko jeden, jako niezdatny do pracy, pozostał. Był to Śt. Luces.

Solanow przystąpił do niego i zapytał:

— Jak się nazywasz?

— Jestem baron Rumigny de Śt. Luces.

— Rumigny! — zawołał Willhofen, i rysy jego wyraziły gniew straszliwy. — Nędzniku! A więc nareszcie nadeszła godzina zemsty.

To mówiąc, chwycił za rękę Ludwika i, pociągając go w tę stronę, zawołał:

— Ten oto młodzieniec nazywa się Sternfels! Umarli wstają, aby się zemścić. Oto jest morderca twojego ojca, oto jest morderca dzielnego Waldheim'a.

Śt. Luces patrzył błądzący jak śmierć na Ludwika i na próżno chciał coś odpowiedzieć. A i Ludwik, wstrząśnięty przeżyciami tego najdziwniejszego dnia jego życia, z trudnością panował nad sobą. Przez chwilę gniew

straszny nim ovladnął, ale potem przyszła litość na widok nieopisanej trwogi, którą przeżywał St. Luces.

— Willhofen! — zawołał do starego slugi — Bóg z nim, darujmy mu życie.

Ale Dolgorow, który usłyszał te słowa, machnął przecząco ręką.

— Tutaj ja rozkazuję! Ten człowiek zginie.

Skinął dłonią na jednego z kozaków i powiedział mu kilka słów po rosyjsku.

St. Luces natychmiast został odprowadzony. W kilka minut potem padły trzy strzały, jeden po drugim.

## II.

Dolgorow siadł na konia i, zebrawszy wszystkich żołnierzy, ruszył na ich czele szeroką drogą. Willhofen i czterech ludzi strzegło jeńców, którym pozwolono ogrzać się przy wielkich ogniskach.

Serce Ludwika tęskniło za Bianką, zapytał więc Willhofena:

— Cóż stanie się teraz ze mną, stary przyjacielu?

— Będziemy tu czekać na rozkazy księżnej.

Słowo „księżna“ zwróciło uwagę Ludwika.

— Czy księżna jest córką hrabiego?

— Tak — odparł Willhofen — niedawno poślubił ją książe Ochalskij.

— Poślubił? — zawołał Ludwik i zbladł śmiertelnie.

— Tak, ale książe już nie żyje. Mówiąc między nami, ci państwo młodzi nie przeżyli ze sobą nawet jednej nocy poślubnej. Tego dnia bowiem właśnie oddział nieprzyjacielski napadł na zamek i księcia zabito.

— Wszchemocny Boże! — wołał Ludwik — kiedyż to było?

— Siedmnastego lipca, o ile się nie mylę.

Ludwik, straciwszy panowanie nad sobą, rzucił się na kolana.

— Wielki Boże, jakżeż dziwnie kierujesz losami moimi!

Willhofen patrzył ze zdumieniem na młodzieńca, przeczuwając we wszystkim jakąś dziwną tajemnicę.

Tymczasem jednak zbliżył się do Willhofena służący, który zamienił z nim słów parę.

— Hrabina Dolgorow wzywa pana na zamek; ten człowiek zaprowadzi.

Ludwik szedł naprzód z bijącym sercem. Na połowie drogi czekała na niego Bianka. Na twarzy jej widniała wesołość, pomimo to, bystry obserwator mógł dojrzeć cichy smutek, który czaił się w jej rysach.

— Zaprowadzę pana do mojej matki. Poznał ją pan podczas naszej ucieczki z Włoch. Niechaj pana nie dziwi, że przyjęcie będzie chłodne. Ona nie umie być inną, choć wdzięczną być powinna.

— Wdzięczną? — odparł Ludwik. — Któż tu komu ma być wdzięczny? Moje drobne usługi zostały wynagrodzone wspaniale. Cudowna przestroga w Moskwie i to, co się stało tutaj, przewyższa w znacznym stopniu moje mierne zasługi. A zresztą — dodał zuchwale — spotkanie pani będzie dla mnie nigdy nie zapomnianem wrażeniem.

Bianka zarumieniła się lekko.

— I ja pamiętam je dobrze.

— Dlaczegoż rozdzieliliśmy się tak prędko?

— Mój ojciec naglił — odparła, spuszczać skromnie oczy.

Tak rozmawiając, doszli do chaty. Bianka weszła naprzód, Ludwik za nią. Ludwik ujrzał otuloną w fu-

tro hrabinę, której rysy przypomniał sobie odrazu. Ona patrzyła na niego przyjaźnie, ale jednocześnie ze sztuczną godnością.

— Cieszy mnie to bardzo, że możemy odwzajemnić się panu za przysługę, której doznaliśmy wówczas we Włoszech. Z drugiej jednak strony smuci mnie, że znajdujemy go w szeregach naszych nieprzyjaciół.

Ludwik odparł wahająco:

— Wprawdzie znalazłem się w tych szeregach przypadkowo, prawie bez mojej woli.

— Sprawa Rosyi — zawołała z zapalem hrabina — jest sprawą waszą, jest sprawą całej Europy! Czuję się jednak dzisiaj zbyt słabą, aby to panu udowodnić. Może zechce pan nam towarzyszyć do zamku myśliwskiego, oddalonego stąd o dwie godziny. Jest on położony tak głęboko w lesie, że żaden napad nieprzyjacielski nie może nam grozić. Wyruszymy dopiero wieczorem, bo konie nasze wożą rannych.

Ludwik zrozumiał, że audyencya jest skończona, sklonił się więc głęboko i wyszedł.

Późnym wieczorem wyruszono w drogę.

Ludwik był uszczęśliwiony, tylko jedna troska ciążyła mu na duszy. Była to troska o los wiernego przyjaciela, o los Bernarda, który jego życie ratując, swym może przypłacił.

Nim jeszcze wyruszono, poznał się Ludwik z ojcem Gregorym, który uratował mu życie. Czcigodny starzec opiekował się nim serdecznie i obdarzył futrem, które przydało się doskonale w mroźną noc.

Jechano lasem. Dwóch konnych służących ruszyło przodem, badając drogę tu i owdzie pokrytą olbrzymimi zaspani. Niebo było wprawdzie pochmurne, ale białość śniegu pozwalała oryentować się do pewnego stopnia.



Ludwik umieścił się na przednim siedzeniu, mając za sobą hrabinę i Biankę. Wokół panowała cisza, tylko kiedy niekiedy lekki powiew wiatru poruszał wierzchołkami ciemnych sosen. I tylko parskanie koni przerywało ciszę tej pustyni. W takiej chwili mógł Ludwik spokojnie uprzytomnić sobie to wszystko, co przeżył w tym dniu. A przeżył tyle, że z trudnością mógł sobie zdać sprawę ze wszystkiego. Jego dusza, o którą życie uderzyło ze wszystkich stron, czuła się jednak pewniejszą i silniejszą, aniżeli kiedyindziej. Nadchodziły pierwsze chwile spokoju. Rozpierzchłe obrazy układały się w zwartą całość. Przeszłość łączyła się z teraźniejszością, to, co było dalekiem, z tem, co było blizkiem. Bolesć i radość, troski i nadzieje, stawały blisko obok siebie. Jego los był podobnym do jesiennego pejzażu, gdzie przez gęste zwały chmur świeci słońce, a obok zielonego winogrodu złoci się żółty, jesienny liść. Ukochana jest tak blizko, niemal ręką może jej dotknąć. Ale czy może przycisnąć ją do serca? W tej chwili zapewne wrota otwartego rajy zamknęłyby mu się na zawsze. A potem cóż stało się z wiernym, niezastąpionym przyjaciелеm? Umarł, czy żyje?

— Zaczyna być ciemno — rzekł Willhofen, który siedział obok Ludwika. — Te lasy nie należą do najbezpieczniejszych. Słyszycie wycie wilków? Wiatr wieje w złym kierunku, mogą nas łatwo poczuć.

Stary żołnierz uniósł się nieco i krzyknął:

— Hola! ci, co tam jada przodem, niech się wstrzymają. Nabijcie strzelby, mogą się przydać.

Ludwik spojrział troskliwie na kobiety, ale ciemna noc nie pozwoliła mu dojrzeć ich rysów.

— Czy jest niebezpieczeństwo? — zapytał starego sługi.

— O, nic wielkiego — odparł ten spokojnie — nie trzeba się lękać.

— Nie o mnie mi chodzi — odparł Ludwik — ale mamy ze sobą kobiety.

— Ale mamy także i trzy strzelby.

Jechano teraz przez głęboką zaspę śnieżną, która zagroziła drogę. Wiatr ucichł i w ciszy slychać było tem dokładniej wycie wilków.

— Konie wietrzą już wilki — rzekł Willhofen cicho. — Kręć głowami, jakgdyby czuły tuż nieprzyjaciela. Na szczęście droga skręca na prawo, może się z nimi nie spotkamy.

Trzasnął z bata i popędził konie.

Tymczasem, kiedy skręcali koło olbrzymiej sosny, jeźdźcy zatrzymali się nagle.

— Co się stało? — zapytał Willhofen.

— Tu leży jakiś człowiek na drodze — odparł jeden z jeźdźców.

— Prawda! — zawołał Willhofen. — Żyw czy umarły? Odpowiadaj.

— Nie rusza się wcale, widocznie trup.

— Trzeba go usunąć z drogi, bo nie będziemy mogli przejechać.

— Pomogę wam — rzekł Ludwik — bo muszę zobaczyć, czy on naprawdę nie żyje.

Ledwc spojrział w twarz leżącego, zawołał głosem rozdzierającym:

— Na Boga! To jest Bernard! Nie żyje!

Placząc, ukląkł przy nim i całował zastygłe lica.

— Cóż się tam stało? — wołała niecierpliwie hrabina.

Bianka usłyszała okrzyk przyjaciela i szybko wybiegła z sanek.

— Najdroższy, najlepszy! O mój Bernardzie, ja tego nie przeżyję!

— Może jeszcze da się coś pomódz — mówiła Bianka wzruszona.

Położyła dłoń na sercu Bernarda i zawołała radośnie:

— Ależ on oddycha jeszcze. Weźcie go na sanki. Za godzinę będziemy w zamku i tam przywrócimy go do życia.

Szybko ruszono naprzód. Wycie wilków rozlegało się coraz to donośniej. Konie parskaly trwożliwie i biegły szybko, jakgdyby czuły, że tu tylko szybkość ocalić może.

Gdy sanki mknęły wzdłuż zarośli, te zachrzęściły nagle i olbrzymi wilk ukazał się na drodze. W tej samej jednak chwili Willhofen położył go na miejscu celnym strzałem.

Przeszło kilka chwil, a żaden wilk nie ukazał się więcej. Willhofen obrócił się do kobiet i począł je uspokajać:

— Niema już strachu. Za pięć minut będziemy w domu.

Niebawem las zaczął rzednąć, a droga stawała się coraz lepszą. Sanki mknęły z szybkością błyskawicy i wkrótce zamek myśliwski ukazał się oczom jadących.

— To mi była jazda! — zawołał Willhofen, osadzając konie przed bramą zamkową.

Hrabina, nie mówiąc ani słowa, odeszła zaraz oparta na ramieniu służącego.

Bianka rozkazała służbie, aby zajęła się natychmiast Ludwikiem i jego nieszczęśliwym przyjacielem. Potem, zwracając się do Ludwika, rzekła:



Epizod z odwrotu z pod Moskwy.

— Tutaj jest pan tylko moim gościem. Ten zamek do mnie należy.

Ludwik chciał odpowiedzieć, ale, trzymając Bernarda w ramionach, uczuł, że ten oddycha głęboko.

— On żyje, on żyje! Dobrotliwe nieba! — wołał.

— Gdzie jestem? — zapytał Bernard i otworzył oczy.

— W moich ramionach — odparł Ludwik.

Bianka patrzyła wzruszona na tę scenę. Od wielu miesięcy po raz pierwszy odczuła łagodny spokój i nadzieję.

Willhofen poniósł razem z Ludwikiem ogłuszonego i bezprzytomnego Bernarda.

W pokoju, gdzie go umieszczono, Bernard odzyskał przytomność.

— Ludwiku! — wołał. — A więc widzę cię! Ty żyjesz? A może to jest snem, a może jesteśmy już po tamtej stronie?

— My żyjemy. Bóg uratował nas i uczynił wiele innych cudów.

— Przy tobie, kochany przyjacielu, rychło do zdrowia powrócę. Ale teraz opowiadaj, gdzie jesteśmy, co się stało? Co do mnie, zostałem zwyciężony przez zimno, kiedy błądziłem po lesie. Ale co się stało z tobą?

Ludwik chciał odpowiedzieć, kiedy drzwi się otworzyły i ukazała się w nich Bianka. Świecznik, który stał niedaleko drzwi, rzucił jasne światło na jej szlachetne, radością promieniejące rysy.

— Patrz, oto nasza wybawicielka! — rzekł Ludwik, wskazując na wchodzącą.

— A więc przyjaciel pana żyje? Dzięki Bogu! — mówiła, podchodząc bliżej, głosem, który drżał od wzruszenia.

Bernard spojrział na nią zdumiony w najwyższym stopniu.

— Ależ na Boga, przypominam sobie tę twarz i wiem nawet, gdzie ją widziałem. I ten głos słyszałem już niegdyś.

Podobne zdumienie ogarnęło także i Biankę. Widok Bernarda wzbudził w niej jakieś dziwne, niezrozumiałe wspomnienia. Mimowoli wyciągnęła do niego rękę. Bernard pochylił się, aby ją pocałować. Ale w tej chwili snadź spostrzegł coś niezwykłego, bo wstrząsnął się gwałtownie, jakgdyby upiór stanął przed nim.

— Co ci się stało? — pytał Ludwik.

— Nic, nic! — wołał Bernard dziko, drżąc na całym ciele. — To znowu sen szalony.

Wstrząsając rękoma, upuścił pierścień na ziemię. Bernard chwycił go szybko i, podając go Biance, rzekł:

— Zdaje mi się, że ten pierścień jest podobny do pierścienia pani. Zamieniłem go kiedyś w Warszawie, nosi litery...

Bianka wzięła pierścień z jego ręki i porównała go ze swoim. Drżąc, padła na kolana i, składając ręce jak do modlitwy, błagała łagodnie:

— Boże Wszechmocny, nie doświadczaj mnie zbyt ciężko. Jeśli to serce ludzi się, niechaj lepiej bić przestanie.

Trzymając oba pierścienie w rękę, przycisnęła je nagle do piersi, jakgdyby to było coś najdroższego na świecie. Drżała, jak liść, pierś jej poruszała się niespokojnie. Rumieniec zaróżowił policzki, a potem zbladła znowu, jak lilia. Pierścienie wypadły z jej rąk, ramiona wyciągnęły się, nie mogąc wydobyć głosu, aż wreszcie zawołała donośnie:

— Bracie! Bracie!

Niepowstrzymaną siłą kierowana, padła w ramiona Bernarda. Ten trzymał ją w milczeniu; siły jego wyczerpały się zupełnie, z oczu splywały łzy, które padały na policzki siostry, spoczywającej na jego sercu. Otworzyły się oczy niebieskie i spojrzały z przedziwną miłością na twarz brata.

— A więc serce nie omyliło mnie. Nareszcie mam kogoś, komu ufać i wierzyć mogę. Bo ty, drogi bracie, nie opuścisz mnie już chyba nigdy.

— Nic, nie nas już nie rozłączy! — wołał z zapalem Bernard. — Nie znając cię, tęskniłem za tobą. A skoro cię znalazłem, nie nas już rozdzielić nie może.

Na korytarzu rozległy się głosy i kroki. Usłyszał je pierwszy Ludwik i, chwyciwszy Bernarda za ramię, zawołał:

— Przyjacielu, ktoś nadchodzi!

— Kto? — zapytał ten gwałtownie. — Wróg czy przyjaciel?

— Tutaj każdy jest wrogiem! — zawołała Anna Feodorówna. — Bracie, nie możemy się zdradzić pod żadnym pozorem.

— Będę posłuszny — odparł Bernard.

Willhofen i pokojówka Bianki, Jeannette, weszli. Ta ostatnia rzekła do swojej pani:

— Hrabina prosi księżnę do siebie.

— Przyjdę natychmiast. Do widzenia, panowie—rzekła, zwracając się do Bernarda i Ludwika. — Zobaczymy się za pół godziny przy wieczerzy.

Kiedy księżna wyszła z pokoju, głos zabrał Willhofen:

— Przynoszę panom całą masę ubrania. Księżna każe mi zaopatrzyć panów tymczasem w garderobę swego zmarłego męża. Na razie nie możemy służyć niczem innym.

— Pokaż-no to, przyjacielu! — wołał Bernard. — Doprawdy, to, co mamy na sobie teraz, nie jest zbyt wspaniałe. Warto zmienić na coś lepszego nasze dziurawe buty i podarte płaszcze.

Willhofen patrzył z radością na dzielnego młodzieńca.

— Doprawdy, jak to dobrze, żeśmy pana wpakowali na sanki. Szkoda byłoby w tak młodym wieku paść ofiarą wilków. W Niemczech nie spotkał się pan pewno z tymi potworami.

— A więc ty byłeś w Niemczech, stary przyjacielu?

Dopiero teraz Ludwik i Willhofen opowiedzieli Bernardowi historię dnia ostatniego.

— Hm! — rzekł Bernard, zamyślając się głęboko. — Wszystko to jest bardzo dziwne. Beaucaire i St. Luces dostali nagrodę za swoje szlachetne czyny. Doprawdy, wiele dziwnych rzeczy dzieje się na tym świecie. Ale, przyjacielu — zwrócił się nagle do Ludwika — dlaczego zwieszasz tak smutnie głowę? Bądź dobrej myśli.

To mówiąc, wziął go za rękę i uściśnął serdecznie.

Kiedy się obaj ubrali, Willhofen sprowadził ich do sali, gdzie na kominku buchał wesóły ogień. Ludwik i Bernard zostali sami. Długo patrzyli na siebie, aż wreszcie padli sobie w ramiona, obejmując się serdecznie.

— Ludwiku — rzekł nakoniec Bernard. — Kiedy przypominam sobie wszystko, co stało się w dniu ostatnim, wtedy zaczynam wierzyć, jak pobożne dziecko, w cuda i anioły.

— Doprawdy — odrzekł Ludwik, do głębi poruszony — anioł zdziałał cuda.

Drzwi, prowadzące z wewnętrznych pokoi, otworzyły się i stanęła w nich Bianka.



— Siostro! — zawołał Bernard cichutko, kiedy zobaczył, że przychodzi sama.

— Bracie! — odrzekła, uśmiechając się łagodnie.

— Bracie, siostro! Jakżeż to brzmi pięknie!

— Bracie! Bracie!

— I przyjacielu! — dodał Bernard, biorąc za rękę Ludwika. — Widzisz, siostro, oto jest człowiek, który w życiu mojem świecił zawsze, jak najczystsza gwiazda. Doprawdy, może byłoby lepiej, abys w nim zamiast we mnie znalazła brata.

— Bernardzie! — zawołał z cichym wyrzutem Ludwik.

— Przyjaciela twego, bracie, poznałem prędzej, niż ciebie, i muszę wyznać, że mam dla pana wiele prawdziwych uczuć wdzięczności.

To mówiąc, zarumieniła się lekko, a Ludwik patrzył z zachwytem na jej piękne oczy.

— Powiedz mi teraz, moja siostro — zaczął znowu Bernard — w jaki sposób poznałaś mnie tak prędko?

— Przyszłam właśnie tutaj, aby ci wyjaśnić — odparła Bianka i podała Bernardowi miniatury rodziców.

Malarskie oko Bernarda poznało tem łatwiej podobieństwo rodziców i dzieci. Bianka dała mu jeszcze list Maruszki, który miał mu wyjaśnić wszystko.

— Ludwiku — zapytał Bernard — jak nazywał się przyjaciel twego ojca, który narobił mu tyle kłopotu?

— Waldheim.

— Waldheim? — zawołała Anna Feodorówna zdziwiona. — A więc otwierają się przed nami nowe nici przeznaczenia.

Do pokoju wszedł Willhofen. Bernard uderzył się z rozpaczą w czoło.

— O, głupcze! Widocznie mózg ci zamarł, kiedy nie możesz odgadnąć tak prostej rzeczy.

Wziął obie miniatury, które otrzymał od siostry i zwrócił się do Willhofena:

— Powiedz mi, przyjacielu, czy poznajesz kogo tutaj? Na twarzy starego żołnierza odbiła się radość.

— Czy ja poznaję? Ależ to pan rotmistrz Waldheim, jakby żyw, a to jego czcigodna małżonka.

— Jakto? — zawołał Ludwik. — A więc mój ojciec...

— Poświęcił się dla mego ojca — dokończył Bernard. — Widzisz, przyjacielu, mamy jeszcze zaległe rachunki, nie licząc nowych.

— Cóż za dzień, cóż za dzień! — szeptał Ludwik.

— A więc ty znałeś moją matkę? — zawołała Bianka do starego slugi.

— Hrabina Dołgorow? — zapytał ten z kolei, zmieszany mocno i zamilkł, rzucając niepewne spojrzenia.

Bianka przestraszyła się, że tajemnica jej odkryta została, ale Bernard, który to zauważył, uspokoił ją zaraz:

— Nie obawiaj się niczego, ręczę, że ten stary sluga nie zdradzi was ani jednym słowem nawet.

Poczem Bernard opowiedział mi pokótcie wszystko, zalecając tajemnicę. Willhofen przysiągł milczenie i dodał:

— Właściwie przyszedłem się zapytać, czy wasza wysokość każe nakrywać do stołu?

— Trzeba zapytać najpierrw panią hrabinę.

Willhofen skinął głową i w milczeniu wyszedł z pokoju.

Po kilku minutach wrócił z wiadomością, że hrabina czuje się chorą i położyła się do łóżka. Tak więc zasiedli we troje do stołu. Obecność wielu służących prze-

szkadzała im w prowadzeniu swobodnej rozmowy. Dopiero kiedy zostali sami, Bianka rzekła, uśmiechając się do Bernarda:

— Teraz jestem znowu twoją siostrą. Znowu należę do ciebie.

Ludwik walczył ze sobą. Serce jego, wstrząsane raz szczęściem najwyższym, to znowu boleścią, szarpało się w straszliwej walce. Poznał, że teraz musi działać i postępować jak mężczyzna, nie licząc na niczyją pomoc.

— Bianco — rzekł głosem wzruszonym — tak mi bowiem wolno nazywać siostrę mego przyjaciela. Mam na ustach życzenie, nadzieję płynącą z głębi piersi. Jeśli chcesz, nie wypowiem jej nigdy, lecz jeśli serce twoje chce mówić, niechaj rozstrzygnie.

Ona oblała się ciemnym rumieńcem i odparła drżącym głosem:

— Moje serce?... Nie wiem, czy mu mam być posłuszną... Ale ono rozstrzygnęło już dawno.

Zawstydzona własnymi słowami, ukryła twarz na piersi brata, a on objął ją ramionami.

Ludwik chwycił jej rękę i okrył gorącymi pocałunkami. A wtedy ona, zwyciężając wstyd dziewiczy, podniosła oczy i spojrzała na twarz ukochanego pogodnie i spokojnie.

Szczęście ich wszystkich było tak wielkie, że zapomnieli o przyszłości. Opowiadali sobie, pochyleni ku sobie, o najpiękniejszych wspomnieniach. O spotkaniach tajemniczych i uczuciach, które niegdyś wzajemnie przed sobą ukrywali. Wreszcie Bernard pierwszy zaczął myśleć o tem, coby zrobić należało.

— Sostro! — zawołał. — Mogę tylko o jedno zapytać. Czy chcesz powrócić z nami do Niemiec? Czy chcesz, po-

rzuciwszy stan swój wysoki, bogactwo, szukać nowych przygód z bratem i jego przyjacielem?

— Ależ to było zawsze najgorętszem mojem życzeniem.

— A więc dobrze — rzekł Bernard stanowczo. — Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na dobrą sposobność. A teraz rozdzielmy się, bo twoja długa nieobecność mogłaby wzbudzić podejrzenia.

Słowa Bernarda brzmiały tak stanowczo i przekonująco, że Bianka natychmiast pożegnała obu przyjaciół, którzy także udali się na spoczynek.

W przedpokoju czekał na nich Willhofen.

— Wierny przyjacielu mego ojca, czy chcesz służyć tak samo jego synowi? — zapytał go Ludwik.

— Ach, panie! — zawołał stary żołnierz radośnie. Nie mam nic lepszego w życiu do zrobienia. A jeśli mam być szczery, to nie pójdzie wam tak łatwo. Hrabia i hrabina są to ludzie, którzy nie cofają się przed niczem.

— Wiemy o tem. Pomimo to jednak postanowiliśmy uciekać; księżna także. Czy to będzie możliwe?

— Do pioruna! możliwe jest wszystko. Ale taka podróż przez kraje, po których uwijają się wojska francuskie i rosyjskie, kozacy i maruderzy, nie należy do najbezpieczniejszych. Czy w te czy w tamte wpaść ręce, to przecież wszystko jedno.

— Jeśli nam dopomożesz, zapewnimy ci starość spokojną w ojczyźnie.

— Nie pragnąłbym nic więcej — odparł ze wzruszeniem Willhofen. — Uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy. Przedewszystkiem trzeba wybadać hrabinę. Mam u niej trochę zaufania i mogę dowiedzieć się łatwo, czy nie żywi jakich podejrzeń. Z tą chwilą bowiem,

musielibyśmy uciekać natychmiast. A przecież każdy dzień zwłoki tylko na rękę być nam może.

— Rób, stary przyjacielu, co uważasz za stosowne — rzekł Ludwik.

— Wedle rozkazu — rzekł Willhofen i, zakręciwszy się na pięcie po wojskowemu, wyszedł.

### III.

Przez cały dzień następny Bernard i Ludwik nie widzieli wcale Bianki. Po obiedzie słychać było strzały armatnie w oddali.

— Być może — rzekł Bernard — że to korpus marszałka Ney'a jest w ogniu.

— I Sieniawski także — dodał Ludwik.

Huk dział, tamowany przez olbrzymie lasy, trwał aż do wieczora. Kiedy przyjaciele wrócili ze spaceru, zobaczyli, że do obiadu nakryto w ich pokoju tylko dla nich obu. Nawet Willhofen nie zdawał sobie sprawy z tego i uspokajał młodzieńców, że księżna musi zapewne towarzyszyć chorej hrabinie.

Kiedy nastąpiła ciemność, przyniesiono światło. Bernard, chcąc oderwać przyjaciela od smutnych przeczuc, zaczął opowiadać o Szkocyi. Ale Ludwik nie mógł słuchać go uważnie, złe przeczucia rosły z każdą chwilą.

Była już siódma godzina, a Bianka nie ukazywała się wcale. Widocznie jakieś ważne przyczyny musiały ją od tego powstrzymać. Wreszcie wszedł Willhofen i, oglądając się ostrożnie, wcisnął Bernardowi małą karteczkę. Na karteczce tej napisano ołówkiem po angielsku:

„Bracie, kiedy wszyscy w zamku zasną, przyjdź pod okno mego sypialnego pokoju“.

— Od kogo dostałeś tę karteczkę? — zapytał Bernard Willhofena.

— Dała mi ją pokojówka księżny, Jeanette.

Bernard chodził niecierpliwie wielkimi krokami po pokoju.

— Siostra pisze mi, abym przyszedł pod jej sypialnię, kiedy wszyscy w zamku usną. Czy to się da zrobić bez zwrócenia uwagi?

— Ach, to jest drobnostka! Postaram się to urządzić bezpiecznie.

— Kiedy w zamku kładą się spać?

— Przed północą. O dwunastej godzinie nie spotkamy nikogo oprócz myszy i szczurów.

— A więc o tej porze będziemy czekać na ciebie, stary przyjacielu. Bez ciebie nie dałbym sobie rady.

Bernard i Ludwik udali się do swego pokoju i tam czekali niecierpliwie północy. Godziny wlokły się leniwie, trwożliwie nasłuchiwali każdego szmeru w zamku. Często przez chwilę panowała cisza, to znówu słychać było otwieranie drzwi, albo niezgrabne kroki jednego ze służących. Nakoniec po jedenastej godzinie wszystko, zda się, we śnie się pograżyło.

— W zamku panuje cisza grobowa! — rzekł Bernard, nasłuchując przez drzwi otwarte. — Północ się zbliża, chciałbym, aby Willhofen nadszedł wreszcie i aby te niepewności się skończyły.

Ludwik, dręczony różnymi domysłami, nie mówił jednak nic, aby nie drażnić więcej Bernarda.

— Naprawdę ktoś idzie — pewno Willhofen, ten stary lis stąpa tak delikatnie, że trudno go usłyszeć.

Bernard uchylił drzwi i zapytał cicho:

— Czy to ty, przyjacielu?

— To ja jestem! — odpowiedział głos kobiecy, i jednocześnie we drzwiach ukazała się groteskowa postać pokojówki z szalem na twarz zarzuconym.

Obaj przyjaciele patrzyli zdumieni.

— Widocznie pomyliłaś się, moje dziecko! — rzekł Bernard.

— Nie, ja nie pomyliłam się — odrzekła zawołowana, odrzucając w tej chwili zasłonę z twarzy.

To była Bianka!

— Siostrze, ty w tem przebraniu? — pytał Bernard cicho. — Na Boga, co to znaczy?

— Konieczność zmusiła mnie do włożenia maski. Jestem pilnowana. Tylko w tem przebraniu mogłam się dostać do was.

— Ale cóż się stało? — wołali obaj przyjaciele.

— Hrabina podejrzewa. Tej nocy przekonałam się, że wysłała posłańca do hrabiego, aby przybył. A zatem strzeżona jestem pilnie. Hrabina odkryła widocznie moją tajemnicę. Chciałam rozmówić się z tobą, bracie, przez okno, ale było to niebezpieczne. Użycie szat Jeanetty wydało mi się lepsze. Teraz pytam się was, co należy czynić.

— Szybka ucieczka jest jedynem wyjściem z tej sytuacji — odparł Bernard. — Gdybyśmy mogli dzisiejszej nocy dostać się do Smoleńska.

— Możliwem jest, ale pocóż ważyć się odrazu na ostateczności, kiedy nas jeszcze nic do tego nie zmusza?

— Nie, siostrze — rzekł Bernard — czekać nie można. Zresztą teraz ja i Ludwik mamy do ciebie większe prawo, aniżeli ci przybrani rodzice.

— Niechże tak będzie — rzekła Bianka po kilku chwilach walki wewnętrznej.

— A uciekać musimy natychmiast — dodał Bernard. — Każda minuta jest droga.

— Dokąd się udamy?

— Do Smoleńska.

— Jakto! — zawołała przerażona. — Tam, gdzie niedawno skazano was na śmierć?

— Od czasu, jak nasi oskarżyciele nie żyją, nic się nam teraz stać nie może.

— A więc dobrze. Willhofen dostarczy nam koni i sanek.

— Czekamy tu na niego, przyjdzie lada chwila, bo o północy miał mnie zaprowadzić pod twoje okno — odrzekł Bernard.

— Ale co to? Czy nie słyszycie? Ależ najwyraźniej słyhać trzaskanie z bicia i dzwonki u sanek.

Bianka zbladła.

— Sanki, które zbliżają się do bramy zamkowej! Ależ to mój ojciec.

— On, czy nie on — zawołał Bernard — nie pora teraz na ucieczkę! Śpiesz, siostró, do swego pokoju, zanim przybycie sanek obudzi służbę. Gdy znowu nastanie cisza, będę pod twojem oknem.

Ledwo Bianka odeszła, kiedy u bramy zamku ozwało się gwałtowne stukanie. Bernard słuchał ciągle przez drzwi uchylone. Dwóch mężczyzn szło po schodach na górę. Przodem kamerdyner ze świecznikiem w ręce, a za nim mężczyzna szczelnie otulony futrem.

W kilkanaście minut potem ktoś lekko do drzwi zapukał. To był Willhofen. Sprytny żołnierz odgadł już wszystko, co się stało. Zdaniem jego, nie należało nic czynić tej nocy.

Bernard uwiadomił o wszystkim siostrę za pomocą nowej karteczki, którą Willhofen rzucił do jej pokoju.



Na drugi dzień hrabia odwiedził obu przyjaciół. Z wytrawnością dworaka zagrał przed nimi rolę uprzejmego gospodarza. Ludwik, mniej znający się na formach towarzyskich, brał to wszystko za dobrą monetę. Bernard natomiast był mocno zaniepokojony i, udając naiwne-go, starał się delikatnie hrabiego wybadać. Potem Bernard usiłował zwrócić rozmowę na tory polityczne. Ale hrabia nie chciał o tem rozmawiać.

Przez cały czas rozmowy hrabia obserwował bardzo pilnie twarze obu przyjaciół. Mogło się zdawać, że bada, który z nich jest bratem jego przybranej córki.

Na obiad panie nie przybyły wcale. Dołgorow był znowu wytwornym towarzyszem swoich gości.

Dopiero o zmierzchu Bernard otrzymał znowu karteczkę:

„Jesteśmy zdradzeni! Dołgorow domyśla się wszystkiego. Dzisiaj rewidowano w tajemnicy przede mną mój pokój“.

Los szczęśliwy pomógł uciekającym. Dołgorow wysłał przez Willhofena rozkaz o przysłanie do zamku załogi. Ale stary żołnierz nie był już teraz posłuszny woli hrabiego. Jego ekspedycja była tylko doskonałym pozorem do ucieczki dla wszystkich. Bianka powiadomiła o wszystkim ojca Gregorego, który przyrzekł nawet w razie potrzeby ukryć ich w swojej chacie.

Nad wieczorem Willhofen udał się śpiesznie na dół, aby pod pozorem siodłania konia przygotować sanki.

Tymczasem Bianka przygotowywała się szybko do podróży, zabierając ze sobą najpotrzebniejsze ubranie, pieniądze, klejnoty, papiery i pamiątki.

Ludwik i Bernard, uzbrojeni w pistolety, zeszli na podwórze. Bernard, stanąwszy pod oknem Bianki, zga-

sił zapalone światło. Był to znak umówiony. Ciemność sprzyjała uciekającym.

Wreszcie Ludwik ujrzał trzy postacie, schodzące ze schodów. To Bernard prowadził Biankę i pokojówkę jej, Jeannette, która w żaden sposób nie chciała się rozstać ze swoją ukochaną panią.

— Czy to ty, Bernardzie? — szepnął.

— My jesteśmy.

W tej samej chwili zabrzmiał straszliwy głos Dolgorowa:

— Zdrada! zdrada! Zamykajcie drzwi! Chwytajcie ich!

Nad głową Bernarda błysnęła szabla. Uderzony zniecacka, padł na ziemię. Bianka krzyknęła przeraźliwie i zasłoniła Bernarda przed drugim ciosem.

— Na Boga! To mój brat! — wołała głosem rozdzierającym.

Tymczasem Ludwik wyrwał pistolet z za pasa i strzelił do Dolgorowa. Zranił hrabiego lekko, sam zaś rozbroił się.

Kilku służących powaliło go na ziemię, a Dolgorow krzyczał:

— Wiążcie ich! Wiążcie!

Hrabia porwał Biankę i przemocą prowadził ją po schodach. Na górnym korytarzu spotkali hrabinę, zwabioną hałasem i strzałami.

— Weź swą córkę do siebie, hrabino. Honor naszego domu jest w niebezpieczeństwie.

— Nie jestem waszą córką! — wołała Bianka. — Nie uznaję waszych praw do mnie! Wyście zamordowali mego brata!

Wyrwawszy się z ramion hrabiego, rzuciła się w stronę służących, którzy wlekli Bernarda i Ludwika.

— Jesteście moimi poddanymi i mnie musicie słuchać! Opatrzcie rannego i nie ważcie się ich więzić.

Dolgorow rzucił się za nią.

— Kto się sprzeciwi moim rozkazom, temu łeb rozplątam!

Poddani księżnej stali niezdecydowani.

— Wiążcie tych psów i rzućcie ich do piwnic zamkowych!

Bianka, opasawszy ramionami ranną głowę brata, wołała rozpaczliwym głosem:

— Nie, ja cię nie opuszczę, mój bracie, umrę razem z tobą!

Służący odstąpili z uszanowaniem. Tylko Dolgorow pienieł się z wściekłości.

— Jeśli nie chce go opuścić, to weźcie ją razem z nimi!

W tej chwili na schodach rozległ się jakiś głuchy gwar głosów. [Wszyscy umilkli i nasłuchiwali.

— Co się tam stało? — wołał Dolgorow. — Niech jeden zejdzie i zobaczy.

Tymczasem jednak gromada jakichś ludzi wbiegła po schodach.

— Za mną, za mną! — wołał jakiś silny głos.

Ludwik poznał głos Willhofena. A zanim myśl o pomocy zrodziła się w jego sercu, padł strzał jeden i drugi. Wszyscy służący rozpierzchli się, jak stado wróbli. A w blasku czerwonych pochodni zjawił się dzielny Willhofen z szablą w prawej dłoni. Za nim szła zbrojna gromada, krzycząc przeraźliwie.

Dolgorow został pojmany. Willhofen chwycił za rękę Ludwika i szepnął:

— Jesteśmy uratowani! Zamek został zdobyty przez jeńców francuskich ze mną na czele.

— O, stary lisie! — zawołał Bernard — który przyszedł już do przytomności.

Nie było już teraz wiele czasu do stracenia. Rannego Bernarda umieszczono na przednim siedzeniu, razem z Ludwikiem. Obok niego siadła Bianka.

Tymczasem Willhofen zgromadził wszystkich Francuzów, którzy zdążyli zaopatrzyć się w ubranie i broń znalezioną na zamku.

— Siadajcie na konie — wołał stary żołnierz — i jedźcie za nami. Na drodze, koło trzech sosen, wy skręćcie na prawo do Smoleńska, my na lewo. Hrabiego możecie wziąć ze sobą jako zakładnika.

To mówiąc, stary skoczył na konia i ruszył przodem. Za nim szły sanki, brzęcząc dzwonkami w ciszy nocnej.

Kiedy ujechali kilkadziesiąt kroków, Bianka odwróciła głowę. Widząc za sobą wieże zamku, odetchnęła swobodnie, a przytuliwszy się do piersi brata, czuła się bezpieczną jak nigdy.

---

## ROZDZIAŁ CZWARTY.

### I.

Ciemno jeszcze było, kiedy Sieniawski na czele swego pułku, razem z całym korpusem Ney'a, opuszczał mury Smoleńska. Na pochmurnem niebie nie było widać gwiazd, tylko odblask powłoki śnieżnej rozświecał nieco ciemność nieprzejrzaną. Wszędzie było cicho i pusto, jeno kiedy niekiedy chrzęściły koła armat i broń brzęczała. Żołnierze nie mówili nic, przedzierając się w milczeniu przez śnieżną pustynię. Kiedy znaleźli się w lesie, rozległ się głuchy łoskot i ponad szczytami drzew zajaśniał blask niespodziewany. Wszyscy słuchali w naprężeniu, spodziewając się lada chwila napadu nieprzyjaciela.

— To nic — rzekł Sieniawski do Stanisława. — Burzemy mury twierdzy. Według starego prawa wojny, nie należy zostawiać nieprzyjacielowi tego, czego sami posiadać nie możemy.

Powoli zaczęło świtać i w brzasku niepewnym widać było długi pochód żołnierzy i wozów.

— Zostań przy ludziach, Stanisławie, a ja zobaczę, co się dzieje z naszymi rannymi i chorymi.

To mówiąc, ruszył wzdłuż wozów, aż do tego miejsca, gdzie znajdował się ranny Bolesław wraz z innymi żołnierzami jego pułku.

— No, jakże się wam wiedzie, przyjaciele? — zapytał Sieniawski.

— Jako tako — odparł młodzieniec o wybladłych licach, z głową obwiązaną czarną chustką.

— Ale czy nie dowiedziałeś się niczego, pułkowniku?

— Wszystko było napróżno — odrzekł Sieniawski. — Mój Boże, wojna polknęła ich, jak wielu innych.

— Kto wie — odparł Bolesław — może spotkamy ich jeszcze.

— Ja już nie wierzę.

— Sądzę — odparł ponuro młodzieniec — że śmierć nie na długo dzieli przyjaciół.

— Czy twoja rana jest tak ciężka, że już na tamten świat się wybierasz?

— Nie, czuję się lepiej, za kilka dni będę siedział na koniu.

— No, to życzę powodzenia! — zawołał Sieniawski, i, spiąwszy konia ostrogami, powrócił do Stanisława.

Bolesław żałował bardzo przyjaciół, którzy zniknęli bez śladu i, nie wierząc w ich ocalenie, poddawał się myślom ponurym o tej wojnie, której ofiary mnożyły się z dniem każdym. Siedząc na wozie, patrzył na nieszczęśliwych rannych, którzy cisnęli się obok siebie i często umierali bez jęku. Wozy i armaty, ciągnięte przez wyczerpane konie, zatrzymywały się co chwila, a jeźdźcy i piechota pozostawiali je na drodze, nie odwracając nawet głowy. Często zdarzało się na wyniosłościach lodem

pokrytych, że ciężki wóz staczał się w przeciwną stronę, pociągając za sobą osłabłe zwierzęta.

Koło Korytni noc powstrzymała dalszy marsz. Rozpalono ognie obozowe i rozmieszczono się wedle możliwości w gruzach nędznej osady.

Sieniawski umiał dostarczyć, jak zwykle, swoim żołnierzom: to, co za najlepsze uważał.

Ledwo jednak zasiedli przy ogniskach obozowych, kiedy zabrzmiały strzały i kule świsnęły im nad głowami.

Sieniawski wskoczył natychmiast na konia, wołając:

— Do broni! Do broni!

Marszałek Ney nadjechał galopem i wołał do niego:

— Pułkowniku, proszę rekognoskować teraz na lewym skrzydle!

Marszałek pojechał dalej, zbierając wojsko, przerażone nocnym napadem.

Sieniawski, na czele swojego małego oddziału, ruszył w ciemną noc, aby szukać nieprzyjaciela. Na wyniosłości, położonej tuż koło obozu, na tle śniegu widać było jakąś czarną masę.

— Czy to zarośla, czy ludzie? — zapytał Sieniawski Stanisława.

— Na razie nie rozróżnić nie można.

— Jedźmy dalej, zobaczymy, co mamy przed sobą.

Teren zamienił się teraz w głęboką przepaść, wzdłuż której posuwać się musiał oddział Sieniawskiego. Nagle, tuż obok nich pojawiło się dwudziestu kozaków. Sieniawski kazał strzelić w ich stronę, lecz oni przepadli w ciemnościach na swoich małych i zwrotnych konikach.

Czarne masy, które zauważono już przedtem, zaczęły się także poruszać. Sieniawski poznał, że to cofa się wielki oddział kozacki. Niedaleko od tego miejsca ludzie Sieniawskiego odkryli wielką ilość armat i wozów

z amunicją, które pozostawiono tutaj dla braku koni. Kozacy wysadzili prawdopodobnie część tego w powietrze i to było przyczyną niespodziewanego alarmu.

Kiedy wracali wzdłuż przepaści, zobaczyli nagle jakiegoś człowieka, który biegł szybko przed nimi. Sądząc, że to Rosyanin, który może dostarczyć ważnych wiadomości o nieprzyjacielu, Sieniawski i Stanisław zabiegli mu drogę. Nieznajomy, sądząc, że niema dla niego ratunku, zawołał nagle:

— Czy nie mówi kto z was po francusku?

— Ależ u diabła, znam ten głos — rzekł Sieniawski — to Regnard.

— Tak, ja sam! — zawołał tamten radośnie i wyciągnął ku nim ręce.

— U diabła, jakim sposobem znalazłeś się tu, pułkowniku?

— A wy co tu robicie?

— Maszerujemy z marszałkiem Ney'em. Nasz obóz jest oddalony o pięćset kroków.

— A więc chodźmy — rzekł Regnard.

I, idąc między kołami Sieniawskiego i Stanisława, opowiedział:

— Wiecie, że wyruszyłem wczoraj z wice-królem włoskim ze Smoleńska. O trzy godziny stąd zaatakowały nas wojska rosyjskie. Dostałem się w ręce kozaków, którzy pędzili mnie przed sobą knutami. Ha, nie mogłem im tego wytłómaczyć. Ale co więcej, spotkaliśmy nawet generała rosyjskiego i prosiłem go, aby mnie uwolnił z pod tej podłej opieki, ale ten roześmiał się tylko i powiedział, że bat kozacki nie uznaje stopni wojskowych.

Sieniawski zgrzytnął zębami ze złości.

— Ładne traktowanie ludzi ucywilizowanych. Cóż dalej? Opowiadaj.



— Na szczęście nie wysłano mnie z transportem jeńców do Tobolska, albo Irkucka. Za mało się nas jeszcze nazbierało i dlatego widocznie moi opiekunowie wadzili mnie ciągle ze sobą, nawet wtedy, kiedy tu dziesięć minut temu wysadzali w powietrze amunicję. Na szczęście jednak wy nadciągnęliście, a kozacy nie lubią mieć do czynienia z rażnym i odważnym żołnierzem. Oni szukają nas dopiero wtedy, kiedy się nam już niewiele od życia należy.

— Ale mówileś o bitwie — rzekł Sieniawski. — Jakże się wam powiodło?

— Jechałem przy boku księcia — zaczął Regnard ponuro — smutne myśli prześladowały nas obu. W dwie godziny za Krasnem natrafiliśmy na rozproszonych żołnierzy, którzy maszerowali, pozostawieni własnemu losowi, bez najmniejszego porządku. Nagle zaczęli się łączyć i tworzyć zwartą masę. To zastanowiło nas. Wreszcie wszystkie pagórki wokół pokryły się żołnierzem i z przerażeniem zobaczyliśmy, że jesteśmy otoczeni przeważającymi siłami nieprzyjacielskimi. Ten mur nieprzebyty stanął pomiędzy nami a cesarzem. Pomiedzy ojcem a synem. Dopiero teraz poznaliśmy, że jesteśmy oddzieleni od naszego korpusu o całą godzinę drogi. A przecież nie mogliśmy liczyć na bezdarnych maruderów, którzy włóczą się po drogach. Parlamentarz rosyjski zjawił się przed wice-królem i rzekł: „Dwadzieścia tysięcy żołnierzy rosyjskich zamyka wam drogę, pięćdziesiąt armat czeka tylko, aby was zmiażdżyć. Cesarz i jego gwardye zostały pobite. Prawdopodobnie wszyscy znajdują się już w niewoli“. Patrzyłem na wice-króla i odpowiedziałem natychmiast: „Ruszajcie precz! Jeśli wy macie dwadzieścia tysięcy żołnierzy, to my mamy ośmdziesiąt. Wódz francuski nie poddaje się nigdy bez bitwy“.

Rosyanin odjechał i niebawem wszystkie wzgórza pokryły się bateriami nieprzyjacielskimi. Chmura dymu okryła nas i grad kartaczy posypał się na bezbronnych. W popłochu zbili się w jedną gromadę, jak stado owiec, na które wilk uderza. Wice-król z trudnością panował nad sobą, czuł, że powinien stanąć na czele swego korpusu, z drugiej jednak strony nie chciał opuścić tej bezbronnej gromady.

Wreszcie jednak szef sztabu generalnego, general Guilleminot, nakłonił go do odwrotu. Pomiędzy rozproszonymi żołnierzami znajdowało się wielu oficerów, pułkowników, nawet generalów — a wszyscy maszerowali na piechotę. Szybko utworzono kompanie, generałowie zajęli miejsce kapitanów, pułkownicy oficerów, a oficerowie stanęli w szeregach. Każdy posługiwał się tą bronią, która mu pozostała. Niewielu posiadało karabiny, niewielu nawet bagnety. Ale odwaga i honor musiały nam za broń wystarczyć. Kiedy wice-król pośpieszył do swego korpusu, my uderzyliśmy na nieprzyjaciela.

Przez godzinę wytrzymywaliśmy straszliwy grad kartaczy, czekając napróżno, kiedy nadciągnie wice-król ze swymi żołnierzami. Widocznie zaatakowany został także przez poważne siły nieprzyjacielskie, bo przed nami i za nami rozlegał się wszędzie łoskot dział armatnich. Rzechy można, że cała droga od Smoleńska aż po Krasne zmieniła się w olbrzymie pole bitwy. Nie widząc wreszcie innego ratunku, postanowiliśmy cofnąć się z powrotem aż do tego miejsca, gdzie znajdował się korpus wice-króla. Nieprzyjaciel, nie rozumiejąc z początku naszego manewru, patrzył na nas ze zdumieniem, nie wiedząc, co czynić. Niebawem jednak trzydzieści armat i dziesięć tysięcy karabinów wystrzeliło jednocześnie. Połowa naszych żołnierzy legła na ziemi, krwią śnieg zlewając.

Ale inni cofali się nieustraszenie, w największym porządku. I tak wreszcie mała garstka dostała się na miejsce, gdzie przyjaciele przyjęli ją z otwartymi ramionami. I mnie zdawało się, że jestem uratowany, wtem dyabli przynieśli pułk kozacki, który wziął mnie razem z innymi do niewoli. Resztę już wiecie!

— Ależ co stało się z wice-królem? czy wiesz co o jego losie?

— Gdyby spotkało go jakie nieszczęście, nie mówiłbym wpierrw o sobie. Przez cały dzień bił się, jak lew. Zobaczycie jeszcze ślady tej bohaterskiej walki. Wreszcie noc otoczyła go swoją opieką. Właściwie Rosyanie nie odnieśli najmniejszego nawet zwycięstwa. Nie dokonawszy rozstrzygającego ataku, zadowolili się obsadzeniem najlepszych stanowisk. Kiedy słońce zaszło, Rosyanie zobaczyli dzielnych żołnierzy ruszających już do ataku na Krasne.

— Ależ w jaki sposób było to możliwe? — zapytał jednocześnie Sieniawski i Stanisław.

— Zawdzięczamy to wam, Polakom. Niechaj Francya nie zapomni nigdy, że wy to uratowaliście cały korpus. Kiedy noc nastąpiła, wice-król widział, że jest zgubiony. Nie pozostawało mu nic innego, jak okrążyć nieprzyjaciela dookoła. Ponieważ nieprzyjaciel skoncentrował siły swoje po lewej stronie drogi, wice-król postanowił obejść go na lewym skrzydle, to jest po prawej stronie drogi. Ostrożnie wyruszyli żołnierze w nocy, pozostawiając palące się ogniska. Idą cicho przez pola śnieżne, wzdłuż linii wojsk rosyjskich. Wtem na niebie ukazuje się księżyc, jakgdyby w tym kraju nieszczęsnym wszystko się przeciw nam sprzysięgło. Nasi widzą Rosyan tak wyraźnie, że i ci widzieć muszą. Nawet najodważniejsi stracili ducha. Szydłwach

rosyjski widzi, co się dzieje, i woła na alarm. Najszlachetniejszy wódz Francyi, chluba wojska, najdzielniejszy żołnierz byliby zgubieni niepowrotnie, gdyby nie uratował ich Polak. Pułkownik Klicki, nie zastanawiając się ani chwili, osadza konia przed wartą i woła przyciszonym głosem:

— Głupcze, milecz! czy nie widzisz, że to korpus Uwarowa zachodzi tyły nieprzyjacielowi?

Żołnierz, słysząc swoją mowę ojczystą, milknie w tej chwili. Kilku oficerów rosyjskich, którzy słyszą to wszystko, przystępuje do niego. Pułkownik Klicki rozmawia z nimi cicho i prosi, aby powstrzymali kozaków, bo ci gotowi narobić niepotrzebnego hałasu. A przez ten czas cały korpus wice-króla włoskiego wydobyl się z matni.

Sieniawski słuchał opowiadania z prawdziwem wzruszeniem.

— Francya winna wam jest wdzięczność i podziw. Byłaby pogarda godną, gdyby kiedykolwiek zapomniała o tem.

— Od kogo dowiedzieliście się o tem wszystkim?— zapytał Sieniawski.

— Opowiadał mi to kapitan Lebrun, który później dostał się także do niewoli.

Powróciwszy do obozu, Sieniawski i Regnard udali się do marszałka Ney'a z raportem.

Wódz wysłuchał z uwagą opowiadania Regnard'a i rzekł:

— Mamy ciężki dzień przed sobą. Trzeba, żeby żołnierze wypoczęli. O drugiej po północy wyruszymy.

## II.

Księżyc świecił jeszcze, kiedy żołnierze wyruszać w dalszą drogę. Nie ozwał się żaden bęben, żaden dźwięk trąby. W najgłębszej ciszy, jak brzmiał rozkaz, rozpoczynał się dalszy marsz. Regnard dostał konia i jako adjutant marszałka jechał tuż obok niego. Marszałek, uporządkowawszy jako tako pochód, znalazł się na tem miejscu, gdzie spodziewał się ataku nieprzyjaciela. Przez kilka godzin wojska francuskie przedzierały się z trudnością po głębokich zaspach śnieżnych, nie widząc nawet ani śladu nieprzyjaciela. Mróz zelżał trochę, spodziewano się nawet odwilży. Kiedy słońce wschodzić poczęło, żołnierze zobaczyli straszliwe ślady walki wczorajszej. Przyzwyczajeni do straszliwych widoków, nie mogli jednak patrzeć obojętnie, bo rzeczywistość przeszła ich oczekiwanie.

Od wielu już dni po raz pierwszy zobaczono słońce. Olbrzymie cienie ludzi i koni ciągnęły się po białej przestrzeni, dziwiąc oko.

— Zdaje mi się, że dzień będzie pogodny — rzekł Sieniawski — jeśli wiatr się nie odwróci.

Okrzyk przerażenia zabrzmiał nagle. Sieniawski obejrzał się w stronę, gdzie wołano. Jak daleko oko sięgało, widać było straszne pobojowisko. Stosy ciał ludzkich i końskich, armaty potrzebne w drzazgi, wozy, broń i bagaże. To było pole bitwy, gdzie dwa dni temu wice-król włoski, ze wszystkich stron zaatakowany, bronił się bohatercko. Głęboka cisza panowała w szeregach żołnierzy. Potworny widok przejął ich lękiem, jak upiór olbrzymi. Nawet marszałek czuł się wstrząśniętym, ale tylko przez chwilę. Znowu rzucał orle spojrzenia wodza po

całej okolicy i, szukając nieprzyjaciela, myślał, gdzie najlepiej byłoby się z nim spotkać.

— Żołnierze! — zawołał, zwracając się do szeregów. — Wasi towarzysze zdobyli tutaj sławę niezapomnianą, przedzierając się przez nieprzyjaciela. Być może, że i dzisiaj spotka nas także ten sam zaszczyt.

Pochód ruszył dalej. Regnard, jadąc teraz tuż obok Sieniawskiego, pokazywał mu zwłoki, po których mundurach można było poznać, jaki pułk w jakim walczył miejscu.

— Tam stała czternasta dywizya. Tam musiała walczyć włoska gwardya.

— Ale gdzież są ci, co przy życiu zostali? — zapytał Sieniawski.

— Hm — mruknął Regnard — prawdopodobnie dotarli szczęśliwie do Krasnego. Ale co stało się między wczorajszym a dzisiejszym wschodem słońca, tego nie wiem.

Wtem wśród ciszy rozległ się głuchy, daleki strzał armatni. Ten niezawodny znak, że nieprzyjaciel znajduje się w pobliżu, poruszył całe wojsko. Wprawne ucho żołnierzy rozeznało odrazu, w jakiej odległości strzelano. Nie wiedziano tylko jeszcze, czy to jest początek bitwy, czy też sygnał jakiś, czy wreszcie strzał bez żadnego znaczenia.

Marszałek kazał stanąć. Sieniawski otrzymał rozkaz, aby z oddziałem swoim ruszył dalej dla zbadania sytuacji. Reszta wojska rozłożyła się tymczasowo obozem, aby zebrać siły do rozpoczynającej się walki.

Sieniawski napróżno szukał nieprzyjaciela. Na horyzoncie nie było widać nic innego, prócz długich linii lasów sosnowych. Wreszcie Sieniawski rozdzielił swój oddział na dwie części i, oddawszy dowództwo jednej

z nich Stanisławowi, badał w ten sposób teren po obu stronach drogi. Gdy razem z garścią swych żołnierzy dojechał do skraju lasu, zobaczył liczne ślady kopyt końskich, które mnożyły się coraz bardziej. Ponieważ ślady były świeże, dowodziło to, że nieprzyjaciel musi znajdować się w pobliżu. Oddział Sieniawskiego jechał powoli, przystając często i nadsluchując uważnie.

— Tu, tu, panie pułkowniku! — zawołał nareszcie stary wachmistrz. — Tam maszerują ludzie.

W istocie, daleko na drodze maszerowały czarne kolumny piechoty. Dalej widać było artylerję jak na dłoni. Sieniawski naliczył trzydzieści dział i przekonał się, że siły nieprzyjaciela były daleko potężniejsze od korpusu marszałka Ney'a. Szybko więc powrócił do obozu, gdzie zastał już Stanisława, który nieprzyjaciela wcale nie widział.

Tymczasem żołnierze rozpalili na drodze wielkie ogniska, Marszałek kazał im się bowiem pokrzepić i ogrzać przed bitwą. Kiedy Sieniawski złożył raport, zaraz okazało się, że położenie wojska francuskiego jest bardzo krytyczne.

— Rosyanie — rzekł marszałek — obsadzili widocznie lasy, tam dalej, aby nas ze wszystkich stron otoczyć. Mam jednak nadzieję, że damy sobie radę. Trzeba tylko walkę odwlec na kilka godzin, aby noc mogła nas ocalić. Która godzina jest teraz?

— Wpół do drugiej — odparł Sieniawski.

— Dobrze, o czwartej godzinie będzie zupełnie ciemno. Wtedy wyruszymy. Tymczasem niechaj żołnierze wypoczywają.

Sieniawski wrócił do swoich żołnierzy. Stanisław kazał nakarmić konie, bo szczęśliwym trafem znaleziono

trochę owsa i siana. Tak przeszła godzina trwożnego oczekiwania.

— Pułkowniku! — zawołał nagle Stanisław. — Czy widzisz tam na tej wyżynie?

— Naprawdę, kozacy! Ale daję głowę, że nie są sami.

W istocie, na wyżynie ukazało się trzech jeźdźców, którzy zdawali się być wysłanymi na zwiady. Żołnierze zauważyli ich niebawem i głuchy pomruk poszedł po szeregach, jakby w oczekiwaniu jakiegoś ważnego wypadku.

-- Stanisławie — rozkazał Sieniawski — zobacz, co się tam dzieje?

Stanisław, który miał najlepszego konia w całym pułku, pomknął jak strzała. Jeszcze prędzej jednak powrócił, meldując, że cała wyżyna obsadzona jest kozakami, a kolumny piechoty wynurzają się z lasu.

Bębny zabrzmiały, wojska stanęły pod bronią.

Tymczasem ukazał się oficer rosyjski, który pędził co koń wyskoczy i wywijał białą chustką.

— Próżne trudy — rzekł Sieniawski do siebie. — Dopóki mamy broń w garści, nie będziemy się bać w rozmowy.

Marszałek zajęty był ustawianiem wojska. Widać go było z daleka, jak, pędząc wzdłuż szeregów, machał ręką i wydawał jakieś rozkazy. Sieniawski posłał do niego jednego z żołnierzy, raportując, że przybył oficer rosyjski. Zanim jednak marszałek zawrócił w tę stronę, Rosyanin dotarł już do straży przednich, a skoro poznał, że ma przed sobą polskich żołnierzy, zawołał do nich:

— Poddajcie się, bo jesteście zgubieni!



W tej chwili jednak Sieniawski skoczył i chwycił za cugle jego konia, krzyknął:

— To nie do ciebie należy, panie parlamentarzu. Jesteś moim jeńcem.

— Proszę mnie zaprowadzić do dowódcy — rzekł dumnie oficer rosyjski. — Mam nadzieję, że usłucha moich rad. Nawet najdzielniejsi żołnierze nie mogą walczyć z niemożliwościami.

W tej chwili nadjechał marszałek Ney.

Sieniawski powiedział mu, co się stało.

— Pulkowniku, postępujesz, jak człowiek honoru, ale chcę wiedzieć, co powie mi ten oficer.

Rosyanin salutował już i zaczął mówić:

— Przysłał mnie marszałek Kutuzow. Nie odważyłby się nigdy proponować poddania tak dzielnemu żołnierzowi i wodzowi, ale niema innego wyjścia dla pana, panie marszałku. Na tych wzgórzach stoi osmdziesiąt tysięcy żołnierzy i sto armat. Jeśli, wodzu, wątpisz o teni, mogę zabrać ze sobą jednego z twoich oficerów, aby przeliczył wojska rosyjskie.

— Mam nadzieję, że będę mógł niebawem sam policzyć waszych żołnierzy. Proszę powiedzieć swemu wodzowi, że marszałek Ney nie poddaje się nigdy. Będziemy sobie szukać wolnej drogi, choćby te wszystkie lasy miały się zamienić w armię rosyjską.

— Tak też jest w istocie — odpowiedział parlamentarz.

Nie zdążył jednak jeszcze tych słów powiedzieć, kiedy rozległ się loskot i grad kartaczy spadł na wojsko francuskie.

— To zdrada! — zawołał marszałek Ney. — Nie prowadzi się rokowań pokojowych podobnie. Oficerze, jesteś moim jeńcem.

Zmieszany parlamentarz nie zdołał wykrztusić z siebie ani jednego słowa, lecz w milczeniu podał swoją szpadę.

— Odprowadzić go do wozów z bagażami — rozkazał marszałek.

— Generał Ricard naprzód! Pańskim żołnierzom przypada zaszczyt, aby z bagnietem w rękę torowali nam drogę.

Tysiąc pięćset ludzi ruszyło ochoczo z miejsca. Mała garstka gubiła się w wielkiej przestrzeni, która leżała przed nią. Atak ich wobec olbrzymich mas nieprzyjaciela wydawał się szaleństwem. Ale żołnierze wierzyli, w swego marszałka i byli pewni zwycięstwa. Bez namysłu pędzili w stronę wąwozu, aby stamtąd uderzyć na wzgórze pokryte mrowiem wojska rosyjskiego. Tymczasem wódz objeżdżał szeregi pozostałych i gotował je do walki.

Regnard przyniósł rozkaz Sieniawskiemu, aby krył lewe skrzydło przed atakami kozaków. Artylerya zwróciła się frontem do nieprzyjaciela i sześć małych armat próbowało walczyć z potęgą rosyjską. Na śniegiem pokrytych wzgórzach, gdzie znajdowały się wojska rosyjskie, panowała po pierwszej salwie cisza śmiertelna. Tylko masy wojska rosły coraz bardziej. Sieniawski zatrzymał się ze swymi żołnierzami o kilkaset kroków od drogi na pagórku, skąd widać było cały teren bitwy. Był tak spokojny, jak wówczas, kiedy pod Możajskiem rzucił się na czele swego pułku w szeregi nieprzyjacielskie.

— Umrzemy z godnością — rzekł Stanisław.

— Po cóż myśleć o śmierci? — rzekł Sieniawski. — Jest tu na tem polu jeszcze wiele kombinacji. Jeszcze kto wie, co będzie.

Tymczasem ludzie generała Ricard'a szli już do ataku. Teraz błysnęło nagle, jakgdyby burza nadciągała gdzieś daleko. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, widać było olbrzymie słupy dymu, jakby sto wulkanów buchnęło nagle ogniem.

W chwilę potem straszliwy huk rozdarł powietrze. Połowa żołnierzy generała Ricard'a legła pokotem na ziemi; ci, co pozostali przy życiu, wyglądali tak, jak samotne drzewa w wyrąbanym lesie. Druga salwa zagrzmiiała znówu i oto garść przy życiu pozostałych ucieka szybko w dzikim popłochu.

Tymczasem jednak marszałek Ney na czele armii rusza na nieprzyjaciela. Zwarta linia żołnierzy atakuje baterie nieprzyjacielskie z męstwem nieustraszonem. Nieprzyjaciel postanawia odeprzeć atak piechotą. Pierwsza linia rosyjska, liczebnie olbrzymia, składająca się ze świeżego żołnierza, rusza do boju. Teraz nadeszła chwila, kiedy Sieniawski musiał działać. Na czele setki żołnierzy rzuca się bez namysłu na prawe skrzydło nieprzyjaciela. Jednocześnie kilkaset jazdy uderza tak samo na lewe skrzydło nieprzyjaciela. Na ten widok zdziwienie ogarnia armię rosyjską. Marszałek Ney jak orkan uderza na piechotę rosyjską i rozprasza ją w oka mgnieniu, ale natychmiast potem zjawia się przed nim drugie wojsko nieprzyjacielskie i ziemia drży od nowych strzałów karabinowych.

Wszyscy generalowie francuscy leżą zabici, albo ranieni. Marszałek Ney woła raz jeszcze: „Naprzód!“ i usiłuje zebrać rozproszone szeregi. Ale następna salwa zmusza najdzielniejszych nawet do ucieczki. Żołnierze Sieniawskiego uciekają ostatni, a sam pułkownik nakazuje im odwrót.



Napoleon w odwrocie z resztką starej gwardyi.

Kutuzow nie odważa się wysłać ani jednego żołnierza nawet za cofającymi się, tylko artylerya rosyjska strzela bez wytchnienia. Jej pociski sieją spustoszenie na całej przestrzeni, gdzie gromadzą się wojska francuskie, nie oszczędzając nawet kobiet i ramych. Wreszcie nadchodzi noc i swoim zbawczym płaszczem osnuwa niezszytych bohaterów.

Tymczasem marszałek znalazł drogę wyjścia. Jego myśl już dojrzała. Bez narad wojennych, pytał tylko własnej odwagi. Skinawszy na Regnard'a, Sieniawskiego i innych dowódców, wydaje rozkazy. Ci śpieszą do swoich szeregów i brzmi komenda:

— Na ramię broń!

Wszystkie oddziały wojska ruszają odrazu. Ale dokąd? Czy przeciw nieprzyjacielowi? Nie. Wojsko francuskie idzie z powrotem na niezmierne pustynie Rosyi. Nieprzyjaciel ze zdumieniem patrzy na te poruszenia i podejrzewa, że marszałek Ney przeprowadza ten sam manewr, który udał się dwa dni temu wice-królowi włoskiemu. Dlatego Kutuzow wydłuża swoje skrzydła daleko, aby schwytać w nie żywcem błędzącego lwa. Olbrzymia złość jego żołnierzy wystarczała, aby zniszczyć garść bohaterów jednym atakiem. Ale ten zimno-krwisty starzec chce ich wziąć do niewoli, zmęczonych, wyczerpanych. Żołnierze marszałka Ney'a muszą się poddać. Generał Kutuzow ma teraz w ręku najwaleczniejszego żołnierza armii francuskiej, ale głowa jego mu nie wystarcza, chce go dostać żywcem.

Żołnierze francuscy ze zdumieniem sluchali rozkazu swoich dowódców.

— Jakto? — pytał każdy z nich — mamy wracać w te straszliwe pustynie, skąd uszliśmy z takim wy-

silkiem? Mamy odwrócić się plecami do naszej ojczyzny i szukać znowu niepewnego szczęścia w Rosyi?

I tak przerażenie znaczyło każdy krok wstecz. Tymczasem ciemność zapadała coraz to większa. Nieprzyjaciel kiedy niekiedy tylko słał za nimi jedną i drugą kulę, jakby chcąc zaznaczyć, że zdobyczy swojej nie myśli wypuścić z ręki.

Z ciężkiem sercem, strudzeni śmiertelnie, szli żołnierze drogą nieznaną. Marszałek Ney bowiem, szedłszy z gościńca, dążył w stronę wielkich lasów. Kiedy dotarli do pierwszych zarośli, rozpoczęła się straszna śnieżycą. Orkan, o lodowatym oddechu, uderzał o szeregi żołnierzy. Ludzie i konie oddychali z trudnością, dobywając sił ostatnich. Marsz stawał się coraz to niepewniejszy, bo zawiane śniegiem wąwozy zagradzały drogę. Przebywano wielkie przestrzenie, nie wiedząc, czy wojsko oddala się, czy też przybliża do nieprzyjaciela. Wreszcie siły wyczerpały się zupełnie. Broń wypadła z rąk skostniałych. Nawet wódz stracił nadzieję, schylając szlachetną głowę pod straszliwy cios przeznaczenia. Trzeba było odpoczywać wśród śniegu i lodu, aby żołnierze choć trochę przyszli do siebie.

Marszałek znajdował się na czele pochodu, razem z Regnard'em, pomiędzy ludźmi Sieniawskiego.

— Czy wiesz, Sieniawski — rzekł Regnard po cichu — gdzie jest południe, a gdzie północ? A może powiesz mi, czy mamy nieprzyjaciela przed sobą, czy za sobą? Czy znajdujemy się z lewej strony drogi, czy z prawej? Doprawdy, możnaby oddać całe państwo za Kompas.

— Być może, że śnieżycą ustanie, a wtedy gwiazdy powiedzą nam wszystko.

— Nie wierzę już w gwiazdy, które nam świecą—  
odparł Regnard, wstrząsając głową i patrząc ponuro  
przed siebie.

Sieniawski wysilał się teraz, aby znaleźć jakiś środek orientacyjny. Właśnie powziął myśl zbawczą, kiedy marszałek rzekł do niego:

— Jeśli kilku twoich ludzi może ruszyć za mną, zdaje mi się, że znajdziemy drogę do Dniepru.

— Sądzę — zawołał Sieniawski — że jeśli znajdziemy bieg strumienia, który musi płynąć wąwozem, wybrniemy z trudności. Ale trzeba się cofnąć z powrotem.

— Rozumiemy się doskonale i ja także o tem myślałem. Kilku saperów i pan, panie pułkowniku, musicie mi towarzyszyć.

Natychmiast sformowała się mała wyprawa. Ślady kół armatnich, nie zasypane jeszcze doszczętnie, wskazywały przebytą drogę. W miejscach wątpliwych rozstrzygał zmysł orientacyjny Sieniawskiego, który pamiętał zawsze najdrobniejsze nawet szczegóły. W pół godziny cały orszak dotarł do wąwozu, który zasypany był zupełnie śniegiem. Saperzy zabrali się do roboty i po wyteżonej pracy dostali się do zamrożonego potoku. Kilka uderzeń wystarczyło, aby przerąbać powierzchnię lodową, pod którą ukazała się woda. Kierunek drogi nie ulegał już teraz żadnej wątpliwości.

— Ten potok zaprowadzi nas do Dniepru! — zawołał radośnie marszałek. — A jeśli go przebedziemy na drugą stronę, złączymy się z wielką armią i wtedy mi nie niebezpieczeństwo.

Natychmiast wysłano rozkaz, aby korpus ruszył w dalszą drogę. Idąc w kierunku strumienia, weszli niebawem żołnierze w gęsty las. Tutaj, osłonięci od wichru, odczuwali daleko mniej szalejącą śnieżycę.

Zaufanie żołnierzy wzmogło się bardzo, kiedy odnaleziono przypadkiem przewodnika.

Stary włościanin zobowiązał się przeprowadzić korpus Ney'a przez Dniepr. A kiedy go ktoś zapytał, dlaczego czyni to tak chętnie, odparł poprostu, wyciągając rękę w stronę, gdzie leżała Polska.

— Ja pochodzę stamtąd, gdzie wam lepiej życza, niż tutaj!

I prosty ten człowiek stał się wodzem dzielnej armii.

### III.

Księżyc wyszedł z za chmur i rzucał blade światło na całą okolicę, kiedy Sieniawski, wydostawszy się z lasu na wolne pole, począł obserwować przed nim leżącą okolicę. Widać było, jak na dłoni, Dniepr, płynący wśród niskich, ale stromych wzgórz. Sieniawski, przekonawszy się, że wokół niema nikogo, podjechał bliżej razem z przewodnikiem.

— Tam właśnie! — rzekł ten, wskazując miejsce, gdzie rzeka płynęła ukryta między pagórkami — lód jest pewny i każdej chwili można przedostać się na drugą stronę.

Sieniawski dojechał aż do tego miejsca. Kiedy jednak przejeżdżał wzdłuż skraju lasu, usłyszał nagle w zaroślach trzaskanie bata i parskanie koni.

— Czy przez las prowadzi droga? — zapytał chłopca.

— Tak, panie, pewno chłopci jadą z drzewem.

Sieniawski jednak, stanąwszy za drzewem, czekał, aż sanki podjadą bliżej i, wyciągnąwszy pistolet przed siebie, zawołał po rosyjsku:

— Stój, bo strzelam!



Sanki zatrzymały się. Sieniawski, nie mówiąc, podjechał bliżej i zobaczył, że w sankach znajdują się dwaj mężczyźni i dwie kobiety.

— Kto jesteście? — zapytał, pochylając się z konia.

— Sieniawski, Sieniawski! — zabrzmiało nagle z sanek i jednocześnie Bernard, odrzucając ciężkie futro, szybko wyskoczył na drogę.

Sieniawski zeskoczył z konia i wziął w ramiona tego, o którym już sądził, że dawno nie żyje.

Pytaniom i opowiadaniom nie było końca. Kiedy pierwsi jeźdźcy wyłonili się z lasu, Sieniawski pośpieszył natychmiast do marszałka, składając mu raport o niespodziewanem zajściu. Tymczasem przy sankach znaleźli się Bolesław i Stanisław i, uściskawszy przyjaciół, słuchali ze zdziwieniem opowiadania o wszystkich ich cudownych przygodach.

Wojsko francuskie gromadziło się już na brzegu Dniepru. Niebawem jednak okazało się, że nawet pojedynczy jeźdźcy nie mogą się przedostać na drugą stronę, bo warstwa lodu zbyt jest cienka. Pod kilku odważniejszymi, którzy puścili się naprzód, lód załamał się. Marszałek Ney nie pozwolił wobec tego dalszych prób i nakazał przedewszystkiem trzygodzinny wypoczynek. Zresztą trzeba było czekać na tysiące zmęczonych marynuderów i rannych, na kobiety i dzieci, które wlokły się powoli.

O północy dopiero marszałek, który spał przez trzy godziny, rozkazał, aby armia rozpoczęła przejście rzeki w porządku. Pułk lekkiej piechoty ruszył naprzód. Ale ledwo pierwsze szeregi stanęły na rzece, kiedy rozległ się loskot straszliwy i kilkunastu żołnierzy wpadło do wody. Z przerażeniem patrzył marszałek na głowy dzielnych żołnierzy, znikające w nurtach.

— To jest niemożliwe — rzekł marszałek. — Trzeba próbować pojedynczo.

Kilkunastu żołnierzy przeszło w ten sposób szczęśliwie na drugą stronę. Nowa nadzieja wstąpiła w serca wojska, ale jednocześnie rozległ się w oddali huk armat. Ten odgłos straszliwy przypominał o potędze nieprzyjaciela, który mógł nadciągnąć lada chwila i rozpocząć morderczy ogień. Ci, którzy znaleźli się już na tamtym brzegu, byli uratowani, ale cóż stanie się z tymi, którzy jeszcze po tej znajdują się stronie? Nie pomogły rozkazy ani nawoływania. Żołnierze, łamiąc karność szeregów, prześlizgiwali się w ciemnościach na drugi brzeg. Często lód, nie mogąc wytrzymać zbyt wielkiego ciężaru żołnierzy, załamywał się wśród strasznych okrzyków przerażenia. Ranni i kobiety, pozostające na brzegu, ze straszliwym uczuciem słuchali tych okrzyków, a ciemność nocy wyolbrzymiała do niebываłych rozmiarów to, co działo się w rzeczywistości. Niektórzy wpadali w przestraszonych szalony i sami rzucali się w nurty rzeki.

Wokół siebie widziała Bianka na każdym kroku obrazy straszliwe. Przez pewien czas tylko znosiła to spokojnie. Niebawem jednak powstrzymać się nie mogła i, wybuchając płaczem, rzuciła się na szyję bratu. Ten, milcząc, przyciskał ją do piersi.

Sieniawski, siedząc na koniu, rozkazywał tam, gdzie rozkazywać było można. Kiedy zobaczył przestraszonych Bianki, przystąpił do sanek i rzekł:

— Bądźcie spokojni, bo spokój w takiej chwili jest jedyną mądrością. Nic nam nie grozi, oprócz własnego strachu. Ja z moimi żołnierzami, będę czekał do końca, nie róbcie więc nic beze mnie. Być może, że nawet sanki i wozy uda się przeprowadzić na drugą stronę.

Jego spokój i pewność siebie podziałały zbawczo na przestraszone kobiety. Wreszcie większa część wojska przedostała się na drugą stronę. Marszałek chodził pieszo nad rzeką i wydawał rozkazy, pragnąc wytrwać do końca, jak kapitan zagrożonego burzą okrętu.

Po drugiej stronie rzeki uszykowały się wojska. Teraz miano przeprowadzać wozy. Pod pierwszym wozem jednak lód załamał się na środku rzeki. Głęboką ciszę przerwał łoskot pękającego lodu i straszliwy okrzyk tonących. Ze ściśniętym sercem patrzył wódz, jak w nurtach rzeki ginęli najdzielniejsi żołnierze, ranami pokryci męczennicy. Oto tam rusza się jeszcze coś ponad wodą. Słychać wyraźnie jęk żołnierzy i widać postać, która, chwyciwszy się kry, wynurza się z wody.

— Tego można jeszcze uratować! — woła marszałek Ney i sam podąża ku niemu drogą, gdzie każdy krok fałszywy równy jest śmierci.

Sieniawski, zeskoczywszy z konia, śpieszy mu na pomoc. Nim jednak zdołano go dosięgnąć, tonący umiera i niknie pod wodą. Milcząc, chodzi marszałek wzdłuż rzeki tam i napowrót. Przez chwilę był człowiekiem i przyjacielem, teraz jest znowu wodzem.

— Wozów nie można przeprowadzić na drugą stronę rzeki. Zagwóźdźcie działa. Czego z żywności i bagaży nie będzie można przenieść na drugą stronę rzeki, zostawcie tym, którzy pozostaną tutaj.

Rozkaz ten był wyrokiem śmierci dla tych nieszczęśliwych, którzy nie mogli się przedostać na drugą stronę rzeki o własnej sile. Straszliwy okrzyk przerażenia wydarł się z piersi rannych. Kto jeszcze pełzać mógł, ten schodził powoli z wozu, aby przedostać się na drugą stronę rzeki. Inni plądrowali pośpiesznie wozy z bagażem. Wtem na drugim brzegu ozwał się na trąbce sygnał wymarszu.

Dopiero teraz pomyślał Sieniawski o sobie i swoich przyjaciółach.

— Pani — rzekł, zwracając się do Bianki — sanki muszą, niestety, tu pozostać. Wszyscy muszą dosiąść koni i tak próbować przejść.

Willhofen przyprzągł konie i, obładowawszy je pakunkami, ruszył przodem.

Bianka, Ludwik, Bernard i Jeanette w towarzystwie Stanisława i Bolesława postępowali za Sieniawskim, który najlepiej znał drogę. Bóg czuwał nad nimi i przeprowadził ich szczęśliwie na drugą stronę rzeki.

Korpus marszałka Ney'a w należytym porządku ruszał w dalszą drogę.

Bianka jechała na koniu, którego prowadził Willhofen. Bernard i Ludwik szli piechotą, trzymając się żołnierzy Sieniawskiego, z których wielka część straciła konie podczas przeprawy.

Wkrótce las otoczył cofającą się armię.

\*

\*

\*

W głównym korpusie wielkiej armii nie żywiono już nadziei, aby korpus bohaterskiego Ney'a mógł znaleźć wolną drogę. Jeśli tak straszne walki toczyć musiały gwardye cesarskie, które prowadził sam Napoleon, aby ratować wice-króla włoskiego i Davoust'a, jeśli cudem tylko ocalała armia włoska, to cóż można sądzić o Ney'u, oddalonym o dwa dni marszu, którego nieprzyjaciel z dwóch stron otoczył. Głęboki smutek napęłnił serca wszystkich na samą myśl o tem, że ubóstwiany marszałek zginął, albo znajduje się może w rękach nieprzyjaciela. Nawet sam cesarz, który do tej pory zach-

wywał niewzruszony spokój, nie mógł się powstrzymać od wyrazów pełnych smutku i zwątpienia. Widziano go, jak z czołem zmarszczkami poranem, z rękoma w tył założonemi, krążył na wszystkich nocnych kwaterach. W takich chwilach nikt ze świty jego nie odważył się odezwać ani słowa. Ze spokojem znosił śmierć tysięcy żołnierzy, hańbę klęsk i upadek wszystkich nadziei, ale strata najdzielniejszego wodza, najlepszego przyjaciela, musiała i jego złamać.

Późnym wieczorem strudzone wojsko francuskie stanęło w Orszy. Wojska księcia Beauharnais'go, Davoust'a, Mortier'a obozowały po raz pierwszy po miesiącu trudów pod dachem, który chronił ich od zimna. Żołnierze znaleźli żywności poddostatkiem i kąt wygodny dla strudzonych członków. Znużeni śmiertelnie, rzucali się żołnierze na łoża i, pograżając się w sen twardy, zapominali o swoich cierpieniach.

Była noc. Książę de Beauharnais, pograżony w ciężkich rozmyślaniach, czuwał jeszcze. Wtem na pustych uliczkach miasteczka rozległ się odgłos kopyt końskich. Wychylił się przez okno i, widząc kilku jeźdźców, pędzących szybko, zawołał:

— Kto tam?

— Polscy lansyerzy.

— Skąd?

— Od korpusu marszałka Ney'a.

Ta odpowiedź nappełniła serce królewskie niespodziewaną radością.

— A więc żyje? Jest uratowany? — wołał szybko.

— Marszałek Ney ciągnie wzdłuż prawego brzegu Dniepru — odparł Sieniawski, który znajdował się na czele jeźdźców. — Ale wojska rosyjskie są już blisko; przybyłem prosić o pomoc.

— Dostaniecie ją natychmiast! — wołał wicekról włoski, uradowany niepomiernie.

Natychmiast zjawił się na ulicy w otoczeniu swych oficerów. Trąby uderzyły na alarm. Ale cóż za żądanie! Ledwo znaleziono się w miejscu spoczynku, ledwo słodki sen uspił znużonych — już mieli rzucić się w ten przerażający ocean śniegu i lodu. Któż ich mógł zmusić do tego? Woleli w tej chwili śmierć raczej, niż nowe trudy. Nikt nie słyszał grania trąb i warczenia bębnow. Niektórzy próbowali nawet unieść się na łożu, ale, zmęczeni snem, padali natychmiast z powrotem. Jeśli nieprzyjaciel nadciąga, niechaj zabije ich we śnie, nie nie zdoła poruszyć zmartwiałych muskułów.

Ale był przecież jeden środek.

Uspionym wołano w uszy:

— Trzeba ratować marszałka Ney'a!

— Marszałek Ney nadciąga, trzeba go ratować!

Nazwisko ubóstwianego wodza zrobiło swoje. Opuścić go byłoby gorszem od zdrady i ucieczki. Ten okrzyk wdzierał się w dusze żołnierzy, którzy wierzyli zawsze, że skoro Ney jest w pobliżu, nie należy obawiać się niczego.

— Musimy go ratować! — wołał bez ustanku książę Beauharnais.

Ruszono wreszcie naprzód wśród głębokiej ciemności. Sieniawski i jego żołnierze podążyli przodem. Ale gwałtowna śnieżycy myliła drogę i gasła nadzieja odnalezienia korpusu marszałka Ney'a.

— Jesteśmy na morzu! — zawołał wice-król włoski — musimy posługiwać się sygnałami okrętowymi.

Dwie armaty nabito ślepymi ładunkami. Trzy huczne strzały padły jeden po drugim wśród ciszy nocnej.

Przez chwilę słuchano z naprężeniem. Nagle ozwały się daleko w odpowiedzi strzały karabinowe.

— Co to znaczy? — zapytał zdumiony książę Beauharnais.

— To znaczy — odparł Sieniawski — że trzeci korpus nie ma już armat i tylko w ten sposób może nam odpowiedzieć.

— Bohater! — szepnął cicho wice-król włoski i poczuł, że krew napływa mu falą do policzków.

Z nową odwagą i z nowymi siłami ruszono w dalszą drogę. Chmury rozdzieliły się i światło księżyca poczęło oświetlać okolicę. Na śnieżnych pagórkach widać było czarne masy wojska, wynurzające się z lasu.

— To są oni! — zawołał Sieniawski i wojsko przyspieszyło kroku.

Wkrótce jedni i drudzy zobaczyli się. Zabrzmiały okrzyki radosne. Książę Beauharnais wspiał konia i ruszył, jak strzała. Za chwilę widać było, jak tulił w ramionach bohaterskiego marszałka.

I oto z tryumfem prowadzono do Orszy wycieńczonych bohaterów, którzy opowiadali wesoło teraz o swoich trudach, przygodach i niebezpieczeństwach.

A kiedy już spoczęli na wygodnych leżach, czuli się znowu żołnierzami wielkiej, niewyciężonej armii. I zwodna mara nadziei zjawiała im się znowu we śnie.

---

## ROZDZIAŁ PIĄTY.

### I.

Dzięki usiłowaniam Sieniawskiego, Bianka znalazła się znowu w posiadaniu wozu, co pozwoliło jej znosić swobodnie trudy marszu. Ludwik i Bernard, których lekkie rany zagoiły się szybko, szli zawsze w pobliżu Bianki.

Mróz zelżał i nastąpiła odwilż tak silna, że śnieg znikł nawet miejscami zupełnie z drogi. Ci, którzy wozy swoje zamienili na sanki, poruszali się teraz z wielką trudnością. Wogóle droga, która zamieniła się teraz w bagno obrzydłe, tamowała ruchy całej armii. Bardzo często wyprzęgano konie z sanek, pozostawiając rannych ich losowi.

Tak przeszło dni kilka, a ponure obrazy ponawiały się ciągle. Żołnierzy podtrzymywała tylko nadzieja, że Mińsk znajduje się niedaleko, a w nim zapasy żywności i posiłki w ludziach.

Pewnego dnia jednak przybył oficer francuski, przywoząc cesarzowi niezwykle wiadomości. Jakkolwiek były one tajemnicą, treść ich rozeszła się niebawem po całym obozie.



Mińsk był stracony, nieprzyjaciel zajął go przed kilku dniami!

Kiedy Sieniawski otrzymał tę wiadomość od Regnarda podczas odpoczynku, zakrył rękoma oczy, jakgdyby patrzeć nie chciał na nieszczęście.

A potem zawołał:

— A więc cesarz jest jeńcem rosyjskim!

Nikt nie odpowiedział na te straszne słowa.

— Moznaby darować nawet Mińsk — mówił Sieniawski — gdyby nie zamykała nam drogi bagnista Berezyna. Wojsko rosyjskie znajduje się po jej drugiej stronie. Jesteśmy bezpowrotnie zgubieni!

— Niema już żadnej nadziei — odparł Regnard — chyba tylko ta, że nieprzyjaciel nie zna naszego położenia, że jeszcze się nas może boi.

Sieniawski potrząsnął niedowierzająco głową.

— Czyż Kutuzow nie znalazł nikogo, ktoby powiadomił o wszystkim Czyczagowa, Wittgensteina i innych? Dyabeł musiałby ich wszystkich oślepić, gdyby nie potrafili nas schwytać w swoje sieci. Jest tylko jedno wyjście — walka i śmierć!

\*

\*

\*

Po długich i uciążliwych marszach wojsko francuskie stanęło w Niamanicy. Tysiące śmierć poniosło na tej drodze okropnej. Wiadomość o zajęciu Mińska przez Rosyan potwierdzała się codziennie z coraz większą stanowczością. Kraj stawał się coraz bardziej ponury, a droga ciągnęła się przez niezmierzone lasy sosnowe, w których tu i owdzie widać było porozrzucane chaty. Szare niebo zdawało się sięgać aż do ziemi. Nie było

ani zimno ani ciepło, lecz przejmujący wiatr dawał się gorzej we znaki, niż ostry mróz. Ziemia pokryła się szklistą powłoką lodu i dlatego żołnierze stawiali kroki z trudnością.

W ciemnościach zapadającej nocy zajął Sieniawski jakiś dom opuszczony koło drogi, który przypadkowo odkryli jego żołnierze. Noc, spędzona pod dachem, byłaby wcale znośną, gdyby nie wieści niepokojące.

Pułkownik Regnard, który zajmował się specjalnie zbieraniem złowróźbnych faktów, przyszedł wieczorem, aby opowiedzieć o wszystkim Sieniawskiemu, który, zobaczywszy go, zapytał zaraz:

— No, Regnard, cóż tam nowego?

— Do dyabła, martwię się, że nie mogę nigdy nie wesołego zaśpiewać, tylko kraczę zawsze, jak wrona na deszcz!

— No to kracz! — zawołał Sieniawski i wszyscy otoczyli Regnarda.

— Jesteśmy w matni! — zaczął Regnard — most pod Borysowem został spalony, a rzeka jest w tem miejscu tak bardzo szeroka, że o budowaniu nowego nie może być mowy. Brzeg przeciwny pokryty jest zresztą nieprzyjaciółmi. Wojsko Czyczagowa rozciągnęło się wzdłuż brzegu Berezyny. O przejściu jej nawet marzyć niepodobna!

— Tylko jedna noc dobrego mrozu — rzekł Sieniawski — a dalibyśmy sobie radę.

— Ach prawda! — zawołał Regnard — mam przecież i jedną dobrą wiadomość. Marszałek Victor z dwudziestu tysiącami ludzi złączy się z nami jutro rano. Właśnie przybyła jego awangarda. Stary Kutuzow, który już podobno nadciąga, będzie miał z kim walczyć!

— Ale cóż to wszystko pomoże? — wołał Sieniawski. — Gdyby Berezyna zamarzła, te świeże siły przydałyby się może na co.

— Ale czekajcie! — zawołał znowu po chwili Sieniawski. — A gdyby można było Czyczagowa w błąd wprowadzić co do miejsca, przez które przejdziemy rzekę? Trzeba rozpuścić fałszywe pogłoski i wykonać odpowiednie demonstracye.

— Coś podobnego jest w robocie — odparł Regnard — zaczęto już nawet przygotowania. Największa trudność leży w tem, że trzeba by skoncentrować niepostrzeżenie wojsko w jednym punkcie.

Wieczorem dnia następnego wielka armia stanęła w Borysowie, który leży tuż nad Berezyną. Rzeka w tem miejscu podobna jest zupełnie do wielkiego, bagnistego jeziora. Most, który istniał w tem miejscu, spalili przed kilku dniami Rosyanie. Teraz marszałek Oudinot zajął tę miejscowość. Sieniawski zorientował się już, że czyniono wszystko, aby wpoić w nieprzyjaciela przekonanie, iż wielka armia będzie usiłowała przejść Berezynę na południe od Borysowa, gdzie istotnie było kilka miejsc odpowiednich. Generalł Laurencé, któremu, jako szefowi sztabu generalnego, powierzono budowę mostów, przywołał do siebie kilku Żydów, którzy zajmowali się szpiegostwem, i wypytywał ich o te przejścia. Generalł Laurencé wiedział o tem dobrze, że Żydzi doniosą o wszystkim Rosyanom, aby i od nich otrzymać zapłatę. I dlatego konstruowano wszystkie pytania i polecenia tak, aby wpoić w nich przekonanie, że armia francuska zwróci się nagle na południe. W ten sposób zajęły wojsk Czyczagowa i uderzy niespodziewanie na Mińsk.

Tymczasem w zupełnej tajemnicy korpus marszałka Oudinot'a maszerował w kierunku Studzianki, gdzie w istocie armia francuska miała przejść Berezynę. Także i Sieniawski otrzymał rozkaz, aby przyłączył się do tego korpusu. Marsz miał odbywać się w ciszy zupełnej; nie wolno było rozpalać ognisk, ani czynić coś takiego, coby mogło być dostrzeżone z tamtej strony rzeki.

Bianka nie chciała rozłączyć się z oddziałem Sieniawskiego i wołała mu towarzyszyć w tej niebezpiecznej wyprawie, aniżeli na innej drodze szukać wolności.

Im bardziej zbliżano się do Studzianki, tem gęstsze były ogniska, które płonęły na wyżynie po drugiej stronie rzeki. Sieniawski widział, że na drugim brzegu rzeki zgromadziła się przeważająca liczba nieprzyjaciela. Wszystko tedy było stracone, jeśliby się nie udało nieprzyjaciół w błąd wprowadzić. O czwartej rano ludzie Sieniawskiego stanęli na punkcie zbornym w Studziance. Od późnej nocy pracowali już tutaj inżynierowie i pionierzy nad budową dwóch mostów, które miały być przed świtem gotowe. Wskutek odwilży jednak rzeka wezbrała tak bardzo, że robota postępowała naprzód z wielką trudnością.

Ludzie Sieniawskiego obozowali pod miasteczkiem, a Sieniawski razem z Regnardem udali się nad rzekę. Zgromadzeni wodzowie naradzali się napróżno, co teraz uczynić. Mortier, Davoust, Ney, książę Beauharnais stali obok siebie, śląc smutne spojrzenia na drugą stronę rzeki, gdzie błyszczały ogniska nieprzyjacielskie. Nawet nieustraszony Ney wołał z gniewem:

— Jeśli znajdzie się tutaj jakieś wyjście, to chyba cesarz przywiązał do siebie szczęście łańcuchem!

Wtem w kole marszałków i wodzów zjawił się on sam — Napoleon. Na czele swych gwardyi przybył z Bo-

rysowa i na połowie drogi obozował koło jakiegoś zamku. Tutaj co minutę otrzymywał raporty o nadaremnych wysiłkach zbudowania mostów. Zjawił się przeto na samem miejscu, aby zbadać niebezpieczeństwo i starać się je przewyciężyć. Pozdrowił wszystkich krótko, poważnie, ale i wesoło. Potem zaczął natychmiast wypytywać o wszystko jak najdokładniej. Niebawem zorientował się, że oto stanął przed niemożliwością, która, jak mur nieprzewyciężony, zagroziła mu dalszą drogę.

Sieniawski patrzył na jego poważne, spokojne oblicze. Niepokojące milczenie panowało wokół. Wtem w mózgu Sieniawskiego błysnęła myśl nagle:

— Jeśli on zostanie uratowany, to zginie tylko jego wojsko. Cała Francya, cała Europa zacznie się zbroić na nowo na głos jego. Setki tysięcy zastygną na polach lodowych, ale miejsce ich nowi zastąpią. Tylko on musi być uratowany.

Zapałony tą myślą, pułkownik Sieniawski zwierzył się natychmiast ze wszystkim marszałkowi Neyowi. Nieustraszony wódz przyjął ten pomysł z zachwytem.

— Jeśli ratunek jest możliwy, to stać się to musi!

— Ręczę głową swoją za powodzenie! — zawołał Sieniawski. — Żołnierze moi znają każdą ścieżkę po drugiej stronie rzeki. Jeszcze przed świtem możemy daleko stąd przejść rzekę. W pięć dni cesarz będzie w Wilnie, a tam już cała Europa stanie mu otworem.

Zapał Sieniawskiego przekonał marszałka.

— On musi się zgodzić i nie można tracić ani chwili czasu.

Cesarz udał się właśnie do chaty, położonej tuż nad brzegiem rzeki. Ney, spotkawszy króla Neapolu i wicekróla włoskiego, im zwierzył plan Sieniawskiego. Obaj

wodzowie myśl tę z zapalem powitali i postanowili wspólnie udać się do cesarza.

W naprężeniu czekał Sieniawski na to, co się stanie. Mija tyle czasu, że ucieczka dzisiaj byłaby już spóźnioną. Wtem marszałek Ney ukazał się na progu chaty i rzekł:

— Hrabio Sieniawski! Cesarz nie chce opuścić za żadną cenę swoich żołnierzy! Będziemy tu czekać razem z nim na świt, na nieprzyjaciela i na śmierć.

Ostry ton, którym mówił marszałek, był najlepszym dowodem, jak bardzo był wzruszony.

— Czy powiedział pan, panie marszałku...?

— Mówiliśmy wszyscy wszystko, co było powiedzieć można. I nie tylko ja, ale i król Neapolu, wice-król włoski, Davoust, Mortier, hrabia Daru, nawet Berthier. Niewiele brakowało, a rzucilibyśmy mu się wszyscy do nóg.

Sieniawski milczał, marszałek podał mu dłoń, poczem znikł znowu we drzwiach chaty.

## II.

Na dworze świtało. Wszystkie spojrzenia biegły teraz na drugą stronę rzeki, aby, skoro tylko mgła opadnie, liczyć siły nieprzyjacielskie. Sieniawski z Boleśławem wjechali na małą wyniosłość, skąd daleki rozciągał się widok. Płomienie ognisk rosyjskich błyszczwały jeszcze wśród mgły porannej i pierwszych świateł dnia. Ale na wzgórzach śnieżystych niczem niezamacona panowała cisza.

— Do licha! — rzekł Sieniawski — powinni się już zacząć ruszać!

— O ile ja dojrzyć mogę — zawołał Bolesław — ogniska są opuszczone, przynajmniej przednie. Prawdopodobnie zebrali się tam dalej na skraju lasu.

— Widocznie boją się naszej artylerji. Dziwi mnie tylko, że nigdzie nie widzę ich baterji.

Ujechali kilkaset kroków wzdłuż brzegu i nagle Sieniawski zawołał:

— Ależ na Boga, przeciwległy brzeg jest opuszczony! Tu tkwi jakiś podstęp. Chcą nas zwabić, aby zniszczyć tem łatwiej.

— Może tymczasem zdążymy most zbudować — rzekł Bolesław i wskazał na rzekę, gdzie z zapalem pracowali pionierzy.

Niebawem wszyscy znaleźli się koło budującego się mostu, gdzie cesarz zachęcał pracujących robotników.

— Czyczagow dał się oszukać! — zawołał cesarz radośnie do swoich marszałków, którzy wracali po rekonoskowaniu okolicy.

Tymczasem wojska francuskie ciągnęły ze wszystkich stron. Wszystkie drogi pełne były ludzi, wozów i koni.

Sieniawski patrzył zaniepokojony na tę masę skłębioną i myślał o tem, czy uda się przerzucić to wszystko w porządku na drugą stronę rzeki. A zresztą cóżby się stało, gdyby zjawił się nieprzyjaciel.

— Słyszysz, Bolesławie, tam się biją.

Bolesław przyłożył rękę do uszu i odparł:

— Nie wiem, czy mnie wiatr ludzi, ale zdaje mi się, że i tam w drugiej stronie strzelają także.

Tymczasem strzały wzmagały się coraz bardziej. Widocznie bitwa się ożywiała coraz bardziej.

Gdyby udało się Rosyanom zmusić do odwrotu korpus marszałka Victora, reszta wielkiej armii byłaby nie-

chybnie zgubioną. Nad rzeką panowała wciąż radość. Słyszano strzały armatnie, ale nie wierzono, aby niebezpieczeństwo było tak blisko.

W istocie koło południa nastąpiła zupełna cisza. O pierwszej godzinie most, przeznaczony dla piechoty, był gotów. Brygada Legrand'a przechodziła go teraz w oczach cesarza, razem ze swoją artyleryą. Drugi most był na ukończeniu. W masach widać już było ruch niespokojny, gdyż każdy pragnął pierwszy znaleźć się na drugim brzegu.

Ale cesarz był jeszcze w Studziance i wielka ilość regularnych wojsk nie dałaby się porwać maruderom, którzy nadpływali powoli.

Po południu słychać było znowu strzały armatnie coraz silniejsze i bliższe. Bitwa zbliżała się coraz bardziej w tę stronę. I zdawało się możliwem, że z nadejściem nocy korpus marszałka Victora cofnie się także nad rzekę.

W dwóch długich szeregach przechodziła rzekę artylerya ze swymi wozami, a także kilka innych oddziałów wojska. Zdawało się, że wszystko odbywa się w najlepszym porządku. Można było przypuszczać nawet, że jeszcze przed północą większa część bagażów, rannych i wozów, dla których specjalny most przeznaczono, znajdzie się na drugiej stronie rzeki.

Sieniawski radził Bernardowi, aby wóz z Bianką jak najprędzej przeprowadził na drugą stronę, bo cofające się szeregi Francuzów mogą tu łatwo lada chwila straszliwy wzbudzić niepokój.

Ze smutkiem Ludwik i Bernard rozdzielili się z Sieniawskim. Ciemność zapadła już. Wozy ruszyły pomału. Koło brzegu zaczęło się już zamieszanie. Każdy na swoją rękę wjeżdżał na most i czempędzej go przebywał.



Bianka rzuciła trwożne spojrzenie na ten kłęb ludzi, wozów i sanek. Zmieszany zgiewł głosów, który wśród ciemnej nocy rósł z każdą chwilą, czynił na niej olbrzymie wrażenie.

— Gdyby nie było was w pobliżu, moi kochani — mówiła Bianka łagodnie — straciłabym zupełnie odwagę.

— Borysów pali się! — rzekł Willhofen.

— Czy jesteś tego pewny? — zapytał Bernard.

— Borysów leży prosto przed nami. To nie może być nic innego.

Plomienie wzniosły się wysoko w górę, a jednocześnie rozległy się strzały armatnie. Walczono więc w Borysowie, położonym o dwie godziny od Studzianki.

Jeszcze tej nocy mógł nieprzyjaciel nadciągnąć!

Lękiem i przerażeniem kierowani, ludzie zaczęli uciekać. Z trzech stron nagle wozy wjechały na most i od razu zatkała się wązka gardziel. Łamały się koła i osie, zagradzając drogę. Ci, którzy jechali za nimi, bez miłosierdzia ściągali ich z wozów i rozbijali w puch wszystko, co im stało na przeszkodzie. Ale nadjechały nowe wozy, znowu pękały osie i koła. Ludzie i konie padali na ziemię. Wszędzie brzmiały przeraźliwe okrzyki. Napróżno kawalerya, płazując opornych, usiłowała jakowyś porządek zaprowadzić.

— Święty Boże, co to będzie? — wołała Bianka, blednąc.

— Nie trwóż się, najdroższa — rzekł Ludwik — to tylko pierwsza chwila przerażenia. Niedługo uspokoi się wszystko.

— Wracajmy lepiej do Sieniawskiego.

— Powrót jest niemożliwy — rzekł Ludwik.

Na horyzoncie widać było ciągle czerwoną lunę palącego się Borysowa. Wiatr silny dał coraz bardziej. Ber-

nard ze smutkiem patrzył na siostrę, której ratunek coraz to bardziej wydawał mu się wątpliwy.

Wtem rozległ się głuchy trzask i jednocześnie okrzyk przerażenia rozdarł powietrze. Oczy wszystkich zwróciły się na rzekę. Most, napełniony zbyt wielką ilością ludzi i wozów, załamał się pośrodku. Działy się tam rzeczy straszliwe. Na moście wrzała walka bratobójcza. Ci, którzy uważali się za zgubionych, z szablą w ręce torowali sobie drogę do brzegu. Konie stawały dęba i padały z боку mostu do rzeki, pociągając za sobą wozy i ludzi.

W kilka minut zabrano się do naprawienia mostu. Zdawało się, że nieszczęśliwy wypadek nauczy rozumu wszystkich. Ale ciemna noc utrudniała kierowanie masami, a zresztą tylko mała część wiedziała o tem, co się stało.

Wtem strzały armatnie zabrzmiały znowu z jednej i z drugiej strony. Zdawało się, że pod Studzianką rozpoczęła się druga bitwa. I choć noc zapadająca czyniła walkę niemożliwą, obawa rosła.

Tak minęła północ. Wielka ilość czekających na brzegu legła snem znużona. Nieszczęśliwi kryli się pod wozami, kładli między końmi, albo tulili się do siebie, aby znaleźć choć trochę ciepła. Nagle czerwona pochodnia rozświetliła noc straszną. To płonęła Studzianka. Maruderzy zrywali dachy, rozbierali chaty i zapalali wielkie ogniska, aby się ogrzać przy nich.

Cesarz rozgniewał się bardzo, bo nieprzyjaciel w ten sposób mógł odkryć łatwo miejsce, w którym wielka armia przechodziła na drugą stronę rzeki. Ale nawet potężna jego wola nic tu pomódz nie mogła.

Przez całą noc wojska w zupełnym porządku przechodziły przez most. Potem ruszyła tamtędy także i artylerya, bo drugi most ciągle był jeszcze zamknięty. Zda-

wało się, że po naprawieniu go przejście będzie mogło odbywać się w porządku.

Wtem zdarzyło się nowe nieszczęście. Oto pojawia się nowy szereg wozów z ciężko rannymi, którym lżej ranni towarzyszą na piechotę. Są to prawdziwe upiory, dręczone mrozem, głodem i bólem.

— Ależ skąd przybywacie?— pytają wszyscy zdumieni.

— Z Borysowa, gdzie nieprzyjaciel tej nocy wziął do niewoli prawie całą brygadę generała Parthouneau'a, tylko część ratowała się ucieczką. Nadejdą oni zaraz.

I ledwo usłyszano te pierwsze wieści, kiedy na brzegach rzeki ukazały się czarne masy rozbitej brygady.

Przy słabym blasku żarzących się chat, widać, że to ciągną tysiące. Ledwo zobaczyli uzbrojonych kolegów, rzucają się ku nim z dzikim okrzykiem, jakgdyby nieprzyjaciel następował im już na pięty. Wybladli, o zapadłych policzkach, drżąc od zimna i strachu, wznoszą ręce do góry i błagają o pożywienie i ochronę.

Wielka ich ilość naciska tak gwałtownie, że przełamują szeregi żołnierzy stojących w porządku. Zobaczywszy mosty, z krzykiem rzucają się ku nim.

Cesarz, który otrzymał nowe wiadomości o nieprzyjacielu, wydał teraz rozkaz, aby gwardya przeszła rzekę po obu mostach. Ten rozkaz porusza wszystkich. Każdemu się zdaje, że nadeszła najlepsza chwila do przejścia rzeki. Nic na świecie nie zdoła powstrzymać tej masy skłębionej. Zwarte szeregi gwardyi rozerwano w jednej chwili. Pomiedzy artyleryą jej pojawiają się jakieś obce wozy. Nawet cesarz nie znajduje dla siebie miejsca. Maruderzy, ranni, wozy z bagażem, kobiety i dzieci tłoczą się przy pierwszym moście. W tej chwili konieczność zmusza do strasznego czynu. Kawalerya, dobywszy szabel, rusza na nieszczęsnych, aby otworzyć wśród nich

drogę dla armii. Kopyta końskie miażdżą ciała nieszczęśliwych. Za jazdą postępuje cesarz z orszakiem, zamyślny ponuro. A za nim gwardya.

Kiedy ostatnie kolumny wojska dosięgły mostu, zaczęło już świtać. Straszliwy obraz zniszczenia uderzył oczy wszystkich. Ale nie było czasu go oglądać, bo niemal ponad głowami szaleje walka i olbrzymie słupy dymu wznoszą się w górę. Masa ludzka wpada znowu na mosty, a wraz z nią uciekają i ci, których nieprzyjaciel zmusił do odwrotu.

Bianka, wyczerpana przerażeniem i męką, zwróciła głowę w stronę tych wyżyn grzmiących i dymiących.

— Czyż sądzisz, mój bracie — zapytała cicho — że szlachetny Sieniawski walczy tam także?

— Nie może być inaczej.

— Czy zobaczymy go jeszcze?

— Uspokój się, siostró. Nie jest jeszcze tak źle z nami.

— Ale co to? — zawołał Ludwik i wskazał na pagórek, leżący niedaleko obu mostów, na który teraz wjeżdżała bateria. — Czyżby to byli Rosyanie?

Zanim wymówi te słowa, już pierwsza z armat błysnęła, i kula uderzyła ze straszliwą mocą w najgęstszy tłum ludzki przed mostem zgromadzony. Potem zagrały następne działa. Z dzikiem przerażeniem rzucili się ci, którzy jeszcze nie przeszli na drugą stronę, do ucieczki. Jeźdźcy skakali bez namysłu do rzeki, usiłując ją przepłynąć, ale tonęli natychmiast bez ratunku. Inni odpręgalili konie od cudzych wozów i rzucali się w fale rzeki razem ze wszystkimi. Bianka przysłoniła rękoma twarz i oddychała kurczowo.

Kule padały już blisko koło nich. Konie wspinały się, i porwałyby napewno wóz ze sobą, gdyby nie to, że

dyszeli i osie kół przednich oddawna już były połamane. Koło nich znalazł się Regnard, który ze strzaskanem ramieniem przywłókł się tutaj ze Studzianki. Tymczasem morderczy ogień baterji rosyjskich trwał bez przerwy. Także i od strony Studzianki słychać było zbliżającą się bitwę. Strzały armatnie mieszały się z krzykiem ginących, wołaniem tonących i wyciem tych, którzy gwałtem torowali sobie drogę. Kule uderzały coraz bliżej Bianki i jej towarzyszy. Wtem granat padł pomiędzy nich.

—Wszycy na ziemię! Wszycy na ziemię! — wołał Regnard.

W tej chwili nastąpiła eksplozja, Bernard czuł jednak, że on i siostra żadnej nie odnieśli rany. Ale kiedy dym opadł, zobaczono Willhofena, który, poszarpany straszliwie, leżał pomiędzy końmi.

— Nie zobaczysz już nigdy ojczyzny, wierny slugo! — zawołał ze smutkiem Ludwik. — Ale skończyłeś przynajmniej męczarnię i jesteś może najszcześniejszy z nas wszystkich.

Bernard obejrzał się poza siebie, i zobaczył, że w stronę mostu zbliża się znowu olbrzymia fala uciekających.

— Musimy uciekać przed nimi! — zawołał — bo nas zmiażdżą. Tam, w górę!

Ludwik chwycił Biankę, Bernard pociągnął za sobą ogłuszoną Jeannette'ę. Uciekając pośpiesznie, stanęli szczęśliwie na wolnem miejscu, gdzie się już nikt nie tłoczył.

— Tutaj mamy przynajmniej trochę powietrza — rzekł Bernard. — Możemy tylko umrzeć od kul nieprzyjacielskich, albo dostać się do niewoli.

Koło rzeki nastął jeden z najstraszliwszych momentów, bo z wyżyn Studzianki nadciągały pośpiesznie ucie-

kające wozy. Artylerya pędziła w pełnym galopie po śnieżystych stokach. Nie było innego wyboru. Droga prowadziła przez gęstwą tłumu nieszczęśliwych. Koła armatnie miażdżyły zarówno umarłych jak i żywych. Straszliwy wicher zdawał się podniecać ich do tem szybszego biegu. Wszystkie siły przyrody i ludzi walczyły ze sobą. Najstraszniejszy widok przedstawiał sam most. Nieludzka walka wrzała w tem miejscu. Brat szukał drogi po zwłokach brata. Ci, którzy spadli w fale rzeki, chwytali się z wściekłością najbliższych, jakgdyby chcieli ich porwać razem ze sobą. Nawet na rzece walczono szablami i uderzano kolbami, aż wreszcie czarna otchłań rzeki pochłonęła wszystkich. W gęstych gromadach pływali z gór żołnierze, którzy walczyli w ostatniej bitwie. Widząc, że mosty zapelnione są uciekającymi, zwracali się w górę rzeki, aby tutaj przedostać się łatwiej na drugą stronę.

Bianka z towarzyszami musiała dalej uciekać.

Bernard i Ludwik wzięli ją za ręce i prowadzili ze sobą. Wreszcie dostali się na miejsce spokojne, gdzie nawet kule nie dosięgały. Ale i tutaj nie uznali za stosowne pozostać dłużej. Uciekali w górę rzeki, słysząc ciągle odgłos strzałów. Niebawem jednak siły opuściły ich zupełnie. Bernard chciał koniecznie dosięgnąć Weselowa. Gdyby nawet znajdowali się tam Rosyanie, nie groziło im nic strasznego, bo czyż Bianka nie była Rosyanką, która mogła uciekać przed Francuzami.

Wtem odgłos kopyt końskich ozwał się za nimi.

— Kozacy! — zawołał Ludwik. — Jesteśmy zgubieni — szepnął — jeśli nas zobaczą. Uciekajmy! Oni zabijają wszystkich!

Bianka padła na ziemię, oddychając ciężko.

— Nie mogę uciekać dalej. Niech się stanie, co się ma stać.

— He, tam, gdzie tu jest Weselowo?

Bianka, słysząc ten głos, obejrzała się mimowoli i zawołała:

— Święty Boże, to Sieniawski!

Za chwilę pułkownik tulił ją w swoich ramionach.

Nie było jednak czasu do stracenia. Sieniawski wskazał ręką przed siebie i rzekł:

— Tam jest Weselowo. Tam przejdziemy na drugą stronę rzeki. Tam będziemy bezpieczni.

### III.

Kiedy Sieniawskiemu udało się szczęśliwie przeprawić przyjaciół i żołnierzy na drugą stronę rzeki, natychmiast ruszył do Sembina. Tu spotkał się z marszałkiem Ney'em, który krył odwrót wielkiej armii. Zdawało się jednak, że najcięższe trudy minęły. Kraj nie był bowiem tak spustoszony, a mieszkańcy byli przychylni dla żołnierzy. Nadzieja świeciła nieszczęsnym męczennikom, ale okrutny los nie wyczerpał jeszcze swoich straszliwych niespodzianek.

W Sembinie udało się Ludwikowi zdobyć małe sanki dla swojej ukochanej, która dotychczas razem z innymi szła piechotą. Napróżno Bernard i Ludwik błagali ją, aby, ruszywszy naprzód przed nimi, podążyła do Wilna. Bianka nie chciała za nic w świecie opuścić brata i narzeczonego.

— Nie, zostawcie mnie przy sobie — mówiła — będziemy razem aż do końca tej drogi.

Tak nadszedł dzień czwartego grudnia, w którym zima miała wyrzucić swój gniew straszliwy na armii francuskiej. W nocy wiatr począł dąć straszliwie od północno-wschodniej strony z taką siłą, jakgdyby chciał zniszczyć do szczętu resztki wielkiej armii.

Sieniawski i jego towarzysze obozowali w szopie, gdzie ogrzewano się tylko ciepłem własnych ciał, bo szczupłe miejsce nie pozwalało na rozpalenie ogniska. Nad ranem obudził się z dotkliwym bólem w rękach i nogach. Chciał powstać, ale wszystkie jego członki były jakby sparaliżowane. Z trudem nareszcie rozprostował zeszywniałe członki, poznając straszliwe tchnienie zimy rosyjskiej.

— Hej, wstawajcie! — wołał, wstrząsając Stanisławem, który leżał najbliżej niego. — Hej, Bolesławie, Bernardzie, Stanisławie — wstawajcie!

Ale oni, otworzywszy oczy, nie mogli się podnieść w żaden sposób.

— Musicie wstać, bo inaczej jesteście zgubieni. Dzisiaj zaczęła się prawdziwa zima. Poznacie dopiero teraz jej pazury.

To mówiąc, chwycił towarzyszy i, wstrząsając nimi, usiłował ich podnieść.

— U licha, to mamy pogodę — mruzczał Bernard, otulając się futrem. — Zdaje mi się, że dostałem się w łapy białego niedźwiedzia.

Ci, którzy rozbudzili się, śpieszyli do ognisk rozpalonych na dworze, ale wielu nie miało siły do przebycia nawet tak małej przestrzeni. Śnieg skrzypiał pod nogami. Powietrze było wypełnione pyłem lodowym, który przy oddychaniu kłuł w piersiach. Ile razy powiew wiatru uderzył, bolały oczy, usta i policzki.



Kilka bębnow zawarczało głucho, wzywając do marszu. Z wielkim trudem wyruszono naprzód. Na czele kroczył marszałek Davoust, idąc piechotą i dzieląc wszystkie trudy razem ze swymi żołnierzami. Dzień nie przyniósł nic pocieszającego. Mróz wzrastał z przerażającą siłą. Konie i ludzie ginęli na każdym kroku. Niebawem nie było nikogo, ktoby siedział na koniu.

Bianka musiała także opuścić sanki, zostawiając je na drodze z martwym koniem.

Słońce zachodziło już, kiedy żołnierze zobaczyli przed sobą Molodeczno, oddalone od nich o godzinę drogi. Ale, jakgdyby los nie chciał im użyczyć nawet zwodnego błysku szczęścia, nagle zdarzenie odjęło im wszelką radość. Pagórki, leżące przed nimi, pokryły się czarnymi masami nieprzyjacielskiego wojska. Nieprzyjaciel pragnął widocznie odciąć ich od ostatniego schronienia.

Marszałek Ney wołał głosem donośnym, wzywając żołnierzy, aby szykowali się do boju.

Szeregi stawały obok siebie, a wszyscy jeźdźcy, którzy posiadali jeszcze konie, łączyli się razem.

— Żołnierze! — wołał donośnie marszałek. — Musimy walczyć dzisiaj o nocleg! Nieprzyjaciel jest mniej straszny od nocy spędzonej tutaj. Pamiętajcie o waszem zbawieniu, o sławie Francyi i o waszym cesarzu!

— Vive l'Empereur! — wołała garść bohaterów.

— Nie mamy koni — rzekł Sieniawski do swoich żołnierzy. — Będziemy strzelać z armat, bo tam brakuje żołnierzy.

Głuchy grzmot rozległ się na wzgórzach. Pierwsze kule uderzyły o ziemię.

— Strzelacie za wysoko — rzekł zuchwale Sieniawski, rychtując działo. — No, teraz ognia!

Strzał zahuczał.

— Trafiliśmy dobrze — rzekł Sieniawski ucieszony.

Bitwa rozpoczęła się. Artylerya rosyjska strzelała z trzech stron. Kule uderzały przeważnie w gromadę bezbronnych maruderów. Tymczasem wojska marszałka Ney'a posuwały się coraz dalej i wreszcie zajęły stanowisko tuż koło Molodeczna.

Ten krótki zresztą manewr tak wyczerpał siły koni artyleryjskich, że ginęły jeden po drugim, padając na ziemię. Armaty przenoszono teraz rękoma na wzgórze, skąd można było bronić doskonale wejścia do miasteczka.

— Nie zdołamy już uratować naszych armat — rzekł marszałek — musimy je więc drogo sprzedać.

Rosyanie nadciągali, strzelając powoli, i zdawali się zbierać siły swoje do ataku. Kiedy jednak kolumny ich ruszyły naprzód, artylerya francuska otworzyła tak morderczy ogień, że pierwszy ten atak natychmiast został odparty. Miejsce zdziesiątkowanych żołnierzy zastąpiły świeże siły. Rosyanie mieli jeszcze poddostatkiem żołnierza. Tysiące walczyły przeciw setkom.

Bernard i Ludwik, umieściwszy Biankę w bezpiecznem schronieniu, uważali za swój obowiązek walczyć także.

Późnym wieczorem dopiero skończyła się bitwa, która z grona przyjaciół zabrała życie jednego z najszlachetniejszych, a mianowicie Bolesława.

\*

\*

\*

Późnym wieczorem dopiero Sieniawski i jego przyjaciele znaleźli nocleg w opuszczonej chacie. Właściciel jej, biedny starzec, przyjął ich chętnie, błagając tylko, aby nie wypędzali go na noc.

— Za kogóż nas masz? — zawołał z oburzeniem Sieniawski.

— Bóg niech was błogosławi! — zawołał starzec.

Skromna wieczerza posiliła zmęczonych; poczem wszyscy zasnęli snem tak głębokim, że raczej do śmierci był podobny.

Mróz był tak straszliwy, iż tamował kroki ścigających. Przyroda sama ogłosiła zawieszenie broni. Dopiero o godzinie szóstej rano u drzwi chaty rozległo się gwałtowne kołatanie.

Sieniawski, który spał najczujniej, zbudził gospodarza i szepnął mu cicho:

— Jeśli nas zdradzisz, będziesz zgubiony. Pozwól mi działać.

To mówiąc, podszedł do drzwi i zapytał po rosyjsku:

— Kto tam?

— Jesteśmy Rosyanie, przyjacielu — brzmiała odpowiedź. — Giniemy z zimna, maszerowaliśmy przez noc całą. Otwórz nam prędko.

— Na Boga — odparł Sieniawski. — Będziecie zgubieni, jeśli wam otworzę. Dom jest pełen Francuzów. Uciekajcie z powrotem.

— U czorta, iluż ich tam jest?

— Pełny dom. Pięćdziesięciu żołnierzy i kilku oficerów.

— To milcz. Za pół godziny będziemy z powrotem. Wszyscy wpadną nam w ręce.

Sieniawski zbudził natychmiast towarzyszy.

— Co się stało? — pytał Bernard.

— Nieprzyjaciel depce nam już po piętach — odrzekł Sieniawski. — Musimy uciekać i budzić wszystkich po drodze.



Książę Eugeniusz Beauharnais, wice-król włoski.

W kilka chwil wszyscy byli gotowi. Noc była ciemna, pomimo to jednak wszystkie domy były już puste. Wojska francuskie wyruszyły w dalszą drogę.

— Zdaje mi się — rzekł Sieniawski do Bernarda — że zostaliśmy sami, a nieprzyjaciel jest już blisko. Musimy przyspieszyć kroku i szukać ocalenia w tym lesie.

Spokojnie spędzona noc pozwoliła wszystkim maszerować szybko. Dzień cały upłynął bez żadnych nadzwyczajnych wydarzeń. Wieczorem stanęli w Smorgoniach. Miasto pełne było wojska, ale Sieniawski szczęśliwym trafem spotkał marszałka Ney'a, który kazał wyszukać dla niego spokojny dach nad głową. Sieniawski zostawił tam swoich przyjaciół, a sam pośpieszył do Ney'a, który go wezwał do siebie.

Za godzinę powrócił dopiero. Był zamyślony i nie odpowiadał wcale na pytania. Kiedy przeszła noc i świtać poczęło, Sieniawski spojrzął na przyjaciół i rzekł:

— Cesarz opuścił wojsko.

Wszyscy patrzyli na niego zdumieni, a on mówił dalej:

— I uczynił dobrze. My mamy do uratowania tylko siebie samych, lecz cesarz ma większe zadanie przed sobą. Paryż jest teraz polem bitwy, na którem on będzie rozkazywał. Tutaj wszystko jest już stracone. Jesteśmy sobie sami pozostawieni i sami sobie radzić musimy.

Słońce wyglądało z za szarych chmur, kiedy wyruszyli w dalszą drogę. Po śniegu szła gromada białych cieni. Zdawało się, że są to istoty z innego świata, gdzie nigdy jeszcze nie widać było promieni słonecznych. Z krwawiących oczu patrzyła bolesć i cierpienie. Upiór głodu wyglądał z zapadłych policzków. Zęby drżały od mrozu, a na czołach widać było rozpacz szaleńcza. Straszliwe postacie postępowały, chwiejąc się na nogach,

straciwszy czucie i przytomność. Gdzie tylko jeszcze wędrowała między nimi jakaś czująca istota, strach wielkooki przytepił niebawem nerw każdy i szaleństwo pomалу chwytalo w swe sieci broniącego się ducha.

Bianka zakryła twarz szalem, aby nie widzieć tych przerażających obrazów.

Bernard i Ludwik szli tuż kolo niej. Sieniawski kroczył przodem i podtrzymywał Stanisława, który chwiał się na nogach. Jego ciężki stan napawał smutkiem i trwogą wszystkich. Nie mówił nic, tylko kiedy niekiedy z ust jego dobywało się krótkie, żalodne westchnienie.

Dopóki świeciło dobroczynne słońce, nadzieja nie opuściła jeszcze zupełnie serc żołnierzy. Ale, kiedy znowu nastala noc i czarnym płaszczem swoim otuliła ziemię, ostatnia iskierka odwagi uciekla ze wszystkich serc.

Droga prowadziła przez niezmierzone głębie ponurego lasu. Nie było już dzisiaj nadziei, aby żołnierze mogli znaleźć spokojny dach nad głową. Olbrzymie sosny wyciągały czarne ramiona na drogach. Zbity gąszcz ich gałęzi przesłaniał najmniejszy nawet skrawek nieba. I zdawało się mimowoli, jakby to było sklepienie grobowe, pod którem miały być pochowane tysiące. Napróżno silił się wzrok, aby zobaczyć koniec lasu, aby wśród jego gąszczy nieprzejranych odkryć jakąś chatę i spoczynek dla znużonego ciała. Nadzieja noclegu wlokła nieszczęśliwych krok za krokiem, aż wreszcie siły odmówiły posłuszeństwa. Wtedy padali, tracąc równowagę na szklistej powłoce drogi, albo znużeni śmiertelnie kłękali pośrodku. Napróżno wyciągali ramiona, błagając o ratunek, do tych, którzy szli dalej. Żadne ucho nie chciało zważać na jęki i wołania. Zima otaczała swoje ofiary lodowymi ramionami i razila je swoim straszliwym oddechem. Krew zastygała w żyłach, a śmierć ude-

rzała niezawodnym ciosem w samo serce. Wtedy dopiero męczarnie kończyły się! Głowa opadała na piersi, a czarny strumień krwi buchał z ust.

Wreszcie wszyscy przestali wierzyć w to, aby nocy dzisiejszej znaleźć można było jakiegokolwiek schronisko; nie zostawało nic innego, jak obozować pod gołym niebem. Wielu zatrzymywało się już na rozkaz swoich dowódców i zaczęło rozpalać ogniska. Bernard chciał już także stanąć, ale Sieniawski zachęcał go, aby uszli jeszcze kawałek drogi. Po chwili Sieniawski stanął.

— Teraz, moi przyjaciele — rzekł — rozpalimy ogniska i będziemy próbowali spędzić tę straszną noc.

— To dobrze przynajmniej — mówił Bernard wesoło, aby ożywić nieco Biankę — że wilki uciekają od ognia.

W tem okropnem położeniu jeden Sieniawski nie stracił ani na chwilę bystrego spojrzenia. I dlatego, pomimo straszliwego zmęczenia, szedł jeszcze dalej, szukając miejsca, gdzie byłoby najlepiej ogień rozłożyć. Wszędzie znajdował tylko wielkie, wysokie drzewa, albo młode zagajniki. Tego nie można było użyć na rozpalenie ogniska! A któż miałby tu siłę wdrapać się na wysoką sosnę i strącać szablą albo toporem jej gałęzie. Zresztą ziemia była pokryta śniegiem, tak, że wszystko roztopiłoby się dookoła i zgasiłoby ognisko. Wtem wprawne oko odkryło dwa pnie uschnięte, z których jeden walił się już pomалу na ziemię. Te było najłatwiej ściąć i podpalić, a w ich płomieniach będą płonąć również i młode drzewka. Odnalazł także Sieniawski i strome, nagie urwisko, na którem śniegu wcale nie było. Jeśli wogóle było możliwe spędzić noc tutaj, to tylko w tem miejscu.

Szybko pośpieszył Sieniawski do swoich towarzyszy, aby ich uwiadomić o dokonaniem odkryciu. Bernard

zajął się natychmiast ścinaniem owych drzew, a Ludwik odgarniał jeszcze dalej śnieg wokół. Sieniawski razem ze Stanisławem znosili suche, drobne gałęzie na podpałkę. Niebawem wszystko było gotowe i jasny płomień strzelił wesoło w górę. Ziemię pokryto gałęziami sosnowymi, które chroniły od wichru.

Ciepło wlewało nowe siły w strudzone ciała, a skromny posiłek reszty dokonał. Ogień zwabił wielu żołnierzy, którzy znajdowali się w pobliżu. Pomimo całego współczucia nie można ich było dopuścić bliżej do ognia, bo miejsca dla wszystkich nie stało.

Serce Bianki krwawiło się na ten widok, wołałaby może wyrzec się wszystkiego, aby tylko nie oglądać tych obrazów straszliwych, które rzucały tak straszne światło na ułomny charakter ludzki. Wreszcie zmógł ją sen ciężki, jak zmora. Ludwik i Bernard ułożyli się tuż obok, chroniąc ją z obu stron.

Tylko jeden Sieniawski czuwał w tem kole, gdzie panowała niczem niezamącona cisza. Bez ruchu, jakby umarli, leżeli wokół jego towarzysze, a żar ogniska oświetlał fantastycznym odbłaskiem ich postacie w awanturniczy strój otulone. Myśląc zawsze tylko o drugich, Sieniawski dorzucał gałęzi do ogniska, aby podsycić ni-  
knące płomienie. Padały gałęzie sosnowe, z których wzbijał się czarny słup gęstego dymu ponad głowami śpiących. Z ponurem spojrzeniem, z głową na rękach opartą, siedział mąż bohaterski w niewesołych pograżony myślach.

Całe życie leżało przed nim.

A czemże ono było?

Cierpieniem i męką, trawiącą tęsknotą, dążeniem wiecznem, pracą, trudem i niebezpieczeństwem, a wzamian za to żadnej nagrody, oprócz poczucia honoru i sprawiedliwości we własnej piersi. Od najwcześniejszej



młodości patrzył na smutek i zwątpienie, na ojczyznę pogrążoną w hańbie i nieszczęściu. Jako młodzieńca, porwał ze sobą dziki wir wypadków. Nurt życia niósł go obok zielonych brzegów, ale nie pozwolił mu nigdy wylądować na nich i choć chwilę spokojnie spędzić. Tylko kiedy niekiedy jakaś wdzięczna postać rzucała mu dalekie pozdrowienia. Każdy radosny obraz uśmiechającego się szczęścia porwał wicher wrogi. Serce jego cierpiało i cierpiało.

— Hm, hm... — mruczał do siebie. — Czegoż więc żądasz? Czyż słońce sławy nie błyszczowało w dniach twojej młodości?... Ach, to nie było słońce, to była gwiazda, która błyszczy w nocy na ciemnym niebie. Jej światło błyszczy tylko, lecz nigdy nie ogrzewa. Ale cóż to znowu! Naprzód! W górę czoło! Jeśli los pierś moją otoczył stalowym pancerzem, tak, że miłość dotknąć jej nigdy nie może, niechaj przynajmniej ta pierś będzie zbrojną do walki. Niechaj najostrzejsze strzały odskakują od niej bezwładnie. Wyzywam cię, losie! Zbieraj twe strachy, twe męki! Nadejdzie godzina, kiedy ty mi ulegniesz. Ale ja nigdy nie uchylę głowy przed twojem groźnem ramieniem.

Powstał i, prostując się, uczul w piersiach dawną odwagę i siłę. Milcząc, usiadł z powrotem przy ognisku. Jego wola potężna odpędzała sen, bo oto czuwał nad życiem swoich przyjaciół.

#### IV.

Kiedy minęła godzina, Sieniawski zbudził Stanisława.

— Teraz kolej na ciebie. Ale czy potrafisz czuwać? Zdaje mi się, że jesteś chory, bo kiedy inni śpią spokojnie, ty rzucasz się, jak w gorączce.

Ale Stanisław nie stracił jeszcze poczucia swych obowiązków. Dlatego odparł szybko:

— Jestem przytomny! Połóż się, pułkowniku, i bądź pewny, że sen nie zmoże mi powiek.

Stanowcze słowa Stanisława uspokoiły Sieniawskiego i, zawiąawszy się w płaszcz, położył się, aby zasnąć.

Zapanowała cisza grobowa. Stanisław brał kiedy niekiedy nazbierane gałęzie i podsycal ogień.

— Jest bardzo zimno — rzekł do siebie i patrzył nieruchomo w żar ogniska.

Uczucie nieprzyjemne wstrząsnęło nim mimowoli. Na plecach czuł mroźne tchnienie zimy, a twarz palił mu płomień ogniska. Jasność umysłu nie opuściła go jeszcze, ale szaleństwo zaciemniało jego świadomość tak, jak zaciemniają chmury, mknące po niebie, słońce.

— Nie wiem — myślał — czy śnię, czuwając, czy czuwam we śnie? Nie widzę już żadnej różnicy pomiędzy snem a rzeczywistością. Zdaje się, jakby mgła pełzała koło mnie.

Spojrzał na śpiących.

— Jakże oni wszyscy śpią spokojnie. Może nawet marzą słodko. Ale jakże strasznym jest los tego, który nigdy obudzić się nie może.

Chwycił go straszliwy zawrót głowy. Musiał użyć całej siły woli, aby nie paść na ziemię bez przytomności.

Nagle, tuż w pobliżu, gdzieś w nieokreślonym miejscu przestrzeni ozwał się śmiech głośny. Przerażenie przeszło mu zimnym grotem piersi. Całe ciało jego zdrząło, bo śmiech w tem strasznym otoczeniu brzmiał jak najzuchwalsze świętokradztwo.

— Kto tam? — chciał krzyknąć głośno, ale słowa zamarły mu na ustach.

Oczy szukały wśród ciemności złego upiora, który musiał się tutaj gdzieś czaić.

I wtedy w blasku ogniska ukazała się nagle straszliwa postać. Był to olbrzymiego wzrostu kirasyer, otulony łachmanami płaszcz. Głowa pod hełmem obwiązana była krwawą chustką. W ręku miał młodą sosenkę, ogoloconą z gałęzi.

— Dobry wieczór — rzekł pustym, bezdźwięcznym głosem do Stanisława. — Dobry wieczór, kolego. Tutaj, widzę, jest wesoło.

— Czego chcesz? — wołał Stanisław. — Idź swoją drogą!

Kirasyer patrzył na niego bezprzytomnie. Twarz wykrzywiła mu się straszliwie, a zęby zazgrzytały, jak u złej bestyi.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się przeraźliwie. — Śpićcie sobie, leniuchy!

Potem kopnął nogą jakieś zastygłe zwłoki i krzyknął:

— Wstawajcie! Chodźcie za mną!

Przez chwilę nasłuchiwał spokojnie. Następnie z trudem widocznym postąpił w stronę ogniska.

— Precz! — wołał Stanisław. — Precz, albo cię zastrzelę!

Wyciągnął pistolet, ale zeszywniała ręka nie mogła go dźwignąć w górę.

Oblakany patrzył na niego zupełnie obojętnie. Na twarzy jego pojawiał się czasami dziki uśmiech, albo dziwny, szaleńczy smutek.

Stanisław nie mógł oderwać oczu od niego. Stał olbrzymi, wyprostowany i chudemi ramionami wykonywał jakieś dziwne ruchy.

— Czego chcesz, straszny potworze? — zapytał Stanisław napół już przytomny.

— Hu, hu! mnie jest zimno! — zawył szaleniec i wstrząsnął się.

Potem, jak dziecko igrające, przesunął ręką po płomieniach i przysuwał się do nich coraz to bliżej, bliżej.

Wreszcie stanął w kole śpiących i wyciągnął ponad nimi ramiona. Widać było, że dopiero teraz odczuwa ciepło ogniska. Lekkie skowytanie wydobyło się z jego piersi, a potem zawołał nagle, nawpół śmiejąc się, nawpół jęcząc:

— Do łóżka! Do ciepłego łóżka!

Odrzucił daleko swój kij wędrowniczy i, skoczywszy przez głowy śpiących, rzucił się w sam środek ognia.

— Pomocy! pomocy! — wołał Stanisław, któremu włosy na głowie stanęły z przerażenia.

Kurczowym ruchem chwycił za ramię Sieniawskiego, który natychmiast otworzył oczy i pytał:

— Co się stało?

— Tam, tam! — jękał Stanisław i wskazywał ręką na płomień, gdzie nieszczęśliwy wił się w straszliwych bólach.

Sieniawski, nie rozumiejąc dobrze, co się stało, śpieszył na pomoc nieszczęśliwemu. Ale było już zapóźno, żar udusił go. Leżał bez ruchu, a płomień lizał jego ciało. Straszny swąd unosił się już w powietrzu. Sieniawski odstał na bok i odwrócił twarz, aby ukryć wzruszenie. Nikt jednak ze śpiących nie poruszył się nawet, nie słysząc i nie widząc straszliwego zdarzenia, które miało miejsce tuż przy nich.

Lecz oto jedna postać unosi się w górę. To Bianka. Straszliwe jęki spalonego obudziły ją i napełniły jej duszę przerażeniem.

Przeczuwając, że stało się coś przerażającego, wyrwała się z więzów snu i otworzyła oczy. Wzrok jej padł na Stanisława, który blady, drżący, ogłuszony, patrzył jeszcze ciągle w ognisko.

Pełna współczucia, zwróciła się do niego, sądząc, że to on właśnie jęczał przed chwilą tak ciężko.

— Kochany panie Stanisławie — rzekła łagodnym głosem i wyciągnęła rękę ku niemu.

— Nie się nie stało, Bianco — rzekł Sieniawski, nie chcąc, aby dowiedziała się o całym zajściu. — Śpij dalej, my czuwamy za ciebie.

Ale w tej samej chwili Stanisław oparł się o pierś Sieniawskiego i zemdlął. Sieniawski pochylił się w milczeniu nad nim. Bianka, przerażona, chciała obudzić Ludwika i Bernarda, ale Sieniawski nie pozwolił.

— Po co? Oni nam i tak nie pomogą.

Sieniawski cucił nieprzytomnego, nacierając mu skronie śniegiem. Wreszcie Stanisław otworzył oczy, ale patrzył przed siebie wciąż jeszcze niepewnie.

— Po co zabieracie mnie z grobu? — rzekł głucho. — Było tam cicho i spokojnie. Ach, ale teraz wschodzi słońce. Jakież ono jest piękne!

Oczy jego, utkwione nieruchomo, patrzyły w płomienie.

— Ale nie, to jest dzieło dyabelskie!

I, wykrzywiwszy twarz straszliwie, chciał skoczyć w płomienie.

Sieniawski powstrzymał go przemocą, a Bianka, chwyciwszy go za kolana, wołała przeraźliwie:

— Ludwiku! Bracie! Na pomoc, na pomoc!

Ludwik, zbudzony wołaniem ukochanej, ocknął się wreszcie.

— Na Boga! Co się dzieje? — zapytał, kiedy zobaczył Sieniawskiego, pasującego się ze Stanisławem.

Jednocześnie obudził się Bernard i skoczył także na równe nogi. A był już wielki czas, bo Sieniawski nie mógł już sobie dać rady z szaleńcem, który chciał się koniecznie rzucić w płomienie.

— Na pomoc, przyjaciele! — wołał teraz Sieniawski. — Pomóżcie mi go związać, bo inaczej będzie zgubiony.

Nie zdając sobie sprawy z tego wszystkiego, Bernard i Ludwik usłuchali jednak Sieniawskiego.

Kiedy jednak zobaczyli wykrzywioną twarz Stanisława, domyślili się prawdy.

— On już oddawna wyglądał niedobrze — zauważył Bernard.

Po nadmiernem nateżeniu równie szybko nastąpiło śmiertelne znużenie. Ramiona zwisły mu bezwładnie, kolana ugięły się. I jakby wtedy straszliwa boleść zaczęła szaleć w jego piersiach, począł jęczeć głosem rozrywającym serce.

Ten głos i całe zajście, pełne niepokoju, obudziło resztę śpiących. Jeden po drugim unosił się w górę, patrząc niechętnie przed siebie. Słyszać było głuche mruczenie, które wciąż rosło.

Żołnierze pokazywali sobie palcami nieszczęśliwego.

— Kto to jest ten waryat i czego chce? — zapytał jakiś brodaty grenadyer głosem pełnym gniewu. — Kto tu nam śmie sen przerywać? Wyrzucicie go z koła, niech nam nie przeszkadza.

— Wyrzucić go! wyrzucić! — brzmiał okrzyk tych wszystkich, którzy się obudzili.

A wielu, zerwawszy się, zamierzało widocznie osobiście tej egzekucyi dokonać.

Bianka zemdląła z okrzykiem przerażenia i padła w ramiona Ludwika.

Sieniawski, zostawiając Stanisława przy Bernardzie, sam skoczył w środek. Zdecydowany na wszystko, wyrwał z ogniska olbrzymią płonąca głownię i zawołał potężnym głosem:

— Precz, nędznicy! Kto zrobi jeden krok naprzód, temu łeb roztrzaskam.

Żołnierze zatrzymali się. Tylko brodaty grenadyer wyrwał szablę z pochwy i krzyczał z wściekłością:

— Cóż to, tchórze? Boicie się jednego? Naprzód!

— Precz, potworze! — zagrział Sieniawski i, skoczywszy ku niemu, chwycił go z niezwykłą zręcznością za przegub ręki, udaremniając cios. Jednocześnie płonąca głownia spadła na grenadyera. Ale futrzana bermycja oparła się ciosowi. Grenadyer, zbudowany jak atleta, o głowę wyższy od Sieniawskiego, chwycił go w ramiona. Pułkownik walczył przez chwilę, ale wtem pośliznęła mu się noga i padł na kolana. Zdawało się, że jest zgubiony.

W tej chwili jednak Ludwik skoczył ku nim z szybkością błyskawicy i, chwyciwszy z tyłu grenadyera, odciągnął go na chwilę. To wystarczyło. Sieniawski wyrwał się natychmiast i, chwyciwszy szablę leżącą obok, jednym ciosem rozplątał mu czaszkę.

Żołnierze patrzyli zdumieni i przerażeni. Sieniawski spojrział im w twarz tak ostro, że spuścili oczy.

— Weźcie trupa i wrzucie go w śnieg! — rzekł ostrym, donośnym głosem. — Potem kłaść się spać. Niech się wam zdaje, że zabiłem wściekłego psa.

Z pogardą odrzucił od siebie szablę i, założywszy ręce, stanął spokojnie.

Żaden z żołnierzy jednego nie powiedział słowa. Dwóch z nich wzięło posłusznie krwawiące ciało i, odniósłszy je parę kroków, rzucili na ziemię.

Sieniawski milczał długo, aż wreszcie przystąpił do przyjaciół i rzekł:

— Kładźcie się spać, moi drodzy. Nic się nie stało. Przybył jeszcze jeden umarły do tych legionów, które zmarły przedtem.

Potem spojrzął na Stanisława, który, jakby drzemiąc, oparł swą jasną głowę o pierś Bernarda. Na jego bladej twarzy widać było boleść niezmierną.

— Weźmy go w środek, między siebie — rzekł Sieniawski. — Może sen uspokoi jego chory umysł.

To mówiąc, położył się na ziemi i, tuląc do siebie Stanisława, rzekł:

— Tu wypocznij i, jeśli możesz, obudź się jutro zdrów i silny.

Zakrył twarz i niebawem zapadł w sen głęboki.

Żołnierze, leżący obok, spali już dawno. I tak straszliwe wydarzenie minęło, jak przelotne senne widziadło.

Bernard i Ludwik czuwali razem i, aby nie zasnąć, dorzucali ciągle gałęzi do ognia. Ostry wiatr podniósł się, zimne jego tchnienie przeleciało po ich twarzach. Zakołysały się wierzchołki wysokich sosen. Śnieg w wielkich płatach spadał z góry.

— Zima czai się nam za plecami — mruczał Bernard — kiedy wiatr owiewa nas swoim zimnym tchnieniem, a ogień strzały płomienne w oczy ciska, odczuwam dwa męczeństwa naraz. Ale trudno, człowiek jest zawsze bezradny i przyroda drwi sobie z niego.

Milcząc, siedzieli tuż obok siebie.

Wtem cichy śpiew rozległ się tuż koło nich.



To Stanisław, który leżał z otwartymi oczyma i uśmiechał się niesamowicie, śpiewał cicho, cichutko.

— Marzy o niej — rzekł Ludwik. — To jest melodia pieśni, którą śpiewała niegdyś Ludwika w Warszawie. Tę zwrotkę śpiewał już nieraz przy mnie.

— A więc tam przebywa jego dusza — rzekł Bernard.

Stanisław śpiewał ciągle i z nieopisanym bólem patrzył na swoich przyjaciół. Po kilku minutach melodia zamarła na jego ustach i popadł znowu w tępą nieprzytomność.

— Oby nasz czas minął nareszcie! Chce mi się spać! Jestem zmęczony. Niema nie we mnie, wszystko jest głuche i umarłe. Znużenie wypędza ode mnie ludzkość, przyjaźń, nienawiść i miłość. Doprawdy, nie mnie już nie obchodzi! Która godzina?

— Północ dochodzi.

— A więc zluzują nas zaraz.

Minuty pęzwały powoli. Wreszcie godzina minęła.

Zbudzili swoich sąsiadów i położyli się spać, aby zapomnieć o wszystkim.

---

## ROZDZIAŁ SZÓSTY.

### I.

Kiedy Sieniawski wezwał znowu towarzyszków swoich do dalszej drogi, już opuściła się gęsta mgła, zakrywając tumanem las cały. Trudno było oddychać, tak bardzo przejmujący był mróz. Zdawało się, że nadeszła godzina, w której umrzeć musi wszystko, co żyło.

— Wstawać, wstawać, śpiochy! — wołał Sieniawski. — Dzisiaj może już nastać kres waszych cierpień.

Ale tylko niewielu słyszało jego wołanie. Niektórzy podnosili się, jęcząc glucho, i padali z powrotem, aby wyzionąć resztę życia. Największa ilość leżała bez czucia. I oto krąg ciał martwych otaczał dymiące ogniska.

Stanisław, podobny do upiora, żył jeszcze. Ludwik i Bernard czuli, że dzisiaj będą musieli wyteńczyć ostatnie swe siły. Dziwnym sposobem najmniej wyczerpaną czuła się Bianka, jakgdyby ciało kobiece było podobne do kobiecej duszy i chciało być tak silne, jak i męskie.

Z uczuciem przerażenia musiała przejść po zmarzniętych, daleko była niemi ziemia pokryta, tak, że noga jej nie mogła ominąć w żaden sposób martwych zwłok. Zdawało się, że Stanisław zachował odrobinę przytomno-

ści. Postępował on spokojnie za Sieniawskim, posłuszny na każde jego skinienie.

Cisza śmiertelna panowała w wielkim lesie. Ci bowiem, którzy obozowali koło ognisk wygasłych, spali snem zwykłym, albo snem wiecznym. Mała gromadka przechodziła koło wysokich sosen, których długie gałęzie zwisały nisko. Widać tu było zmarzniętych w najrozmaitszych pozycjach i jakgdyby śmierć chwyciła ich nagle w swe szpony i przemieniła w postacie kamienne. Niektórzy trzymali siekiery w zaciśniętych pięściach i wyglądali tak, jakby lada chwila mieli niemi uderzyć o dumne olbrzymy. Inni klęczeli pochyleni nad nierozpalonem jeszcze ogniskiem. Mgła osnuwała ich wszystkich gęstym welonem i stali się podobni do straszliwych, upiornych cieni.

Sieniawski przyśpieszył kroku, aby ująć czempredziej z tego miejsca ponurej zagłady. Ale strach i przerażenie rozbili swoje obozowisko także i dalej: niemal wszędzie trup z wytrzeszczonemi oczyma zagradzał drogę. Wreszcie po godzinie las przerzedził się mgła opadła i oto ukazał się dom, gdzie prawdopodobnie znaleźć można było ciepło i wypoczynek. Zdwoiwszy szybkość, śpieszyli w tę stronę. Kiedy jednak podeszli bliżej i zobaczyli okna odarte z ram i szyb i ślady ogniska na drodze, poznali, że nadzieja ich złudziła. W tem miejscu ludzie nie mieszkali. Sieniawski jednak przestąpił bramę wielkiego budynku, ale natychmiast cofnął się z powrotem, bo zobaczył tylko trupy, piętrzące się jedne na drugich.

— Czy nie żyje tu już żadna ludzka istota? — zapytał głosem pełnym przerażenia.

Ale w olbrzymim grobowcu panowała cisza śmiertelna i echo było jedyną odpowiedzią.

— Czy tu nikt nie żyje? — zapytał jeszcze raz głośniej, bo jego serce nie chciało wierzyć w to, aby nie było tu nawet ani iskierki życia.

Lecz znowu nie było odpowiedzi. Wtedy wyjął z za pasa pistolet i wystrzelił ponad głowami obozujących. Żaden z nich nie drgnął nawet, żaden się nie poruszył. Sieniawski pośpieszył do swoich przyjaciół i wołał już z daleka:

— Wszystko napróżno! Idźmy dalej!

I natychmiast ruszyli w drogę z takim pośpiechem, jaki tylko był możliwy, bo śmierć krążyła za nimi, jak zwierzę drapieżne, które goni zdobycz i czeka chwili kiedy ofiara jego, wyczerpana ucieczką, zechce na chwilę odpocząć.

Droga pokrywała się coraz to bardziej wędrującymi, którzy nadpływali z lasów lub z wiosek pobliskich. Sieniawski i jego towarzysze znaleźli się znowu w gęstym tłumie tych upiornych, straszliwych postaci. Dzikie ich brody, pokryte szronem, nadawały im wygląd srebrnowłosych starców.

Największym jednak smutkiem napełniał serca nieszczęśliwy stan Stanisława, który zapadał w otępiłość zupełną, albo też waryackim wybuchał śmiechem. Czasami płakał strasznie, lub wpadał w ostateczną wściekłość. Podczas tych ataków szalu nie poznawał nikogo, i z dziką wściekłością nawet Sieniawskiego odpychał od siebie. Wówczas to przyjaciele musieli go poskramiać siłą, aby nic złego sobie nie zrobił. Czuli jednak, że niebawem nadejdzie chwila, kiedy ich wyczerpane siły nie będą mogły stawić oporu jego szaleństwu. Dwa razy już przeszedł atak wściekłości. Kiedy go chwycił po raz trzeci, był o wiele dłuższy i straszniejszy.

Wreszcie Sieniawski zawołał:

— To niemożliwe, puśćmy go! Zostaje tylko ta nadzieja, że męki jego skończą się zaraz.

I już chcieli rozwiązać mu ręce, kiedy Bianka stanęła przed nimi. Jej serce nie mogło pogodzić się z tem, ażeby szlachetny młodzieniec zginął tak marnie. Płacząc, rzuciła się pomiędzy mężczyzn.

— O, nie, nie zostawiajcie go! Ratuje go!

Potem zwróciła się sama do Stanisława i wzięła szalenca za rękę. Błagała go tak łagodnie, że głos jej musiał dostać się do świadomości nawet poprzez ciemną noc szaleństwa:

— O, uspokój się, uspokój! Poznaj swoich przyjaciół i bądź znowu samym sobą.

Stanisław spojrział na nią, jakgdyby obudził się ze snu, a dziko preżące się ramiona opadły. Poczem, posłuszny jak dziecko, złożył ręce i rzekł drżącym głosem:

— Pójdę chętnie za tobą, tylko pozwól mi iść obok siebie, nie odpychaj mnie znowu.

A ona podała mu rękę i rzekła:

— Chodź, będę cię prowadziła.

On szedł cicho koło niej, nie jęczał już, nie szalał, tylko uśmiechał się łagodnie, jakby nawiedziły go błogie marzenia.

Ze wzruszeniem i zdziwieniem patrzyli mężczyźni na tę potęgę duszy kobiecej, a Sieniawski szepnął:

— Zdaje mu się, że to Ludwika, jego narzeczona.

Była to próba ostatnia. Nareszcie wybiła godzina zbawienia. W przednich szeregach słychać było okrzyki zdumienia i radości, które rosły coraz to potężniej i potężniej. A za nimi szedł szmer głosów, pytań, okrzyków. Wszyscy, dobywając sił ostatnich, poczęli biedz, aby zobaczyć, co się stało. Wreszcie i Sieniawski ze swymi towarzyszami dotarł do skrzyżowania drogi.

Wilno, miejsce ratunku i wybawienia, leżało przed nimi jak na dłoni. Po długich miesiącach trudów było to pierwsze miasto, z którego murów nie wywędrowali jeszcze ludzie.

Przyjaciele rzucili się w ramiona i gorące łzy zachwyty płynęły im po twarzy. Wybawienie było tak blisko. Nawet najgorsze wspomnienia zniknęły w tej chwili, wobec słonecznego uśmiechu szczęścia. Tylko Stanisław napełniał ich ciągłym smutkiem. Gdybyż to stało się o dzień wcześniej, byłby i on śmiały się i cieszył w tej chwili. Ale straszliwy cios zamknął mu na zawsze wrota do szczęścia. Z tępem osłupieniem patrzył Stanisław na radość swoich przyjaciół. Z jękiem opuścił nieszczęśliwy głowę i rzekł do Bianki:

— Ludwiko, prowadź mnie dalej.

Blizki cel trudny był do osiągnięcia. Widać już było, że ulice pokryte są czarnymi strumieniami nieszczęśliwych, którzy śpieszyli się gwałtownie. Na oślep, bezładu i porządku rzucali się inni. Na otwartem polu panował już ścisk i szamotanie.

— Cóż będzie dopiero przy wązkich bramach miejskich? — zapytał Sieniawski.

Mimowoli przypomniła się straszliwa Berezyna, tylko że teraz szaleństwo radości zastąpiło nieprzyjaciela.

Sieniawski patrzył dookoła, ażeby odkryć jakąś drogę boczną, na którą możnaby skrócić niepostrzeżenie. Można się było obawiać, że inni, spostrzegłszy ten manewr, pójdą za nimi, a wtedy wszystkie usiłowania spełzną na niczem. Idąc dalej, zobaczyli kilka domów, które w odosobnieniu stały przed miastem. Przedmieście Wilna było już niedaleko. Tu można było plan wykonać.

— Trzymajcie się mnie blisko, przyjaciele! — rzekł Sieniawski, idąc naprzód. — I skoro tylko skreczę w bok,

i wy skręćcie także. Za tym plotem dostaniemy się zapewne do drugiego wejścia, gdzie nie będzie takiego tłoku.

Kiedy skręcili, część żołnierzy jednak, kierowana instyktem, podażyła za nimi.

Sieniawski, wzięwszy za rękę spokojnego Stanisława, szedł naprzód. Droga prowadziła po stromym, gładkim stoku. Sieniawski przebył ją szczęśliwie, lecz Bianka pośliznęła się i upadła. Wprawdzie Bernard i Ludwik podtrzymali ją natychmiast, ale i oni, osłabieni straszliwie, padli także. Tłum ludzki przepłynął koło nich, oddzielając ich od Sieniawskiego. Z trudem podnieśli się znowu. Bianka zraniła sobie nogę, tak, że ledwo iść mogła. Bernard napróżno szukał Sieniawskiego. Czarna masa ludzka rozlała się teraz szeroko po polach.

— Naprzód, naprzód! Na Boga! — krzyczał Bernard. — Bo stracimy go zupełnie.

Ale już było zapóźno. Sieniawski zginął bez śladu, a olbrzymie masy ludzi płynęły coraz to szybciej. Nie pozostawało nic innego, jak iść razem ze wszystkimi. Droga prowadziła teraz pomiędzy płotami znajdujących się tu zagród. Ludzie rozdzielili się w najrozmaitszych kierunkach. Szukać Sieniawskiego było teraz niepodobieństwem. Bernard, nauczony doświadczeniem, myślał tylko o tem, aby wydobyć się z tłumu ludzkiego. Udało się im to natychmiast, kiedy skręcili w pole, w bok od tłumów ludzkich. Droga przedłużyła się o pół godziny. Wyczerpani, ślaniając się na nogach, dotarli wreszcie do przedmieścia, położonego po przeciwnej stronie. W pierwszych domach, opuszczonych przez mieszkańców, nie mogli znaleźć schronienia. Z nieopisaną radością jednak zobaczyli, że miasto jest już blisko, a na ulicach jego

ludzie chodzą spokojnie. Widocznie wojna nie dotarła tu jeszcze.

Stanęli wreszcie przed małym domkiem, który wydał im się pałacem. Młoda kobieta stała u wejścia i razem z kilku przechodniami patrzyła ze zdumieniem na wędrowców. Bianka wołała do niej jeszcze z daleka:

— Dobra kobieto, czy możesz nas wpuścić pod swój dach? Wynagrodzimy cię za to sownie.

A ona rzuciła się ku niej gwałtownie z okrzykiem i pokryła jej ręce pocałunkami.

— Hrabianko, hrabianko! Wszzechmocny Boże! W tym stanie! Skąd tutaj?

— Aksinio, to ty! Aksinio, ratuj nas!

Sily i przytomność opuściły ją jednocześnie. Zachwiała się, Ludwik i Bernard chwycili ją w ramiona. Aksinia biegła szybko przodem, wołając:

— Za mną, za mną!

Tak oto po cierpieniach niezmiernych znaleźli ratunek, opiekę i miłość. Powrócili z dzikiej pustyni do zamieszkanych domostw ludzkich. Ich przyszłość miała być wolną od tortur i męczarni. Ale ta zmiana olbrzymia nastąpiła tak szybko, że jej już ani pojąć, ani zrozumieć nie mogli.

## II.

Aksinia umieściła swą ukochaną panią, której tyle zawdzięczała, na wygodnem łożu. Czyniła wszystko, co mogła, aby przywrócić ją do przytomności. W kilka chwil potem Bianka otworzyła oczy i spojrzała dookoła.

— O, mój bracie! o, mój ukochany! — rzekła do Bernarda i Ludwika, którzy siedzieli przy jej łożu. —



A więc to prawda! jesteśmy uratowani, nasze męczarnie skończyły się.

— Tak, należymy do tych wybranych! z wielu tysięcy, którzy uszli straszliwej zguby.

Weszła Aksinia, a Biankaypytywała ją o jej losy. Aksinia opowiadała, że Paweł został dozorcą w szpitalu w Wilnie, a ponieważ słyszeli, że w Niemczech nie jest spokojnie, woleli na razie tutaj jeszcze pozostać.

Kiedy młoda kobieta opowiadała o sobie, słychać było na ulicy dziwne jakieś szmery. Ludzie gromadzili się na ulicach, inni biegli do środka miasta. We wszystkich domach otworzono okna i wyglądano ciekawie. Aksinia uczyniła to samo.

— Ale oto nadchodzi Paweł, on powie nam, co się tam dzieje.

Szybko pośpieszyła naprzeciw swego męża, który, dowiedziawszy się o wszystkim, wpadł do mieszkania z nieukrywaną radością.

— Wielmożna pani! — wołał. — Czy mogę oczom wierzyć? Pani przychodzi z gromadą tych nieszczęśliwych, którzy, wyjąc, krążą po ulicach.

— Wracamy razem z wojskiem — odparła Bianka.

— Z wojskiem? — zawołał Paweł zdumiony. — To jest wojsko? Nie, to niemożliwe.

Okazało się, że mieszkańcy Wilna nie wiedzieli jeszcze o losie wielkiej armii i o jej przejściach straszliwych, które podkopały potęgę władcy świata. Przerażeni i zdumieni zarazem, słuchali Aksinia i jej mąż opowieści o tej straszliwej niedoli, jaką przeszła wielka armia. Aksinia zbladła i drzeć poczęła, kiedy dowiedziała się, że jej pani przeżywała to wszystko także.

Tymczasem hałas na ulicy wzrastał się coraz bardziej. Widać było nieszczęśliwych żołnierzy, którzy, szu-

kając dachu i pożywienia, aż tu dotarli. Pierwszych przyjęto radośnie i chętnie. Ale, kiedy ukazały się całe oddziały, przerażeni mieszkańcy zamykali co rychlej bramy swych domów. Odtrąceni podnieśli wrzask straszliwy. Z wściekłością wstrząsali bramami, grożąc, że puszcza z dymem całe miasto.

Paweł nie wiedział, co uczynić. Litość kazała mu ich przyjąć, przezorność odtrącić. Wreszcie Bianka zawołała z nagle postanowieniem:

— Wpuście tylu, ilu tylko dom pomieści. Myśmy cierpieli razem z nimi i wiemy, jak bardzo potrzebna jest litość.

Paweł chciał wybiedz szybko, aby usłuchać rozkazu Bianki, ale było to już zbyt późno. Mieszkańcy przyjęli część żołnierzy, a inni poszli szukać szczęścia dalej.

— Doprawdy, nie rozumiem — zapytał Bernard — dlaczego nikt nie pomyślał o przyjęciu tych ludzi. Przecież już oddawna są w mieście.

— Na wązkim przedmieściu — odparł Paweł — nastął taki ścisk, że nikt nie mógł ani naprzód, ani w tył się poruszyć. A zresztą nikt nie przypuszczał ani na chwilę, że to właśnie jest wielka armia. Myśleliśmy, że to jest poprostu banda maruderów, którzy włóczą się zawsze za regularnem wojskiem. I dlatego rozkazano, aby magazyny nic im nie wydawały i aby żaden szpital ich nie przyjmował.

— Święty Boże! — zawołał Ludwik. — Nieszczęśliwi zginą z powodu zbyt późnej troski o nich. Śpiesz, śpiesz, przyjacielu, do miasta i opowiadaj, że to jest wielka armia. I powiedz, że każda godzina zwłoki kosztować będzie życie tysięcy.

Paweł wybiegł szybko.

Teraz zaczęto zastanawiać się nad losem Sieniawskiego i Stanisława. Dotychczas sądzili, że to oni właśnie znaleźli najpóźniej dach nad głową. Teraz okazało się, że należeli do najszcześniejszych.

— Musimy go szukać! — zawołali Bernard i Ludwik. Ale Bianka bała się o życie swoich najdroższych.

— Czy go tylko znajdziecie, wśród tylu obcych ludzi, w nieznanem mieście? Doprawdy, jeśli odejdziecie, będę dręczona nieustanną trwogą.

Ludwik wyciągnął ku niej rękę.

— Nie obawiaj się, Bianco. Posiłek wzmocnił nas, ciepło rozprostowało znużone kości. Cóż się nam stać może?

Aksinia opatrzyła ich ciepłym ubraniem; wyszli więc, przyrzekając, że za godzinę powrócą.

Miasto przedstawiało widok straszliwy. Przed magazynami, przed szpitalami cisnęły się gromady nieszczęśliwych. Oblegano drzwi, które zamknął surowy rozkaz. Przekleństwa, prośby krzyżowały się w powietrzu. Mieszkańcy zamykali się w swoich domach trwożliwie. Nie było w tem nic dziwnego. Ci, którzy przybywali i prosili ich o schronienie, nie wyglądali zachęcająco. Kto tylko bramę otworzył, ten rychło tego żałował, bo straszliwe postacie płynęły falą niepowstrzymaną, zatracając wszelkie uczucia wdzięczności i miary. Jakby przekleństwo szło wszędzie krok w krok za tem wojskiem nieszczęsnem. Ratunek był tuż, trudy skończyły się, ale straszliwe szuderstwo losu w dalszym ciągu dawało się we znaki. Nieszczęśliwi napróżno krążyli po ulicach miasta i błagali o schronienie.

Ludwik i Bernard długo szukali Sieniawskiego i Stanisława, ale znaleźć go w żaden sposób nie mogli. Beznadziejnie zwrócili swe kroki do mieszkania, bo siły

opuszczały ich coraz to bardziej. Wracali przez długie ulice, pełne trupów zastygłych, leżących przy domach, do których bram nieszczęśliwi kolatali napróżno. Straszliwa potęga zimy rosła ciągle. Kto tylko zapomniał o tem choćby na chwil parę, ten ginął odrazu.

I tak oto ulice, pełne przed chwilą okrzyków boleści i wściekłości, przemieniły się na obumarłe ementarze, gdzie nie było już śladu życia, gdzie kroki przechodnia straszliwem rozlegały się echem.

Z nieopisanym smutkiem i przerażeniem zbliżali się obaj przyjaciele do domku Aksinii. Żaden z nich nie mówił, żaden nie opowiadał o tem, co czuł, czego się obawiał, żaden o nic nie pytał. Już byli blisko domu, kiedy ukazały się sanki zaprzężone w konie pocztowe. Zdumieni widowiskiem, którego już oddawna nie oglądali, zwrócili tam swoje spojrzenia.

— Wszeczmocny Boże! — zawołał Bernard. — Zważywałem, albo widzę duchy. Tam jest siostra twoja, Marya.

Chwycił Ludwika za ramię i, drżąc na całym ciele, ukazał mu postać kobiecą, siedzącą w sankach.

Ludwik poznał ją także i wołał rozdzierającym głosem:

— Siostro! siostro!

Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Bernard stał bez ruchu, podtrzymując przyjaciela.

— Siostro! Maryo! — zawołał Ludwik jeszcze raz, i dopiero teraz usłyszała go.

Nim konie jeszcze zdołano zatrzymać, Marya wyskoczyła z sanek i rzuciła się w objęcia brata. Szczęście ich było nieopisane.

Wypadek ten, pozornie tak cudowny, bardzo był prosty. Hrabina Mycielska, siostra Sieniawskiego, bawiąc

podczas wojny w Dreźnie, poznała tam Maryę. Przyjaźń złączyła niebawem obie kobiety silnym węzłem, zwłaszcza że obie miały najbliższych sobie ludzi na placu boju. Kiedy umarła matka Maryi, hrabina Mycielska zabrała ją ze sobą do Warszawy. Marya pośpieszyła chętnie, sądząc, że będzie bliżej Ludwika. Teraz, dowiedziawszy się o odwrócenie wielkiej armii, hrabina Mycielska, Marya i Ludwika śpieszyły naprzeciwko nich. Tak przybyły do Wilna właśnie w tym dniu, kiedy w stolicy Litwy ukazały się niedobitki armii francuskiej.

Kiedy Ludwik i Bernard dowiedzieli się, że hrabina i Ludwika znajdują się także, zasępił się mocno. Hrabina, zobaczywszy ich, zawołała natychmiast:

— Powiedzcie mi, co się dzieje z moim bratem, ze Stanisławem i...?

— Ciągną razem z nami — przerwał jej Bernard — ale w tym zgiełku zniknęliśmy sobie z oczu. Zechciej pani pójść z nami. Znaleźliśmy tutaj przypadkowo doskonale schronienie. Wątpię, aby pani mogła znaleźć gdziekolwiek lepsze miejsce.

— A pułkownik Sieniawski — dorzucił Ludwik — znajdzie się z pewnością.

Hrabina usłuchała chętnie tej propozycji. Kiedy już rozgościli się wszyscy, kiedy wzajemne nastąpiło poznanie, Bernard skorzystał ze sposobności, aby opowiedzieć hrabinie o śmierci Bolesława i szaleństwie Stanisława. Hrabina wysłuchała tych straszliwych wieści ze spokojem. Jej czarne oczy patrzyły z siłą w beznadziejną przepaść. Smutek zastygł koło jej ust i nie odpowiedziała ani słowa.

III.

Niebawem i Paweł powrócił do domu. Jego opowiadanie pocieszyło nieco wszystkich. Tymczasem nastąpiła noc i nie pozostawało nic innego, jak czekać cierpliwie dnia następnego. Paweł opowiadał, że tylko z początku panowało tak straszliwe zamieszanie, a teraz zaczyna już wszystko powracać do porządku. Prawie wszyscy znaleźli spokojny dach nad głową i udali się na spoczynek. Bernard, Ludwik, Bianka i Marya zapadli w sen głęboki, tylko hrabina i Ludwika czuwały, szarpane bolesnym niepokojem. Aksinia i Paweł także nie położyli się spać.

Na ulicach miasta panowała głęboka cisza.

— Co to? — zawołał nagle Paweł, nasłuchując uważnie — zdaje się, że ktoś jęczy pod drzwiami naszego domu.

Otworzył okno i wychylił się przez nie.

— Nie, to nie tutaj, głos wychodzi z żydowskiej ulicy!

Oboje słuchali pilnie, po chwili rozległ się łoskot padającego ciała.

— Co to, co się tam dzieje?

Głos męski wzywał pomocy na pustej ulicy.

We drzwiach ukazała się hrabina ze światłem w ręku i, zwracając się do Pawła, wołała:

— Co się tam dzieje? Przyjacielu, zobacz natychmiast!

Paweł, narzuciwszy futro na siebie, zbiegł szybko na dół. Bernard i Ludwik obudzili się także i, jakby jakimś przeczuciem kierowani, wybiegli na ulicę. Paweł szedł przodem, świecąc latarnią w tę stronę, gdzie słychać było jęki.

Była to wązka ulica, ciągnąca się wzdłuż murów miejskich, zamieszкана wyłącznie przez Żydów. Właśnie chcieli w nią skręcić, kiedy z tyłu ozwał się silny, męski głos:

— Kto tam, czego szukacie tutaj po nocy?

— Sieniawski! — zawołał Ludwik na pierwszy dźwięk tych słów.

— Sieniawski! — powtórzył Bernard — on żyje jeszcze.

Przyjaciele chwycili go w objęcia.

— A więc i wam nic złego się nie stało? — pytał Sieniawski wzruszony.

— Jesteśmy wszyscy, wszyscy w dobrem zdrowiu i pod dobrym dachem.

Dalszą rozmowę przerwał im jednak ponury jęk, który rozległ się na wązkiej uliczce.

— Ten głos — rzekł Sieniawski — obudził mnie także ze snu. Zobaczmy nareszcie, co to takiego.

Paweł z latarnią szedł naprzód. Ulica była wązka i wiła się w zakrętach. Wreszcie zobaczono wyraźnie kilka postaci, które zaczęły właśnie uciekać.

— Stójcie, bo strzelę! — wołał Sieniawski.

Ale cienie uciekały, nie zatrzymując się ani na chwilę. Sieniawski wypalił za nimi z pistoletu i, przeskoczywszy jakąś postać, leżącą na ziemi, biegł szybko. Potem strzelił drugi raz. Jeden z uciekających upadł pod murem, zwalony kulą i przerażeniem. Bernard skoczył ku niemu i chwycił go pierwszy za ramię.

— Hej, kto jesteś? dlaczego uciekasz?

— Boże mój! — zawołał stary Żyd żalonym tonem. — Uciekam, bo się biją.

— Pawle, poświeć latarnią, musimy zobaczyć przede-

wszystkiem, z kim mamy do czynienia. Zdaje mi się, że ten człowiek ma niespokojne sumienie.

Paweł podniósł latarnię i jasny jej blask padł na twarz Żyda.

— U dyabła! Widziałem gdzieś tę gębę! — zawołał Bernard — zdaje mi się, bracie, że ty jesteś tym samym szpiegiem, z którym mamy jeszcze stare rachunki.

— Chodźcie tutaj! — wołał Sieniawski, który powrócił do leżącego na ziemi człowieka. — Tutaj trzeba pomocy.

Wszyscy trzej podążyli, ciągnąc Żyda, pomimo jego oporu i jęku.

— Macie przed sobą najstraszliwszą zbrodnię! — wołał Sieniawski, drżąc od gniewu. — Poświećcie. Patrzcie! Oto tu leżą nasi towarzysze obdarci do naga. Potwory! — zawołał głosem straszliwym do Żyda drżącego. — Jeśli ty masz cośkolwiek z tem wspólnego, każę cię żywcem psami rozszarpać.

— Patrzcie, oto leżą.

W bramie jednego z domów widać było ośm trupów. Jeden z nich żył jeszcze. Sieniawski rzucił na niego swoje futro, aby go uchronić od zimna. Wszyscy zadrżeli na ten widok.

— Przysięgam, — zawołał Żyd — że ręka moja żadnego z nich nie dotknęła się. Święty Boże Abrahamów!

— Chciał mi gardło przerznąć — rzekł słabym głosem żyjący jeszcze żołnierz.

Sieniawski nie namyślał się już dłużej, wyciągnął szablę i jednym cięciem rozplątał Żydowi głowę. Zwałił się bez jęku, obok tych trupów, które niedawno jeszcze obdzierał.

— Dziękuję, koledzy — szepnął cicho ranny — już jest zapóźno. — To były jego ostatnie słowa.



— Zostawmy go tutaj — rzekł Sieniawski ponuro. — Nie mamy już gdzie grzebać.

Uszli parę kroków w milczeniu.

— Niech wieść radosna wynagrodzi smutki — rzekł po chwili Ludwik. — Hrabina Mycielska i Ludwika przybyły do Wilna.

— Moja siostra tutaj! — zawołał Sieniawski więcej przerażony, niż ucieszony. — O, siostrze, jakież straszny zobaczysz widok! Ludwiku, twoja wiadomość nie jest słodka. Nie jestem przygotowany na to, żeby ją tu zobaczyć, a przecież — dodał łagodnie — jakże to wielkie jest dla mnie szczęście, że ją widzę jeszcze.

Przyjaciele prowadzili go w stronę domu Pawła. Sieniawski zatrzymał się i zapytał:

— A czy Ludwika jest z nią razem?

— I ona jest także.

Sieniawski nie odrzekł nic. Poskromiwszy swą boleść, wszedł pierwszy. Hrabina, na widok jego, rzuciła mu się w ramiona z głośnym okrzykiem, Ludwika z drugiej przypadła strony.

— Siostrze — rzekł Sieniawski — po długiej chwili milczenia — w strasznej chwili spotykamy się.

Rozłożył ręce i mówił dalej:

— Będziemy znosić nasze cierpienia aż do końca życia. Ale ty, nieszczęśliwa — rzekł, zwracając się do Ludwika — czemuż cię pocieszę! Jesteś jeszcze młoda, masz wiele życia przed sobą.

Ona patrzyła na niego trwożliwie i nie śmiała zapytać.

— Jesteś Polką, pamiętaj o tem! Ja powiem ci prawdę. Twój narzeczony żyje, ale jest chory, bardzo ciężko chory. Gorączka nie opuszcza jego rozpalonej głowy. Przygotuj się na to, że go możesz stracić.

— Gdzie on jest? Puśćcie mnie do niego.

— Jutro go zobaczysz, teraz, wśród nocy, to niepodobna.

Ale ona słuchać nie chciała.

— Każda minuta jest droga. Być może, że teraz ostatnie tchnienie z jego piersi uchodzi, a ja mam czekać?

— Stanisław leży w szpitalu. W nocy bramy są zamknięte, nie dostaniesz się.

— W którym szpitalu leży chory? — zapytał szybko Paweł.

— Tu niedaleko.

— Jestem dozorcą w tym szpitalu, mam klucze. Mogę panią hrabinę każdej chwili tam zaprowadzić.

— O, dzięki, dzięki ci, Boże! Przynajmniej zobaczę go jeszcze.

— Pójdę z tobą — rzekł Sieniawski.

— I ja także! — zawołała hrabina Mycielska.

— Bernard i Ludwik niech pilnują domu i kobiet — rzekł Sieniawski.

#### IV.

Olbrzymi, starożytny gmach, w którym mieścili się teraz ranni i chorzy, był gmachem poklasztornym. Ciemna sylweta, rysująca się na niebie, przejęła niesamowitem uczuciem przybywających.

— Niechętnie otwieram te bramy — rzekł Paweł. — Ten dom jest ponury i zdaje się nie mieć nic wspólnego z miejscem przeznaczonem dla chorych. Wszystkiego brak tutaj, nawet słomy na łoża.

Klucz obrócił się ze zgrzytem w zamku i wielkie drzwi, skrzypiąc przeraźliwie w zawiasach, otwały się.

— Czy w nocy niema tu żadnych dozorców? — zapytała hrabina.

— Nie, tu niema miejsca dla nikogo. Umarli ustępują miejsca żyjącym. Nim jeszcze łoże zastygnie, nowy gość pojawia się natychmiast.

Szli nawpół rozwalonymi schodami kamiennymi w górę, a potem schodzili wązkim korytarzem.

— Na końcu tego ganku, w ostatnim pokoju na prawo złożyłem Stanisława — rzekł Sieniawski — tam nas prowadź.

— Więc tam on leży? — zapytał Paweł zdziwiony nieprzyjemnie.

— Dlaczego cię to tak dziwi?

— Ten pokój jest pusty i zimny, bo wychodzi na północ.

— Nie było innego miejsca, a lekarz, którego tu spotkałem, obiecał opiekować się chorym.

— Być może — rzekł Paweł tonem, jakgdyby przypuszczał zupełnie coś innego.

Kroki idących rozlegały się głucho w pustym korytarzu. Panowała cisza zupełna, tylko kiedy niekiedy słychać było niewyraźne jęki.

— Tutaj — rzekł Paweł i otworzył drzwi.

Nawet Sieniawski wstrząsnął się z przerażeniem, kiedy zobaczył to miejsce straszliwe, które o północy tem okropniej się przedstawiało. Jedna lampa, migocąca niespokojnie, oświetlała olbrzymią przestrzeń. Wokoło leżeli chorzy skostniałi od zimna, zmienieni do niepoznania. Przez okna potłuczone wpadał wiatr i niósł na skrzydłach swoich lód i śnieg.

— A więc tutaj — rzekła Ludwika drżącym głosem.

Zimne przerażenie chwyciło ją za serce. Paweł świecił w oczy chorym, z których wielu nie drgnęło nawet.



Marszałek Ney osłania odwrót wielkiej armii.

— To są tacy — rzekł Sieniawski — którzy zmarzli w szpitalu.

Trzeba było przechodzić między umarłymi i konającymi.

Ludwika, podtrzymywana przez Sieniawskiego, szła powoli.

— Dobrze się stało, moje dziecko — rzekła hrabina — że jesteśmy z tobą.

— Poszłabym i sama — odparła cicho Ludwika.

Paweł podniósł latarnię i oglądał chorych, leżących po ciemnych kątach.

— Tam leży jeszcze jeden — rzekł i wskazał palcem przed siebie.

— Wszchemocny Boże, to on! — zawołała Ludwika i padła bez czucia w ramiona Sieniawskiego.

— Tak, to on jest, cierpi bardzo ciężko.

Omdlenie Ludwiki rychło przeminęło.

— Puście mnie, puście mnie do niego!

Stanisław leżał na słomie w płaszcz otulony. Kiedy zobaczył światło, uniósł się na swoim pościaniu. Nieruchomo patrzył przed siebie, gorączka zaróżowiła jego blade, wychudłe policzki.

Hrabina zakryła twarz rękoma.

A więc to jest ten młodzieniec, którego widziała jeszcze przed kilku miesiącami? To widmo grobowe!

— Czego chcecie? — zapytał Stanisław głucho. — Po co schodzicie do mego grobu? Precz z pochodniami!

— Stanisławie, uspokój się! — mówił Sieniawski. — Czy nas nie poznajesz?

Wreszcie Ludwika przyszła do siebie. Klękawszy koło ukochanego, wzięła go za rękę i, spojrzawszy mu w oczy, zapytała:

— Stanisławie, czy i mnie nie poznajesz? O, daj mi znak, że mnie jeszcze kochasz!

Dwa razy ręką przesunął po czole, jakby chciał odpędzić od siebie ciężki smutek. Wreszcie w oczach jego zamigotał błysk radosny.

— Ludwiko! — zawołał i z wysiłkiem podniósł ramiona. Ale napróżno! Westchnął głęboko, potem oczy jego zamknęły się, a ciało runęło bez czucia na łożo.

— Na Boga! on umiera — wołała Ludwika, zalamując rękę.

— Nie, to tylko radość go tak zmogła — pocieszał ją Sieniawski. — Skorzystajmy z jego niemocy i weźmy go z tego straszliwego miejsca. Tutaj musi umrzeć.

Paweł był zachwycony tym pomysłem.

— Ależ doskonale, doskonale — wołał — to można łatwo zrobić. Na korytarzu stoją nosze, a w moim domu znajdzie się odpowiednie miejsce dla nieszczęśliwego.

Natychmiast też wyniesiono chorego i wkrótce cały orszak stanął przed domkiem Pawła. Z głębokim smutkiem Bernard i Ludwik przyjęli swego przyjaciela. A Marya i Ludwika postanowiły czuwać przy nim przez całą noc na przemiany. On leżał ciągle w niespokojnym półśnie i mówił coś w gorączce. Najczęściej słychać było imiona Ludwika i Bianki.

Ludwiką modliła się przez noc całą, aby Bóg powrócił przytomność ukochanemu.

Wreszcie świtać zaczęło. W bladym świetle poranku zobaczyła, że Stanisław śpi spokojnie, a nawet uśmiechał się na wargach. To nie było już bezprzytomne szaleństwo, ale sen wzmacniający i zdrowy. Ludwika zbliżyła się, drząc, do niego, nadzieja świeciła w jej sercu. Z ramionami w tył założonemi, pochyliła się nad nim, słuchała jego oddechu, słuchała bicia jego serca.

Jutrzenka przyniosła do pokoju przez otwarte okna miły zapach. Nagle Stanisław otworzył oczy i rzekł słabym głosem:

— Teraz już wszystko przeszło!

Jego wzrok stracił już dzikość, jego rysy wyrażały szczęśliwe zdumienie. Ludwika powstrzymywała się całą siłą woli, aby nagłym wybuchem radości nie spłoszyć świadomości, powracającej do zdrowia. Cichutko uklękła przed nim i zapytała ostrożnie:

— Czy ci lepiej, drogi przyjacielu?

On złożył ręce na piersiach, uniósł głowę nieco w górę i rzekł cicho:

— Poznaję cię, Ludwiko. Podaj mi rękę!

Myśl jego przebywała jeszcze wśród wymarzonych postaci, do których i Ludwika należała. Kiedy teraz widział przed sobą jej jasną głowę, na której kładły się pierwsze promienie wschodzącego słońca, nie rozróżniał snu od rzeczywistości.

Ona podała mu rękę i zapytała słodkim głosem, w którym brzmiały łzy szczęścia:

— A więc poznajesz mnie nareszcie? O, jakże ciężko śniłeś! Ja to jestem, Stanisławie, ja, która cię kocham bez miary.

— Święty Boże! — jęknął Stanisław — gdzie ja jestem, gdzie ja byłem? Nie! wy, straszliwe upiory nocy, nie wracajcie do mnie znowu.

Machał rękoma i patrzył trwożliwie na bok. Ludwika objęła go ramionami i, całując wychudłą twarz jego, wołała:

— Nie, nie, mój ukochany! Nie obawiaj się niczego, ty żyjesz, a moje serce jest tak blisko twego serca. Tutaj żadne sny straszne nie mogą dręczyć cię już nigdy.

Pijany szczęściem przyciskał się do niej coraz to mocniej. Usta na ustach spoczęły. Ludwika nie przeczuwała, że ta chwila szczęścia oznacza koniec jego życia. Tylko największym wysiłkiem sił wszystkich powstrzymał Stanisław ostateczną katastrofę.

Wreszcie opadł bezwładnie i ramiona Ludwiki nie mogły go utrzymać.

— Wszechmocny Boże! — wołała, widząc, że blednie śmiertelnie — on umiera, on umiera!

Okrzyk ten zbudził Maryę, która poznała odrazu, co się dzieje.

— Maryo, on umiera, on umiera! — wołała strasznym głosem Ludwika, załamując ręce.

Marya widziała, że tu już żadna ludzka pomoc nie wskóra.

Niebawem zjawiała się hrabina i Sieniawski.

— Co się dzieje? — pytali cicho oboje.

— Zdaje mi się, że on umiera — odparła szeptem Marya, nie chcąc Ludwikę pozbawiać ostatniej nadziei.

Stanisław poznał jeszcze wchodzących, ale usta odmówiły mu posłuszeństwa. Przyszedł i Ludwik i Bernard i Bianka. Wszyscy otoczyli kołem łoża umierającego.

Wreszcie wśród ciszy powszechnej przemówił Sieniawski:

— Mój synu, czy nie poznajesz mnie, twego ojca i twego pułkownika?

Oczy umierającego zwróciły się ku niemu, a cichy uśmiech ukazał się na jego ustach. Poruszył prawą ręką, jakgdyby chciał ją wyciągnąć ku Sieniawskiemu.

Milczenie panowało dookoła, wtem przerwały je ostatnie słowa umierającego:

— Bądźcie zdrowi, przyjaciele... ukochana...



Westchnął po raz ostatni i skonał. Ludwika rzuciła się na jego ciało i objęła je po raz ostatni.

\*

\*

\*

Wśród ciszy rozległ się nagle łoskot strzału armatniego, i to tak blisko, że aż szyby zadźwięczały.

— Cóż to znowu? — zawołał Sieniawski, zawsze do walki gotowy. Ledwo jednak wymówił te słowa, kiedy ziemia zadrżała od salwy całej baterii.

— Święty Boże! — zawołała hrabina — a więc bitwa jest tak blisko nas?

Marya stała blada i przerażona, bo niczego podobnego jeszcze w życiu nie słyszała.

— Muszę iść tam! — zawołał Sieniawski — zaatakowano nas!

— My pójdziemy z tobą! — zawołał Ludwik i Bernard jednocześnie.

— Nie, przenigdy! — krzyknął Sieniawski prawie rozkazującym głosem. — Nie tam po was! Zostańcie tutaj i opiekujcie się tem, co macie najdroższego.

Na wązkich ulicach rozległo się suche, gwałtowne warczenie bębnow. Dzikie okrzyki, strzały armatnie i głosy trąb mieszały się ze sobą.

— Jeśli raz jeszcze chcecie mnie usłuchać! Rozkazuję wam, zostańcie!

Szybko wyrwał się im z ramion i wypadł na ulicę.

Upłynęło sporo czasu, a odgłosy walki zbliżały się coraz to bardziej. Paweł wybiegł na ulicę i powrócił niebawem przerażony.

— Straszliwa walka — wołał — wre koło bram miasta. Widziałem, jak hrabia Sieniawski i marszałek Ney

wyrywali karabiny z rąk uciekających żołnierzy i sami stawiali opór nieprzyjacielowi. Ten czyn bohaterski zebrał około nich znowu żołnierzy. Droga, wiodąca do Memla, pokryta jest wojskiem. Za kilka godzin nieprzyjaciel będzie już w mieście.

Ledwo skończył opowiadać, kiedy drzwi się otworzyły i stanął w nich Sieniawski.

— Wszchemocny Boże! — zawołała hrabina, rzucając mu się w ramiona. — To mój brat!

Ozolo miał krwią zalane, a twarz czarną od prochu, ale oczy błyszczały zawsze ogniem młodzieńczym.

— Największe niebezpieczeństwo minęło na chwilę! — zawołał. — Przyszedłem tutaj, aby was jeszcze raz pożegnać. Lada chwila wojska rosyjskie wejdą do miasta. Nie czas więc teraz na ucieczkę. Ukryjcie się zatem, aż pierwszy szturm przeminie. Potem, siostró, uciekaj do Warszawy. Tam usłyszysz o mnie znowu. Wam, przyjaciele, radzę, abyście natychmiast obrali drogę do Prus. To jest najpewniejsze dla was schronienie. Drogi nasze rozchodzą się teraz, być może, iż złączą się znowu kiedyś. Żegnajcie!

Uścisnęli się po raz ostatni. Bianka, która pokochała go, jak ojca, padła z płaczem na jego piersi. Kobiety otoczyły go dookoła. On odsunął je łagodnie. Bernard i Ludwik chcieli mu towarzyszyć, ale Sieniawski machnął niecierpliwie ręką.

— Dosyć już tego!

Na ulicach zbierał się lud i żołnierze. Sieniawski objął dowództwo nad jedną gromadą, wznosząc swą szablę w górę.

Nagle zabrzmiała salwa karabinowa tuż koło domu i dzikie głosy zabrzmiały. Bernard skoczył do okna.

— Rosyanie wdarli się widocznie z przeciwnej strony. Na ulicach są już kozacy!

Wistocie kozacy dostali się do miasta i uderzyli na oddział wojska, który na tej samej drodze szukał ocalenia. Pod domem Pawła wywiązała się walka zacięta.

— Schowajcie się w dalszych pokojach — rozkazał Ludwik kobietom — tutaj może łatwo zabłądzić jakaś kula.

— A więc i ty chodź z nami — odparła Bianka.

— Wielki Boże! Widzę Sieniawskiego! — zawołał Bernard i natychmiast potem zabrzmiała salwa karabinowa.

Wszyscy, nawet Ludwika, pośpieszyli do okna.

— Gdzie jest mój brat? — zapytała hrabina.

— Tam, gdzie atakuje teraz piechota, widziałem go na koniu wśród dymu, ale teraz zniknął mi znowu z oczu.

— Chronić go, Boże! — wołały kobiety.

— Tam jest, tam jest! Pędzi galopem! Ale na jakimż koniu siedzi? — zawołał Ludwik.

— Koń jest zdobyczny! — krzyknął wesoło Bernard. — Za nim stanął marszałek Ney; widocznie chcą się tutaj przedrzeć.

Kobiety drżały, a walka szalała gwałtownie. Jak bóg wojny, uwijał się Sieniawski wśród dymu, a szabla migała się tylko w jego silnych rękach.

— Naprzód, żołnierze! — brzmiał jego głos potężny. — Musimy tutaj utorować sobie drogę.

Żołnierze ruszyli naprzód, a przed nimi Sieniawski na rzucającym się niespokojnie koniu. Kozacy zostali w puch rozbici i rozbiegli się po wszystkich ulicach.

Marszałek Ney nieco dalej na drodze ustawiał nadciągające masy wojska. Sieniawski patrzył uważnie na niego. Teraz wódz zdjął swój kapelusze i wionął pióropuszem

wysoko ponad głową. Był to znak umówiony. Sieniawski ruszył naprzód, prowadząc pierwsze szeregi.

— Ognia! — zabrzmiał teraz jego głos i salwa buchnęła. Okna zadrżały, kobiety krzyknęły głośno, dym nappełnił ulice. Sieniawski rzucił się naprzód, jak błyskawica. Jednem cięciem szabli zwałił olbrzymiego kozaka z konia, a drugim go zastrzelił jednocześnie z pistoletu. Koń skoczył przez trupy, a Sieniawski, odwracając się ku swoim żołnierzom, wołał:

— Naprzód! towarzysze! Oni uciekają! Zwycięstwo! Zwycięstwo!



## ZAKOŃCZENIE.

---

Dwa miesiące minęły. Straszliwa burza, która zabiła tylu ludzi, przeszła nareszcie. Ludwik i Bernard, Bianka i Marya dostali się szczęśliwie do Królewca, gdzie im już żadne nie groziło niebezpieczeństwo. Hrabina z Ludwiką znalazły się w Warszawie.

Ludwik i Bianka spędzali czas błogi. Dopiero teraz pomyśleć mogli o swojej miłości. Wieczory zimowe przebywali we czworo, rozmawiając najczęściej o przeszłości, ale i przyszłość rzucała im coraz częściej piękne obrazy. Z prawdziwą radością widział Ludwik, jak rosła przyjaźń pomiędzy Bianką a Maryą. Cieszyło go również, że stosunek Bernarda i Maryi stawał się z dniem każdym serdeczniejszy i głębszy. Bernard zmienił się bardzo. Straszliwe przejścia złagodziły jego siły nadmierne, i głęboki spokój zagnieździł się w jego duszy. Coraz to silniejsze węzły łączyły z nim Maryę. W tem błogiem szczęściu pogrążeni wszyscy, nie zapominali jednak o ojczyźnie.

Wszystkie serca niemieckie poruszały się niespokojnie. Jarzmo, które tak długo uciskało, stawało się coraz nieznośniejszem. Czas, w którym miały powstać Niemcy, zbliżał się coraz to bardziej. Prusy kroczyły na-

przód, a Austria miała także stanąć do walki. Dowódcy tajemnego związku czekali na rozstrzygający krok króla pruskiego. Wreszcie ten przemówił potężnie do narodu i powołał go do walki w imię świętości ogniska domowego, ojczyzny i wolności.

— Oto nareszcie nadchodzą dni, kiedy naprawdę czuję się wolnym i szczęśliwym! — wołał Ludwik do Bernarda. — Moja miłość dopiero teraz rozkwita naprawdę. O, Bianco! dotychczas byłaś kwiatem, który urodził się w więzieniu. Czulaś zaledwie wiosnę. A teraz przychodzi ku nam pierwszy promień słońca. Pada na moje serce, jak na słup Memnona, a ono gra i śpiewa cudownymi tony. O, Bianco! jakież to piękne dni nadchodzą.

Bernard słuchał uważnie wszystkich nadchodzących wiadomości, aż wreszcie, kiedy byli razem we czworo, rzekł krótko, głosem stanowczym:

— Stanę w szeregach walczących.

— A ja obok ciebie! — zawołał Ludwik. — Przeszliśmy ciężką szkołę w obcej służbie, tem chętniej będziemy walczyć za ojczyznę.

Kobiety nie sprzeciwiały się. Następnego ranka w piśmie ukazało się wezwanie króla do narodu, manifest z dnia 13 lutego 1813-go roku.

Zapał ogarnął serca wszystkich. Z okrzykiem zwycięstwa gromadzili się mężowie pod chorągwiami wstającej wolności. Łzy radości błyszczały w oczach dziewięc niemieckich. Matki zachęcały synów, siostry braci, kochanki kochanków. Każda łza trwogi ginęła w morzu radości.

Bernard i Ludwik wstąpili do wojska. Ich konie uderzały niespokojnie przed drzwiami. Bianka i Marya, łzami się zalewając, tuliły się do braci.

— Bądź zdrowa! — przerwał nareszcie Bernard trwożliwe milczenie. — Bądź zdrowa! I ty, Maryo, i ty!

Ona dłoń mu podała, a on pociągnął ją ku sobie bliżej. Przewyciężona jego szlachetną miłością, padła w jego ramiona. Bernard wycisnął łagodny pocałunek na jej czole i rzekł:

— Dzień powrotu jest blizki. A gdy powrócę, zapytam, czy chcesz mi oddać swe serce. Teraz nie pytam o nic.

Za parę chwil rozległ się łoskot kopyt końskich, wojska ruszyły. Uderzyły radośnie dzwony, powiewały chustki, brzmiały okrzyki.

\*

\*

\*

Przyszło zwycięstwo! Ostatni odgłos bitwy na granicach Francji przeminął. Po raz drugi powiewały chorągwie na wieżach Paryża. Jeszcze drżały serca na wspomnienie burzy, która przeciągnęła gwałtownie. Ale niebo było pogodne, a w każdej piersi rozkwitały słodkie nadzieje. Nawet żałoba po tych, którzy zginęli, była cichą melancholią, bo była to krew wyzwolenia.

Wszystkie rany miał wyleczyć ten czas. Każdą boleść uśmierzyć.

.....

Mimo najszczerzych starań, o Sieniawskim nie zdolano dowiedzieć się wiele. Po raz ostatni widziano go podobno w bitwie pod Lipskiem przy boku księcia Ponia-



towskiego. Hrabina Mycielska opuściła ojczyznę i wyjechała do Ameryki. Szukała zapomnienia w swoim smutku i od cmentarzyska wspomnień swoich oddzieliła się morzem.

KONIEC.



STUDIUM NAUCZYCIELSKIE  
w GLIWICACH

Sp 13687